

Możemy rodzić odważnie. W zgodzie ze swoim ciałem, intuicją, naturą. Jeannette napisała książkę

bardzo potrzebną. Piękną, prawdziwą, z serca. Żałuję, że nie przeczytałam jej wcześniej.

AGNIESZKA GROCHOWSKA

JEANNETTE KALYTA

POŁOŻNA

3550 cudów
narodzin

JEANNETTE KALYTA

POŁOŻNA

3550 cudów
narodzin

WYDAWNICTWO
otwarte
KRAKÓW 2014

Dedykuję tę książkę MOIM DZIECIOM

WPROWADZENIE

To bardzo osobista książka. Napisałam ją w cztery miesiące, ale tak naprawdę powstawała przez dwadzieścia pięć lat mojego zawodowego życia. Uczestnicy zajęć w szkołach rodzenia, słuchając moich wykładów, niejednokrotnie prosili mnie, bym napisała poradnik o ciąży i porodzie. Jedno wiedziałam na pewno: poradnika nie napiszę. Właściwie nie czułam potrzeby napisania czegokolwiek, najważniejsze było dla mnie, że jestem „tu i teraz” z rodzącą. Mijały lata, dojrzałam, okrzepłam zawodowo i znalazłam w sobie odwagę, by podzielić się z głębi serca moim spojrzeniem na moment narodzin. Z ponad trzech tysięcy przyjętych przeze mnie porodów wybrałam te, które z różnych powodów okazały się dla mnie przełomowe. Opowiedziałam też o ludziach, których los postawił na mojej drodze, o zdobywaniu dzięki nim doświadczenia, a także o tym, jaki to miało wpływ na moje nieustanne poszukiwania i odkrywanie samej siebie.

Zdaję sobie sprawę, że niektóre historie mogą być dla Czytelników szokujące, wręcz niewiarygodne. Wiele z nich do dziś wywołuje we mnie silne emocje. Tak wygląda nasze życie, wszystkiego po trochu, jest radość,

ból, czasem łyzy. Jednakże wszystkie opisane przeze mnie zdarzenia są prawdziwe, oczywiście poza imionami pacjentów. Imiona moich przyjaciół, za ich zgodą, z radością pozostawiłam autentyczne. Osoby, które odnajdą w tej książce swoją historię porodową, będą mogły spojrzeć na nią oczami położnej.

Jak się przekonałam, powstawanie książki jest bolesnym procesem niczym poród (od porównań z porodem chyba nigdy nie uda mi się uciec). Przeżywałam skurcze autorskie, dające duży postęp w pracy, i przerwy pomiędzy nimi, z przerażającą ciszą w mózgu. Zasypiałam i budziłam się, mając przed oczami klawiaturę mojego komputera. Bywało, że wstawałam w środku nocy z wewnętrzną potrzebą zapisania ciekawego wątku lub historii, która nieoczekiwanie mi się przypomniała (chciałabym w tym miejscu wyrazić wielki szacunek dla zawodowych pisarzy). Moje pisarskie zrywy były przeplatane codziennym życiem i pracą przy porodach, co nie było łatwe do pogodzenia, ale udało się – jak wszystkie moje „eksperymenty”. A tak naprawdę wygląda na to, że miałam i mam w życiu dużo szczęścia.

Żałuję, że nie mogłam opisać wszystkich porodów i wspaniałych rodzin, z którymi przez te wszystkie lata było mi dane się spotkać (książka musiałaby liczyć co najmniej trzy tysiące stron). Wielu historii nie udało się w niej opowiedzieć, choć do dzisiaj doskonale pamiętam

towarzyszące im emocje, zwłaszcza te związane z pierwszymi porodami w domu. W tamtych czasach takie porody były mało popularne i traktowane jak dziwactwo. Pewnego razu, gdy dotarłam o drugiej w nocy do rodzącej, przykuła moją uwagę i rozczuliła czerwona kartka przyklejona na drzwiach klatki schodowej: „Drodzy sąsiedzi, rodzimy w domu naszą córeczkę Anię (w mieszkaniu nr 89). Może być głośno. Z góry za to przepraszamy i prosimy o przychyłność, zrozumienie i dobre myśli”.

Niestety nie zawsze udawało się wszystko zaplanować i przewidzieć. Pamiętam niedzielne letnie popołudnie. W podwarszawskim Konstancinie zaczął się poród. Zosia rodziła swoje drugie dziecko. Spodobał mi się piękny drewniany dom na porośniętej starodrzewem olbrzymiej działce. Na początku wszystko wyglądało sielankowo: mrożona herbata na tarasie, rodząca rozgrywająca partię szachów ze swoim partnerem. Gdy skurcze przybrały na sile, Zosia zaczęła skarżyć się na silny ból krzyża. Nie pomagały masaże ani zapewnianie, że to już prawie koniec porodu. Regularnie co dwie minuty rodząca wydawała przerażający donośny krzyk trwający ponad minutę. Zamknęłam wszystkie okna, jednakże upał w domu był nie do zniesienia. Tak jak przypuszczałam, na interwencję sąsiadów nie trzeba było długo czekać. Nie miałam pojęcia, że obok mieszkają pracownicy jednej z ambasad, a strażnicy rzetelnie patrolują teren. Odgłosy dobiegające z domu

zaniepokoiły ich nie na żarty. Usłyszeliśmy dzwonek przy furtce, długi, przeciągły. Niestety nikt z nas nie był w stanie im otworzyć, Zosia parła w objęciach Janusza. Zerknęłam w okno, strażnicy razem z policjantami (których widocznie zdążyli wezwać) próbowali sforsować furtkę. Całe szczęście spuszczone wcześniej psy udaremniły ten plan. Gdy tylko noworodek wziął pierwszy oddech, Janusz mógł pójść i wyjaśnić całą sytuację. Długo nie wracał. Cóż, trudno było policjantom zrozumieć, że nie ma zwyczaju bić swojej małżonki w niedzielne popołudnie. Tłumaczył, że właśnie urodził mu się syn i przeprosza wszystkich za to, że jego żona Zofia trochę za głośno narzekała na bolący kręgosłup. Gdy zakładałam ostatnie szwy, przed bramą parkowała już karetka pogotowia. Tym razem ja musiałam przekonywać lekarza, że panuję nad sytuacją i nie ma powodu zabierać położnicy do szpitala.

Cieszę się, że od pierwszych dni mojej pracy byłam świadkiem najistotniejszych zmian w polskim położnictwie, jakie zaszły na przełomie wieków. Na moich oczach kobieta odzyskiwała godność podczas wydawania dziecka na świat, a położna – spychana dotychczas do funkcji jedynie pomocy lekarza – powoli powracała do swojej roli. To ona ma wspierać rodzącą, służyć jej wiedzą i fachowością, być strażniczką fizjologii. A przede wszystkim powinna dać rodzącej poczucie bezpieczeństwa, uśmiech, dzielić się życzliwością i stworzyć nastrój wyjątkowości tej chwili.

Cóż może być ważniejszego! Być może, dzięki tej książce, wiele młodych dziewcząt stojących przed wyborem zawodu zdecyduje się pójść drogą, którą ja wybrałam dwadzieścia pięć lat temu. Przyznaję: nie jest to łatwa praca. Ale niezwykła.

NOE

Dawid nie wyobrażał sobie, by jego dziecko urodziło się w „fabryce” zwanej szpitalem i było poddawane taśmowej obróbce. Mówił to z taką zapalczywością, że w pierwszej chwili zawstydziłam się, że na co dzień w takiej fabryce pracuję. Hanna i Dawid bardzo chcieli urodzić w domu. To była ich pierwsza ciąża. Spotkałam się z nimi w ich mieszkaniu na Pradze (mieszkali z rodzicami Hanny).

Trudno mi było dociec, czy to jej decyzja, czy mocno osadzonego w swoich poglądach męża. Niby nie nalegał, ale jego argumenty wydawały się nie do podważenia. Słuchałam go z uwagą, lecz rozpraszały mnie porozkładane wszędzie święte księgi. Spojrzałam na piękne wydanie Starego Testamentu. Dawid pochwycił mój wzrok.

– Na początku ciąży miałem proroczy sen, urodzi się chłopiec, niezwykły. Sam wybrał sobie imię. – Dawid tajemniczo zawiesił głos.

Taki sam niezwykły jak wszystkie dzieci, pomyślałam. Nie chciałam tego komentować. Całe szczęście Hanna pokazała mi wyniki badań wykonywanych w czasie ciąży, mogłam się na nich

skupić – były w porządku. Musiałam podjąć decyzję: pomóc im urodzić to dziecko „z proroczego snu” w domu czy odmówić. Przeważnie w trakcie rozmowy już znam odpowiedź, tym razem było inaczej. Rozum podpowiadał: Daj spokój, nie mieszaj się w to. A równocześnie gdzieś z głębi przebijał się mocny głos: Nie zostawiaj ich, jeżeli im odmówisz, będą rodić sami, nie możesz na to pozwolić. Coraz wyraźniej słyszałam jedno słowo – śmierć. O co tu chodzi? O czyjeś przeznaczenie, matki, dziecka? Mam z tym walczyć? Jeśli coś pójdzie nie tak, wina spadnie na mnie. Głos rozsądku nie odpuszczał: Do niczego nie jest ci to potrzebne, tyle lat pracy za tobą, chcesz się narażać? Co mam zrobić? Poczułam, że nie znalazłam się tu przez przypadek. Nie wierzę w przypadki. Wiedziałam, że gdy będę pracować, używając całej swojej wiedzy, i poproszę o pomoc anioły, niczego nie przeoczę. Niech będzie. Decyzję podjęłam sercem, rozum udało się przekonać.

Zaprosiłam Hannę z Dawidem na zajęcia do szkoły rodzenia, to był mój warunek. Kategorycznie odmówili uczestnictwa w grupie. Dawno zarzuciłam indywidualne przygotowanie do porodu, przede wszystkim z braku czasu; poza tym uważam, że grupa osób znajdujących się w tej samej sytuacji życiowej daje bezcenne wsparcie. Czasami jednak robię wyjątki, a ta para była trudnym wyjątkiem. Spotykaliśmy się u nich w domu. Poznałam rodziców Hani. Więcej nas do pieczenia chleba, pomyślałam. Zamieniłam kilka słów z przyszłą babcią

i zorientowałam się, że nie jest zachwycona pomysłem dzieci. Dawid i Hania bardzo pilnie słuchali tego, co mówiłam. Hania, początkowo zamknięta w sobie, coraz bardziej mi ufała i częściej się odzywała. Lody zostały przełamane, polubiłyśmy się, co było cenne.

*

Minął wyznaczony termin porodu, potem jeszcze tydzień. Nic nie wskazywało na rychłe rozwiązanie. Cóż, długo przekonywałam ich oboje, że muszą się pojawić w izbie przyjęć szpitala: należy wykonać zapis KTG (tętna płodu i ewentualnych skurczów macicy), który potwierdzi dobrą kondycję dziecka, niezbędną na dalszy czas oczekiwania. Nie bez oporu zgodzili się przyjść do szpitala wieczorem po moim dyżurze. Udawałam, że nie widzę miny Hani i tego, jak przewraca oczami, gdy mocowałam pasami wokół jej brzucha głowice aparatu KTG.

– Czuję się jak baleron okręcony sznurkiem – powiedziała z przekąsem.

– Trudno, przez trzydzieści minut będziesz baleronom, przecież nie jesteś wegetarianką – ucięłam dyskusję, zanim się zaczęła.

Westchnęła głośno i wymownie spojrzała na Dawida, który wyjątkowo nic nie miał do powiedzenia. Najwidoczniej przytłoczyły go „fabryczne” urządzenia.

Wynik badania daleki był od ideału – tętno dziecka pozostawało co prawda w granicach normy, jednak zapis był zawężony. Mogło to świadczyć o tym, że maluch właśnie ucina sobie drzemkę, ale zawsze jest to sygnał, żeby wzmóc czujność. Lekarz z izby przyjęć postanowił zatrzymać Hannę na obserwacji na oddziale patologii ciąży. Intuicyjnie ani mnie, ani jemu nie wyglądało to na słodki sen dziecka. Oboje zdecydowanie odmówili, na nic zdali się tłumaczenia, prośby i przekonywanie. Podpisali dokument, że nie wyrażają zgody na hospitalizację, ale obiecali przyjść rano na ponowny zapis KTG. Światelko w tunelu, pomyślałam. Pomimo to odmówiłam dalszej opieki nad nimi poza szpitalem: tylko pewność, że z dzieckiem jest wszystko w porządku, daje przepustkę do fizjologicznego porodu w domu. Zrozumieli, tak mi się przynajmniej wydawało.

*

Nad ranem obudził mnie telefon, dzwonił Dawid. Miał zmieniony głos, był zdenerwowany i wystraszony.

– Jeannette, Hania przed północą zaczęła rodzić. Zabroniła mi do ciebie dzwonić. Krzyczy w skurczu, sąsiedzi przychodzą i walą w drzwi. Mama chciała po kryjomu zadzwonić po pogotowie, ojciec siedział w kuchni blady, trzymał się za serce. Hanka wyrzuciła ich z domu, kazała im się ubrać i wyjść. Nie mieli dokąd

pójść, pewnie chodzą gdzieś po osiedlu. Proszę, pomóż mi, przyjedź.

– Musicie natychmiast jechać do szpitala, nie ma mowy o porodzie w domu. Uprzedzałam.

– Hanka od trzech godzin siedzi w wannie, powiedziała, że z niej nie wyjdzie. Nie poradzę sobie. Proszę.

Nie przemawiały do mnie żadne argumenty, spokojnie mu tłumaczyłam:

– Dawid, poród trwa od sześciu godzin, nie wiem, co się dzieje z dzieckiem. Nie wezmę na siebie odpowiedzialności za waszą głupotę, nie ma mowy. Wezwij karetkę, zabiorą ją do najbliższego szpitala, ty dojedziesz samochodem.

– Jak to? Jeżeli szpital, to ja chcę na Żelazną, z tobą.

– Karetką to nie taksówka i nie ma w pakiecie koncertu życzeń. Hania pojedzie tam, gdzie ją zawiozą. Nie ma czasu do stracenia.

– Jesteśmy bez samochodu, proszę, przyjedź, zabierz nas na Żelazną. – Płakał.

Wyobraziłam sobie Hanię w szpitalu wśród całkiem obcych ludzi. Coś we mnie pękło, zgodziłam się. Wsiadłam do samochodu gnana jakimś instynktem, nie patrzyłam na prędkościomierz. Nie mogłam zrozumieć, skąd zrodził się ten przymus. Rozum przebiegał się co chwila z pytaniem: Dlaczego to robisz? Nie bądź głupia. Równocześnie coś we mnie krzyczało: Jedź i nie

zastanawiaj się!

Na ulicach było prawie pusto, w kilkanaście minut znalazłam się u celu. Na wszelki wypadek zabrałam ze sobą na górę torbę porodową. Wbiegłam na czwarte piętro. Drzwi były otwarte. Z łazienki dobiegały odgłosy parcia. Hanka była w swoim świecie, nawet nie zauważyła, że weszłam, nic do niej nie docierało. Zbadałam ją, rzeczywiście miała pełne rozwarcie, główka dziecka była dość nisko. Czyżby jednak miało urodzić się w domu? Boże, tylko nie to, modliłam się w myślach. Czułam, że coś jest nie tak. Wanna była mała i ciasna, wyciągnęliśmy Hankę na siłę z wody. Posłuchałam tętna dziecka, było dramatycznie wolne: 80 uderzeń na minutę (prawidłowe to 110–150 uderzeń).

– Musimy natychmiast jechać do szpitala – powiedziałam zdecydowanym tonem.

– Nigdzie nie jadę, urodzę w domu! – Hanka była w hysterii.

– Pojedziesz! Twoje dziecko w domu nie ma żadnych szans, nie przeżyje! – krzyczałam.

Tym razem miałam Dawida po swojej stronie. Narzuciłam jej płaszcz na gołe, jeszcze mokre ciało, a Dawid zniósł ją na rękach do samochodu. Kazałam jej uklęknąć na tylnym siedzeniu, wypiąć pośladki do okna i oprzeć się na łokciach. Wiedziałam, że ta pozycja choć trochę osłabi odruch parcia i poprawi przepływ krwi przez łożysko, jeżeli ma to jeszcze jakieś znaczenie.

Jadąc przez budzącą się Warszawę, odpędzałam czarne myśli. Zadzwoiłam na Żelazną, telefon w sali porodowej odebrała położna, moja przyjaciółka Renata.

– Reniu, cieszę się, że masz dyżur, wiozę pierwiastkę, ma pełne rozwarcie, nie wiem od kiedy. Tętno 80, nie wyrównuje się. Zbierz zespół, będę za pięć minut.

Nie czekałam na odpowiedź, musiałam skupić się na prowadzeniu samochodu. Jechałam jak szalona, na długich światłach. Nie zwracałam uwagi na sygnalizację. Dojadę, muszę dojechać!

– Jeannette, ona już nie daje rady! – krzyknął Dawid.

Kątem oka zauważyłam, że przewieszony przez siedzenie próbuje przytulić żonę. Pomyślałam, że jak gwałtownie zahamuję, stracę przednią szybę.

– Nie przyj, oddychaj z otwartymi ustami, dziecko jest spore, wytrzymasz, dojeżdżamy! – powtarzałam jak katarynka.

Już wiem, co czują mężczyźni wiozący kobietę do szpitala w zaawansowanym porodzie.

Podjechałam jak najbliżej wejścia do izby przyjęć, w drzwiach czekała Renata z wózkiem.

– Na blok operacyjny czy na salę porodową? – zapytała jak zwykle spokojnie.

– Na porodową. Za późno na cięcie, za nisko główka.

Rzuciłam kluczyki portierowi, żeby przeparkował samochód.

Kolejne drzwi otwierali nam lekarze, położne, wszyscy gotowi do pomocy. Sala porodowa była w pełni przygotowana: rozłożone łóżko, zestaw porodowy, narzędzia, kleszcze, próżniociąg. Kochana Renia. Nie było czasu na przebranie się; umyłam ręce, włożyłam fartuch i rękawiczki. Wszyscy mówili podniesionymi głosami, Dawid też. Ktoś wkłuwał do żyły wenflon, ktoś posłuchał tętna: 75 uderzeń. Krew odpłynęła mi z głowy. Koleżanka neonatolog szepnęła mi do ucha:

– Jeannette, jesteśmy tu.

Poczułam, że wszyscy mentalnie są przy tym dziecku i je wspierają. Gdy zaczął się skurcz, Hania nie współpracowała, nic nie rozumiała z tego, co do niej mówiliśmy. Lekarz zaczął przygotowywać się do założenia kleszczy, przestraszyła się, to ją zmotywowało. Poparła na tyle mocno, że mogłam naciąć krocze i szybko wyjąć leżące się przez ręce dziecko. W pierwszej chwili myślałam, że nie żyje, ale zakładając zaciski na pępowinę, poczułam ledwie tłące się życie. Szybko oddałam dziecko w ręce lekarki neonatolog. Dorodny chłopiec został zaintubowany i pojechał w inkubatorze do oddziału patologii noworodka. Był w stanie ciężkim, dostał dwa punkty w dziesięciopunktowej skali Apgar.

*

Wszyscy wyszli, zostaliśmy w trójkę. Nikt nic nie mówił. Chciało mi się płakać ze złości i z bezsilności. Ale dla położnej to nie koniec porodu – jeszcze łożysko i szycie krocza. Miałam nadzieję, że to już wszystkie niespodzianki tego dnia.

Zakładałam ostatnie szwy, gdy okazało się, że w pośpiechu Dawid nie zabrał z domu żadnych dokumentów z przebiegu ciąży; musiał natychmiast po nie jechać. Bez zastanowienia dałam mu kluczyki od swojego samochodu. Po chwili zapytałam Hanię, czy on w ogóle ma prawo jazdy. Kiwnęła głową. Okryłam ją ciepłym kocem i zrobiłam gorącej herbaty. Miała prawo zmarznąć w listopadzie w samym płaszczu. Siedziałam w fotelu i patrzyłam na nią. Próbowałam zrozumieć. Hania usnęła.

Nawet nie wiem, kiedy na zewnątrz zrobiło się jasno. Wstał kolejny chłodny dzień. Wyjrzałam przez okno sali porodowej. Silny wiatr jak gdyby nigdy nic przewiewał te swoje liście z jednego miejsca w drugie. Takie kruche. Jak ludzkie życie, pomyślałam. Miałam pełną świadomość, że niewiele brakowało... Zastanawiałam się, co mogłam zrobić inaczej... Nie znajdowałam odpowiedzi.

Usłyszałam w korytarzu odgłosy zamieszania, spojrzałam na zegar – to zmiana dyżurów. Wysłałam z sali. Ten poród był tematem numer jeden tego poranka. Dziwiło mnie, że najwięcej mają do powiedzenia osoby

z gorącą kawą w rękę, które wypoczęte i odświeżone przyszły właśnie na dyżur.

– Słyszałem – mówił jeden z lekarzy pracujący w naszym szpitalu od niedawna – że prowadziła pani poród w domu i jakoś marniutko poszło?

Nie czekając na odpowiedź, lekarka stojąca obok powiedziała sztucznie współczującym tonem:

– Nie mogłaś urodzić tego dziecka w domu? Może miałyby więcej niż dwa punkty.

– Ile? Cztery? – zapytałam beznamiętnie.

Renata warknęła na dywagujące towarzystwo:

– Dajcie jej spokój!

Wróciłam do sali. Hania nie spała, miała oczy pełne łez. Nie pytała o dziecko. Powiedziała mi, że tak naprawdę nie chciała rodzić w domu, już od początku ciąży czuła dziwny niepokój, ale nikomu się do tego nie przyznała. Jej mama miała ciężki poród, zakończony kleszczami – Hankę oceniono na trzy punkty w skali Apgar. Gdy tej nocy skurcze nasilały się, miała nieodparte wrażenie, że to ona się rodzi: czuła, jakby macica gniotła ją i spychała, bolało ją całe ciało, głowa pękała od nacisku, napierając na mur, który nie chciał ustąpić. Było ciasno i duszno, brakowało jej sił, umierała.

Pomyślałam, że być może ból porodowy uruchomił w niej „dyskietkę” zapisaną w chwili, kiedy ona sama się rodziła, a jej ciało po latach ją odtwarzało. Być może.

Wcześniej tego tak wyraźnie nie dostrzegałam, dopiero to zdarzenie pokazało mi, że zachowujemy w pamięci ciała proces narodzin. Jeśli mamy słaby kontakt ze sobą i utykamy w ciele dawne lęki, nie chcąc się z nimi zmierzyć – one i tak powracają, ujawniając się w ekstremalnych sytuacjach, a taką niewątpliwie jest poród. Jednego byłam pewna: Hania zafundowała swojemu dziecku trudne przyjście na świat, takie, jakiego sama doświadczyła.

Wrócił Dawid, poszedł po drodze odwiedzić synka. Nikt na razie nie był w stanie określić szkód spowodowanych przez niedotlenienie, ale chłopcu dawano niewielkie szanse. Rodzice jednak mieli wiarę, że ich syn z tego wyjdzie, przecież nadali mu imię Noe. Imię z proroczego snu.

Po czterech tygodniach pobytu w szpitalu Noe został wypisany do domu, jadł pokarm z piersi. Pomyślałam sobie, że to cud. Jak widać, takie się zdarzają.

Po kilku miesiącach zadzwonił Dawid:

– Nasz syn dobrze się rozwija i jest zdrowy. Jeannette, Bóg nam cię zesłał. Wszyscy troje z całego serca ci dziękujemy.

Nie wiem, czy zesłał mnie Bóg, ale często w swoim życiu zawodowym mam poczucie, że to dzieci mnie wzywają.

BĘDZIESZ AKUSZERKĄ?

Miałam może sześć lat. Szłam ulicą z mamą, która nagle przyspieszyła kroku.

– Chodź szybko – powiedziała, ciągnąc mnie za rękę.
– Musimy dogonić tę panią w granatowym swetrze. – Zawołała ją po imieniu, po czym nachylając się do mnie, szepnęła: – To pani Janina, zapamiętaj ją. Pomagała mi, gdy cię rodziłam. Ona pierwsza cię widziała. Ta pani to położna.

Zobaczyłam dużą, otyłą wręcz kobietę. Pogładziła mnie po włosach i jakoś tak ciepło na mnie popatrzyła, że nie wiem dlaczego i skąd, ale pomyślałam wtedy, że ma twarz anioła. Do dzisiaj pamiętam to pełne czułości spojrzenie. Od tamtego spotkania wiele razy w życiu zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby naprawdę była aniołem. Może anioły mogą przybierać ludzką postać i pomagać nam w trudnych chwilach.

Tego dnia zapytałam o anioły babcie Józefę. Pokazała mi wiszący na ścianie obrazek, który wcześniej jakoś nie przykuł mojej uwagi. Na obrazku był strumyk, dwoje dzieci przechodzących po wąskiej kładce, a za nimi anioł; miał ładne skrzydła, jak łabędź. Babcia opowiadała mi o Bogu, ale też o niebie i piekle. Miała

bardzo poważną minę, od razu poczułam, że to ważki temat. Niewiele rozumiałam z tego, co mówiła, próbowałam dowiedzieć się więcej, zadawałam pytanie za pytaniem. Przy kolejnym babcia miała coraz większe oczy, w końcu zrobiła nade mną znak krzyża i temat zakończyła.

– Jak to jest? – pytałam dorosłych. – Niektórzy rodzą się w bogatych rodzinach, nie brakuje im niczego, a inni rodzą się biedni, kradną jedzenie. Ty do nieba, ty do piekła. Czy Bóg jest sprawiedliwy?

Czułam tu jakiś podstęp. Nikt mi nie mógł wyjaśnić, skąd Bóg wie. „Po prostu wie” mi nie wystarczało. Nawet złoczyńcy muszą mieć jakąś szansę. A może rodzimy się znowu i naprawiamy błędy? Nie dostałam odpowiedzi.

Ale babcia Józefa miała mnie na oku. W każdą niedzielę prowadziła mnie do kościoła, a tam nowy problem: nie byłam w stanie dotrzeć do ewangelii, mdlałam, wynoszono mnie na powietrze. Nikt nie powiedział na głos, o co mnie podejrzewano, ale szeptano w mojej obecności. A ja po prostu rosłam dość szybko i moje małe serce nie było w stanie dostarczyć na czas tlenu do mózgu. Zatłoczony kościół, duszno, w zimie pachniało naftaliną, co przyprawiało mnie o mdłości. Przede mną była ceremonia pierwszej komunii. Zemdleć nie wypadało, nie w białej sukience. Ojciec chrzestny przed mszą podarował mi zegarek, taki

dla dorosłych, bez cyferek, z sekundnikiem. To skutecznie odwróciło moją uwagę od złego samopoczucia. Jak tylko robiło mi się słabo, głęboko oddychałam i skupiałam się na zegarku. Ta scena z kościoła przypominała mi się, gdy rodziłam swojego syna, wpatrując się w sekundnik zegarka, który uczciwie odliczał czas pracy i odpoczynku.

W dzieciństwie codziennie po przebudzeniu miałam przed oczami ten sam widok: szklanka mleka prosto od krowy stojąca na szafce przy łóżku. Musiałam je pić dla zdrowia. Nie cierpiałam tego mleka, okropnie śmierdziało krową. Upewniając się, że nikt nie widzi, podlewałam nim kwiaty doniczkowe w pokoju. Sprawiedliwie, do każdego trochę. Kwiaty dziwnie marniały, mama się tym zamartwiała. Gdy postanowiła je przesadzić, odkryła, że korzenie są zgniłe, a w spodkach jest skisłe mleko. Ale była awantura! Od tego czasu mleko musiałam wypić natychmiast, jak mi je przyniesiono, nie zostawiano mnie z nim samej. Jedną ręką trzymałam szklanekę, a dwoma palcami drugiej zatykałam nos. Zawsze potem bolał mnie brzuch; po latach okazało się, że mam alergię na mleko. Trudno jest starszym wytłumaczyć, że organizm wie, co jest dla niego dobre, a co złe, i do niczego nie należy go zmuszać. Nie raz przyjdzie mi mówić do moich rodziców: słuchajcie swojego ciała, ono podpowie, co jest dla was najlepsze.

Jak prawie każde małe dziecko bardzo chciałam mieć młodsze rodzeństwo. Rodzice nie podejmowali tego tematu. Moje dużo starsze siostry miały już swoje sprawy, własne życie i od dawna nie mieszkały w rodzinnym domu. Widywałam je, gdy sumiennie przyjeżdżały na każde święta, a w czasie wakacji wpadały na parę dni urlopu. Moja miłość do nich była wyznaczana ciągłym czekaniem na odwiedziny i prezentami.

Gdy miałam osiem lat, poinformowano mnie, że zostanę ciotką. Czy to normalne, nie jestem przypadkiem za młoda? Pojawienie się dziecka w rodzinie było ekscytujące; moi rówieśnicy mieli rodzeństwo lub właśnie na nie czekali. Skoro nie mogłam już liczyć na rodziców, trudno, niech będzie siostrzenica. Pierwszy raz zobaczyłam Beatę, gdy miała siedem miesięcy. Siedziała na środku łóżka w bordowym płaszczyku. Zastanawiałam się, jakim sposobem ma przypięty do głowy berecik. Nic nie wiedziałam o małych dzieciach. Przyglądałam się jej z uwagą: była gruba, miała ładną buzię, okrągłą jak księżyc; znalazłam bez trudu na jej twarzy miejsce, gdzie można by postawić nóżkę cyrkla i zatoczyć regularne koło. Lubiłam się z nią bawić, nie mogłam doczekać się powrotu ze szkoły do domu. Beata witała mnie, szczerząc dwa dolne zęby. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że każde ferie i wakacje będzie spędzać u dziadków. Tylko że dziadkowie nie zajmowali się nią, mieli swoje sprawy. I tak zostałam jej opiekunką. Na

początku byłam bardzo dumna, że powierzono mi tak poważną funkcję, w końcu jestem ciotką. W rezultacie okazało się, że oprócz zabawiania jej karmiłam ją, ubierałam, opierałam. Beata od momentu kiedy postawiła pierwsze kroki, nie odstępowała mnie ani na chwilę. Gdy traciła mnie z oczu, wpadała w taką histerię, że musiałam ją dla świętego spokoju wszędzie ze sobą zabierać. I tak było przez całą podstawówkę. Mówiłam do siebie, że to tylko wakacje, niektórzy mają młodsze rodzeństwo przez okrągły rok, i to dopiero musi być straszne.

W miarę upływu lat nasze relacje się zmieniały, dziś jest dla mnie jak siostra. Kiedy była młodziutką dziewczyną, najbardziej fascynowało ją to, że jestem położną – też tak chciała, ale życie ułożyło się jej inaczej. Urodziła tylko jedno dziecko, syna, w tym samym szpitalu, w którym ja przesłam swój pierwszy poród (rodziłyśmy na tym samym łóżku). Traumatyczne przeżycia porodowe sprawiły, że nie potrafiła już myśleć o ponownym macierzyństwie. Do dziś ma poczucie, że jej poród miał związek ze złorzeczeniem pewnej starej kobiety. Gdy była jeszcze dzieckiem, miała może osiem lat, idąc z koleżanką ze szkoły, zobaczyła leżącą pod krzakiem rodzącą kotkę. Zwierzę miauczało przeraźliwie, wijąc się z bólu. Dziewczynki niewiele z tego rozumiały, ale ten widok tak je rozbawił, że obie, zgięte wpół, trzymały się za brzuchy ze śmiechu. I wtedy przechodząca obok staruszka, widząc to, powiedziała:

– Dzisiaj się śmiejecie. Zobaczycie, jak będziecie cierpiały i wrzeszczały, gdy same będziecie rodzić. Przypomnicie sobie tę biedną kotkę. Tak będzie. – Dziewczynki zamarły, po chwili zaczęły uciekać. – Tak będzie – krzyczała za nimi.

To „tak będzie” stało się jakby pieczęcią. Beata i jej koleżanka miały bardzo trudne, długie porody, okupione wielkim bólem i dużą utratą krwi.

*

Rodzina zdecydowała, że po szkole podstawowej dalej będę uczyć się w liceum w Przemyślu, zamieszkałam u siostry. Wybrałam klasę biologiczno-chemiczną. Miałam pecha: matematykę, fizykę i język polski wykładali nauczyciele z klas sprofilowanych – bardzo wymagający. Z języka polskiego najgorsze były dla mnie wypracowania. Nie miałam lekkości pióra, której ode mnie oczekiwano.

– Pisaniem to ty nigdy na chleb nie zarobisz – mawiała moja polonistka, oddając jak zwykle przykrótkie wypracowanie.

– Obiecuję, że nie będę próbować – odpowiadałam, przytulając do serca zeszyt z oceną dostateczną.

Jak widać „nigdy nie mów nigdy”, napisałam w swoim życiu dziesiątki artykułów, wypowiadając się

jako ekspert.

Gdy miałam siedemnaście lat, poznałam chłopaka, z którym porozumiewałam się telepatycznie. Nie umawiając się, przychodziliśmy w to samo miejsce o tej samej godzinie (nie było wtedy telefonów komórkowych, zresztą byłyby nam niepotrzebne). Janek nauczył mnie, jak to się robi. Przekazywał mi swoje myśli, po czym zapisywał je na kartce, ja je odbierałam i notowałam na swojej; potem porównywaliśmy kartki. Nasze wyniki były zdumiewające. Gdy dzisiaj o tym myślę, uważam to za niezwykle. I nieprzypadkowe.

Ale mając siedemnaście lat, dopiero raczkowałam w pojmowaniu, że wszyscy ludzie i wydarzenia na mojej życiowej ścieżce pojawiają się nie bez powodu. Spotkania, choć nie zawsze łatwe, mają mnie wzmacniać i uwalniać od rutyny, a niektóre uszczęśliwiać i mobilizować do bycia lepszym człowiekiem.

Rok 1981 okazał się bardzo trudny w moim życiu. Najpierw w marcu zmarł mój ojciec, potem w maju ukochany dziadek, a w czerwcu, na serce, Janek, mój przyjaciel. Było mi naprawdę trudno, myślę, że miałam depresję. Wtedy jednak nie chodziło się do terapeutów ani nie wspomagało lekami. Rodzina stwierdziła, że jestem leniwa, gdyż prawie całe wakacje leżałam w przyciemnionym pokoju, spałam albo patrzyłam w sufit. Poradziłam sobie sama, zajęło mi to kilka miesięcy.

*

Po maturze myślałam o studiowaniu biologii. To na pewno podobałoby się mojej mamie i wykształconym siostrze. Tak sądziłam, angażując rozum, serce podpowiadało coś innego. W czasach licealnych miałam koleżankę w szkole położnych, Teresę. Z pierwszego piętra mieszkania mojej siostry, z przyklejonym do szyby nosem wypatrywałam, czy wysiadła już z autobusu. Zawsze miałam usmażone jakieś placki czy naleśniki. Wychylałam się z okna i zapraszałam ją do siebie. Godzinami mogłam słuchać jej opowieści o szpitalu, porodach i położnych przyjmujących na świat nowe życie.

Teresa znana była z dużego poczucia humoru, a ja naiwnie wierzyłam we wszystko, co mówiła. Kiedyś pokazała mi ręce, całe w brązowych plamach. – Co to? – zapytałam z zazdrością. Wiedziałam, że plamy mają związek ze szpitalem.

– Maż płodowa – usłyszałam.

Jak zwykle żartowała, to była jodyna. To dzięki Teresie wybrałam położnictwo. Szkołę zaczęłam w Przemyślu, dyplom położnej dostałam w Warszawie (w międzyczasie wyszłam za mąż, urodziłam syna, zawieszając na rok naukę).

Mama nie była zadowolona z mojego wyboru. – Będiesz akuszerką? – Zabrzmiało to jak wyrzut.

Przypomniałam jej scenę z ulicy, kiedy spotkałyśmy moją położną. – To co innego – powiedziała.

Wiem, chodziło jej o to, że to „zwykła” szkoła medyczna. Kiedy powstawały studia położnicze, już nie żyła; zmarła w 2000 roku na raka węzłów chłonnych.

Gdy uzyskałam licencjat, a potem tytuł magistra położnictwa, za każdym razem byłam na cmentarzu na jej grobie. Myślę, że się cieszyła.

Pamiętam dzień, kiedy mama zorientowała się, że mój zawód traktuję poważnie. Powiedziała: – Nieważne, co człowiek robi w życiu, czy jest nauczycielem, sprzedawcą, profesorem czy sprząta ulice. To, co robi, musi robić najlepiej, jak potrafi, z sercem. Chciałabym, żebyś nigdy nie żałowała tego wyboru. Chcesz być położną? Dobrze. Ale pamiętaj, musisz być w tym najlepsza.

PANI PATOLOGICZNA

Po moim pierwszym porodzie, a miałam wtedy dwadzieścia jeden lat, już wiedziałam, jaką położną na pewno nie będę.

Przed terminem porodu ciężko zachorowałam: wysoka gorączka, poty, brak sił. Bałam się, że nie dam rady urodzić. Błagałam moje dziecko, żeby poczekało jeszcze trochę. Przerazał mnie oddział septyczny, znałam go dobrze ze szkolnych praktyk: z tym odorem lizolu, który miał unicestwiać unoszące się w powietrzu i pełzające wszędzie drobnoustroje po poprzednich lokatorkach. Jedenaście dni po terminie porodu – jeszcze osłabiona, ale już zdrowa – zapukałam z radością do drzwi izby przyjęć jednego z warszawskich szpitali. Żebym mogła tam rodzić, moja siostra lekarka uzyskała zgodę ordynatora: pieczęć na skierowaniu była imponująca. Nie miałam żadnych oczekiwań. I dobrze, moje rozczarowanie byłoby ogromne.

Od wejścia zostałam potraktowana jak morderczyni, która chciała zabić swoje dziecko. To były czasy, w których kobieta miała obowiązek w dniu terminu porodu stawić się w szpitalu i na oddziale patologii ciąży godzić się na niezliczone indukcje (wywołanie) porodu,

aż do skutku. Już w izbie przyjęć dostałam etykietkę: młoda, głupia, nienormalna, przyszła jedenaście dni po terminie! Skąd wiem? Mówiono przy mnie o mnie, jakby mnie tam nie było. Nie przyznałam się, że jestem już prawie położną, w dokumentach miałam wpisane: uczennica.

Pozbawiono mnie wszystkich rzeczy osobistych, oprócz ręcznika i szczoteczki do zębów. Zostałam ogolona tępą żyłką wielorazową wyjętą ze słoika z płynem, w którym pływały kręcone włosy. Całe szczęście nie zrobiono mi lewatywy, bo szłam na oddział patologii ciąży. No i dostałam długą koszulę. Panie idące do porodu miały mniej szczęścia; paradowały w koszulkach do pępka, próbując okryć się za wąskimi szlafrokami. Ta kusa koszula to była dodatkowa tortura w trakcie porodu: za krótka, więc rodząca kobieta, leżąc na mokrej ceracie w wodach płodowych, odparzała sobie kolejne części ciała.

Nie było dla mnie miejsca na oddziale patologii ciąży, zaprowadzono mnie więc do sali przedporodowej z trzema zwykłymi łózkami szpitalnymi. Dwa zajęte były przez dziewczyny, które przyjechały w nocy trochę za wcześnie; nie nadawały się jeszcze na salę porodową. Wierciły się na swoich posłaniach, choć nic nie wskazywało, że u którejś rozpoczęła się akcja porodowa. Dlaczego nie mogą wstać, pochodzić, poruszać się? Wyjaśniły mi, że w nocy w izbie przyjęć zabrakło

szlafroków i wskazały na swoje krótkie koszule.

– Nie chodźcie nawet do toalety? – zapytałam.

– W nocy na korytarzu było pusto, więc można się było przemknąć. Teraz jest jak na Marszałkowskiej – tłumaczyła jedna z nich.

– Prosiłyśmy położną o szlafroki, ale stwierdziła, że i tak zaraz idziemy rodzić. A z łóżka na sali porodowej przecież się nie wstaje, nie można. Po porodzie dostaniemy długie koszule – dodała druga.

Chyba w nagrodę, pomyślałam. Pożyczyłam im swój szlafrok, dzięki temu mogły przynajmniej pójść do toalety.

*

Niebawem wezwano mnie na badanie. Mówiono o mnie w trzeciej osobie, jakbym miała czapkę niewidkę. Smutne było to, że czapki niewidki nie miałam. Padł wyrok: amnioskopia. Dawniej był to dość częsty zabieg stosowany po terminie porodu (dzięki Bogu i dostępności USG odchodzi w zapomnienie). Polegał na założeniu do szyjki macicy metalowej rurki niemal identycznej z tą do wypieku domowych rurek z bitą śmietaną. Dzięki specjalnemu światłu można zajrzeć do środka i przy odrobinie szczęścia obejrzeć dolny biegun pęcherza płodowego. Chodziło o sprawdzenie, czy płyn

owodniowy jest czysty czy po jedenastu dniach mojego dezenterowania, nie daj Boże, zielony. Lekarz, dwie położne i trzech młodych asystentów ochoczo przystąpili do badania. Wody płodowe ku ogólnemu zdziwieniu okazały się czyste. Następnie czterech lekarzy przeprowadziło badanie wewnętrzne, zanurzając palce w mojej i tak już obolałej szyjce macicy. Zlecono na następny dzień wywołanie porodu przez podłączenie kroplówki z oksytocyną (co miało spowodować skurcze macicy).

Wróciłam do swojej sali. W południe, po kilku godzinach od badania, poczułam pierwszy skurcz, przywitałam go z radością. Następny pojawił się po piętnastu minutach, kolejne coraz częściej. Hurra! Działam! Cieszyłam się, gdyż ostatnie dni ciąży spędziłam na rozmyślaniu, czy moja macica zechce jakkolwiek współpracować ze mną w czasie porodu i czy moja szyjka aby na pewno wie, co ma robić. Dlatego rozumiem doskonale kobiety w ostatnich tygodniach ciąży. Wiem, jak ważny jest kontakt z własnym ciałem i wewnętrzna zgoda na całą fizjologię, która wiąże się z aktem porodowym.

*

O odwiedzinach na oddziale położniczym w tamtych czasach nie było mowy. Moja siostra lekarka, pracująca

w tym samym szpitalu, siedziała przy moim łóżku w białym fartuchu i opisywała badania EKG swoich pacjentów. Próbowałam koncentrować się na jej precyzyjnych pomiarach i specjalnej linijce, którą się posługiwała. Nie chciałam się zdradzić, że zaczęłam rodzić. Nawet więcej, postanowiłam nikomu o tym nie mówić. Moje współlokatorki jedną po drugiej przeniesiono do sali porodowej. To dało mi trochę spokoju, krzyki słyszane przez ścianę nie były aż tak dotkliwie. Miło pożegnałam siostrę, przekonując ją, że tego dnia z pewnością poród się nie zacznie. Zostawiła mi na kartce numer telefonu; miałam prosić położne, żeby dzwoniły w razie potrzeby, bez względu na porę.

O 17.00 moja macica pracowała regularnie co pięć minut. Poza tym czułam okropny głód. Nic dziwnego, poprzedniego dnia rano, kiedy wybierałam się do szpitala, byłam za bardzo zdenerwowana i przejęta, by w domu coś zjeść. W szpitalu dostałam na obiad tylko zupę, gdyż jako „pacjentce nieprawiantowanej” (przyszłam po śniadaniu) tylko ta mi przysługiwała. Usłyszałam na korytarzu odgłos wózka, którym rozwożono kolację. Gdy przechodził skurcz macicy, zamiast oczekiwanej ulgi odczuwałam równie silny skurcz w żołądku. Jedzenie w trakcie porodu było zabronione, ale przecież nikt nie wiedział, że rodzę. W drzwiach mojej sali pojawiła się pani ze znudzoną miną i talerzem w ręku.

– Pani Patologiczna – zawołała żwawo, mimo tej swojej miny, i zanim zdążyłam zaprzeczyć, wypowiedziała to wspaniałe słowo: kolacja.

– Czy mogę dostać dwa kubki herbaty? – zapytałam. Skinęła głową. Czułam, że jestem przede wszystkim odwodniona.

Zawartość talerza była imponująca. Już nie miałam żadnych wątpliwości ani wyrzutów sumienia. Co szpital resortowy to resortowy, dobrze dają jeść: olbrzymi liść sałaty, trzy równie duże plastry szynki, masło; rozczarowały mnie tylko dwie kromki chleba. Ale właściwie po co przejadać się podczas porodu? Dzięki kolacji dostałam sporą dawkę energii, moja macica też.

Bardzo szybko zrozumiałam, że skurcze, które miałam wcześniej, to załedwie preludium; aż bałam się myśleć, co będzie dalej. Żarty się skończyły. Skurcze powtarzały się już co trzy minuty i trwały ponad sześćdziesiąt sekund, choć miałam podejrzenia, że mój sekundnik kłamie. Co dwie godziny przychodziła położna, by posłuchać tętna dziecka. Dochodziła 22.00. Modliłam się, żeby nie złapała mnie na skurczu. Niestety tym razem się nie udało; przyłożyła słuchawkę do mojego twardego jak deska brzucha.

– Ma pani skurcz? – zapytała.

Próbowałam ukryć, że moje ciało rozrywa od środka potworny ból i rozciągnęłam usta w sztucznym uśmiechu.

– Czasami napina mi się macica – odparłam.

Zmarszczyła brwi, wyprostowała się, położyła rękę na moim brzuchu, przyglądała mi się badawczo, czekając, aż skurcz minie. Na czoło wystąpiły mi krople potu, miałam wrażenie, że oczy mam na szypułkach zdecydowanie poza obrębem twarzy. Skurcz powoli ustępował, oczy wróciły na swoje miejsce. Mogłam zaangażować dodatkowe mięśnie do szczerego uśmiechu.

– Proszę wstać, idzie pani ze mną, muszę panią zbadać. Coś ta macica długo się napina – zdecydowała położna, patrząc na mnie z podejrzliwością.

Koniec, pomyślałam. Wiedziałam, z czym się to wiąże: sala porodowa i łóżko, z którego można zejść dopiero po porodzie (rzadko o własnych siłach). Nie byłam ciekawa, na ile centymetrów rozwarta jest moja szyjka macicy. Czułam się przyłapana i pokonana. Wiedziałam, że i tak urodzę 21 marca, w pierwszy dzień wiosny, czyli po północy. Opieszale podnosiłam się z łóżka.

Wiatr, który już od kilku godzin wciąż się wzmaczał, nagle z ogromną siłą uderzył w wielkie dwuskrzydłowe okno; z hukiem otworzyło się na oścież, byłam pewna, że wypadło razem z futryną. Położna próbowała walczyć z żywiołem. Chciałam jej pomóc, wdrapując się na stołek.

– Gdzie?! – zapytała, spoglądając na mnie złowrogo.

Poszłam do toalety, wiedziałam, że to ostatni raz.

Wetknęłam też za pasek zegarka kartkę z numerem telefonu do siostry; nigdy nie mogłam go zapamiętać. Nie spieszyłam się, chciałam jak najdłużej pobyc sama.

– Pięć centymetrów rozwarcia, proszę zabrać rzeczy, przejść na salę porodową – powiedziała położna tym razem ciepłym, acz beznamiętnym tonem i nawet się uśmiechnęła. Połowa za mną, pomyślałam. Dam radę!

Około północy skurcze stały się nie do zniesienia. Cały czas towarzyszyło mi uczucie rozrywania żywych tkanek, przerwy były krótkie. Miałam wrażenie, że się zapadam, ale chyba po prostu zasypiałam. Wpatrywałam się w metalową szafkę, która stała obok łóżka: stara, ale wielokrotnie odnawiana, z licznymi zgrubieniami od ściekającej farby. Kolejne warstwy farby sprawiły, że ani drzwiczki, ani szuflady od dawna się nie domykały. Jeden z tych zacieków szczególnie sobie upodobałam. Wystarczyło w odpowiednim momencie rozpoczynającego się skurczu odnaleźć wzrokiem ten punkt, a skurcz stawał się do przeżycia. Leżałam więc cichutko wpatrzona w „moją” szafkę lub w zegarek. Nie miałam wtedy pojęcia, że zostałam wciągnięta przez naturę w grę nazywaną rytuałem porodowym; tę wiedzę przyszło mi nabyć później.

Położna co jakiś czas podchodziła, by sprawdzić tętno dziecka. Prawie ze mną nie rozmawiała. Byłam jej za to wdzięczna, nie chciałam się rozpraszać. Przebywałam na planecie poród. Moje życie było

skurczem lub przerwą między skurczami. Wszystko stało się takie przewidywalne, takie logiczne, dające poczucie bezpieczeństwa. Przerwa była nagrodą za przetrwanie skurczu.

Moje łóżko znajdowało się najbliżej dyżurki położnych. Słyszałam ich głośne rozmowy. W sali pojawił się lekarz i oznajmił, że zaraz dojdzie tu kolejna rodząca. Popatrzył na mnie z daleka z ojcowską czułością.

– Ona jeszcze rodzi? – zapytał położnych. – Nie czekając na odpowiedź, pochylił się nad moją kartą i coś napisał.

Po chwili podeszła położna z zastrzykiem w rękę.

– Proszę odsłonić pośladek – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Po co? – spytałam. Przeraziłam się, naciągnęłam prześcieradło jeszcze wyżej.

– Będzie zastrzyk.

– Jaki?

Zrobiła znudzoną minę i przewróciła oczami.

– Dolargan. Mówi to pani coś?

– Tak się składa, że wiem, co to dolargan. To narkotyk. Nie chcę. Czuję, że już niedługo urodzę. Radzę sobie z bólem. – Patrzyłam na nią błagalnie.

– Lekarz zlecił, to podaję – próbowała naciskać.

– Proszę, nie, błagam panią.

Musiałam wyglądać na zdesperowaną. Uległa.

Odeszła. Rzuciła strzykawkę na biurko.

– Chciałam pomóc, ale jak tak woli, niech cierpi. – Myślałam, że mówi do mnie, ale chyba rozmawiała z koleżanką.

*

Kolejny skurcz. Ból opanował mój mózg, znowu się zapadałam. Chciało mi się pić tak bardzo, że ta myśl stała się obsesją. Wiedziałam, że nic do picia nie dostanę, takie zasady. Naprzeciwko mojego łóżka była umywalka z ciekącym kranem; odgłos kapiących kropli drażył mi kości czaszki, doprowadzał mnie niemal do obłędu. Otworzyłam oczy, obie położne stały obok, patrzyły na mnie.

– Wszystko dobrze? – zapytała ta od zastrzyku.

– Tak, dziękuję – odpowiedziałam z trudem. Czulałam się, jakbym była na pustyni i miała w ustach piasek.

– Wie pani co, wyjdziemy z koleżanką na trzy minuty, to tylko jeden skurcz. Zaraz wracamy.

Skinęłam głową, wiedziałam, że chcą wyjść na papierosa. Od obu czulałam woń tytoniu, której nie znosiłam (mój ojciec bardzo dużo palił, pamiętam kłęby dymu i ten okropny zapach). Nie miałam czasu do stracenia. Choć obolała, w jakimś nadludzkim tempie bez trudu zeskoczyłam z wysokiego łóżka; tym razem

wzrost mi się przydał (mam 180 centymetrów). Natychmiast znalazłam się przy umywalce, piłam prosto z kranu. Błogość rozplýwała się po całym ciele. Nigdy nie zapomniałam smaku tej wody: żelaza ze starych rur i śmierdzącego chloru. Nie wiem, ile wypiłam, mogę określić to tylko jednym słowem: dużo. Zdążyłam znaleźć się w łóżku, zanim wróciły położne. Było mi niedobrze, ale tylko przez moment. Wiedziałam, że pomimo mało atrakcyjnych dodatków ta woda ma w sobie życie.

Położna zbadała mnie i nawet na mnie nie patrząc, powiedziała do młodszej koleżanki:

– Ułóż ją do parcia.

Moje uda wylądowały na lodowatych metalowych rynnach. Niestety długie nogi nie pasowały do standardowego ustawienia podnózków. Młodsza położna próbowała podnóżki wyregulować, lecz nie mogła odkręcić śrub; zapewne zapieczone pokręta dawno nie były używane.

– I po co ci takie długie nogi – burknęła pod nosem na tyle głośno, że usłyszałam.

To na pewno drugi okres porodu, odetchnęłam z ulgą. Położne często mają taką manierę, że w trakcie parcia zwracają się do rodzącej „ty”, później znowu przechodzą na formę „proszę pani”.

Starsza z położnych skórzanymi pasami przywiązała mi nogi w połowie ud do rynien i mocno zacisnęła

klamry, żeby się dobrze trzymały. Pasy były wyrobione, widocznie często ich używano. Zaczął się kolejny skurcz. Pozycja była fatalna: łydki i stopy dyndały bez podparcia. Szkoda, że nie mogłam się zaprzeć, całą pracę musiałam wykonywać udami, szarpiąc pasy.

– Nie mogę efektywnie przeć, niewygodnie mi – powiedziałam.

– A komu wygodnie? – odezwał się młody lekarz oparty niedbale o ścianę. – Widzi pani, która godzina? Pierwsza – powiedział, nie czekając na odpowiedź. – A co robią normalni ludzie o tej godzinie? Śpią. Niech pani nie narzeka na niewygody, tylko zabiera się do roboty. Pani rodzi, a potem wszyscy idziemy spać. Pani też się przyda odpoczynek.

Poczułam pierwszy raz parcie, przyjąłam je z ulgą jako zapowiedź szybkiego, szczęśliwego końca. I tak było. Po kilku minutach o 1.35 urodził się mój synek; ważył 4300 gramów i przede wszystkim był zdrowy. Miałam spore nacięcie krocza. Jestem przekonana, że w trakcie szycia podano mi zawartość leżącej na biurku strzykawki. Nie powiedziano mi o tym, po prostu wstrzyknięto płyn prosto do żyły. Narkotyk „rozpisany” na dane nazwisko, otwarty, niewykorzystany to marnotrawstwo. Myślałam, że to oksytocyna, zorientowałam się, że jednak nie: od lekarza szyjącego moje krocze dzieliła mnie odległość co najmniej sześciu metrów, mój tułów wydawał się wyjątkowo długi;

spojrzałam w dół, podłoga znajdowała się o jakieś piętro pode mną. Gadałam jak najęta, przyznałam się, że jestem już prawie położną.

– Czemu pani wcześniej nie powiedziała? – próbowała mnie uroczo karcnąć położna.

– A co by to zmieniło? – zapytałam naiwnie.

– Szybciej by pani urodziła – powiedział uczciwie lekarz.

Wywieziona na korytarz, leżąc na wózku, przez dwie godziny byłam teoretycznie pod opieką położnych z sali porodowej. Jediną osobą, która się mną w tym czasie zainteresowała, była salowa; zauważyła, że za dużo krwawię i zmieniła mi podkład.

Kiedy ustąpiło działanie narkotyku, mogłam świadomie cieszyć się, że wszystko już za mną. Chciałabym móc powiedzieć: cieszyć się dzieckiem, ale dziecka ze mną nie było. Widziałam synka tylko przez chwilę, nawet nie mogłam go dotknąć. Moje myśli cały czas były przy nim. Płakałam, wyobrażając sobie, że leży gdzieś, nawet nie wiem gdzie, i też płacze, nic z tego nie rozumiejąc. Czułam się, jakbym go porzuciła. Przepęniał mnie smutek. Byłam sama. Z nikim nie mogłam podzielić się swoją radością z porodu, z dziecka. Nie było obok męża, mamy, mojej rodziny. Dla personelu byłam po prostu kolejną pacjentką. Cholerny system, pomyślałam. Ogarniała mnie coraz większa złość. Nie chcę czuć wściekłości, nie w takiej chwili!

Zacząłam się modlić, nie pamiętam, żebym kiedykolwiek modliła się tak żarliwie. Czułam, jakby nade mną otworzyła się przestrzeń, niekończąca się, potężna i łagodna. Wiedziałam, że mogę prosić o wszystko i będę wysłuchana, mam otwartą drogę. Głównie dziękowałam za to, co się wydarzyło, za cud. A o co tu prosić? Jestem przecież młoda, zdrowa, urodziłam zdrowe dziecko. Na policzkach czułam ciepłe łzy. Poprosiłam anioły o ochronę dla mojego dziecka, najbliższych, dla siebie. Ukojona przysnęłam.

*

Obudziło mnie typowe poranne zamieszanie: mierzenie temperatury, krzątanie personelu. Przesunęłam ręką po nodze: w połowie uda miałam poprzeczny długi dołek o głębokości przynajmniej centymetra i szerokości dwóch centymetrów, na drugiej nodze to samo. Gwałtownie odrzuciłam pościel; wyglądało to tak, jakby część nóg postanowiła oddzielić się od reszty ciała. Zaraz, zaraz... wróciła mi pamięć: pasy przy parciu! To przez nie mam te głębokie bruzdy na udach. Do oczu napłynęły mi łzy. Czy te ślady tak już zostaną? Taka porodowa pieczęć? Zastanawiałam się, gdzie jest granica absurdu, co jeszcze można zrobić kobiecie w trakcie porodu, by na zawsze wyryło się to na jej ciele i w umyśle? Nie chcę tak, nie będę tak

pracować! Nie chcę być taką położną! Takie traktowanie ludzi nie leży w mojej naturze. A może nie kończyć tej szkoły, pójść w innym kierunku i zająć się czymś zupełnie innym? Zmęczona w końcu naprawdę usnęłam. Nie przeszkadzało mi, że w sali nie ma dla mnie miejsca. Korytarz wydawał się równie przytulny.

Chciałam skorzystać z łazienki; znajdowała się na drugim końcu korytarza, musiałam więc przemierzyć spory dystans. Dwie kabiny prysznicowe na cały oddział położniczy. Byłam za słaba, by stać w długiej kolejce. Przyjdę później, pomyślałam. Zgięta wpół jak staruszka, trzymając się ścian, poręczy i klamek, wracałam do łóżka. Nagle spostrzegłam młodego chłopaka, żołnierza, mył lamperie. Próbowałam go ominąć. Przyglądał mi się z zaciekawieniem.

– Dlaczego pani taka zgięta? Coś panią boli? Niech się pani wyprostuje, bo pani tak zostanie.

Wyprostowałam się jak na komendę, ale w tej pozycji miałam kłopoty z oddychaniem. Mój organizm widocznie jeszcze nie zdążył przyzwyczaić się do tego, że w macicy nie ma już dziecka. Poczułam, jak krew odpływa mi z głowy; szum w uszach, coraz ciemniej przed oczami. Natychmiast zgięłam się z powrotem. Chłopak wrzucił szmatę do wiadra i w sekundę był przy mnie.

– Odprowadzę panią do łóżka.

– Pomoże mi pan dojść do oddziału noworodków? Od

porodu nie widziałam dziecka. Nie wiem, co się z nim dzieje. – Popatrzyłam na niego błagalnie. Skinął głową.

– To w korytarzu obok – powiedział.

Doszliśmy do szklanej ściany upačkanej rękami matek. Widać, wszystko widać, co za szczęście! Krzątająca się położna, łóżeczka ustawione w trzech rzędach po dziesięć, wypełnione dziećmi. Leżały jak małe mumie z wyprostowanymi na siłę wzdłuż ciała rączkami, jak mali niewolnicy. Niektóre płakały, inne już się poddały. Te starsze, kilkudniowe, wiedziały już, że płacz nic nie da: mama się nie pojawi, nie stanie przy łóżeczku. Szukałam wzrokiem synka. Pamiętałam tylko długie blond włoski. Nie znalazłam. Nie wiem który. Co ze mnie za matka? Nic nie rozumiem, powinnam wiedzieć. Nie widzę. Może go nie ma, może umarł. Był zdrowy.

Ocknęłam się na łóżku. Spod półprzymkniętych powiek zobaczyłam, że stoi nade mną kilka osób.

– Przenieście ją do sali i dajcie jej dziecko na następne karmienie – powiedział lekarz dyżurny do położnej. Poczułam ulgę. Nie otwierałam oczu, nie chciałam, żeby widzieli, jak płaczę. Cieszyłam się, że łzy ugrzęzły mi w gardle.

Synek nie potrafił prawidłowo ssać piersi. Nikt mi nie pomógł. Co trzy godziny dzieci przywożono do matek na karmienie. Położne z oddziału noworodków robiły to tak szybko, że nie było szansy o cokolwiek

zapytać. Te z oddziału położniczego mówiły, że nie zajmują się noworodkami. Miałam poranione brodawki, pomimo to bardzo chciałam karmić. Jednak ból zwyciężył. Ostatecznie mój mały synek w lawinach poczucia winy był karmiony sztucznym mlekiem z butelki.

Kobiety w tamtych czasach były pozostawiane same sobie. Poczułam, że moją wiedzę teoretyczną mogę sobie włożyć do szafki przy łóżku.

NOWA

Ledwie mój ośmiomiesięczny synek wyszedł z ospy, zauważyłam u siebie dobrze znajome krostki. Nadszedł czas powrotu do szkoły. Przecież nikt mnie nie wpuści na praktyki do szpitala z ospą, pomyślałam. Trudno mi będzie nadrobić długą nieobecność. Poza tym tak naprawdę nie chciałam wracać do środowiska, przeciwko któremu się buntowałam. Poczułam, że nie dam rady.

– Mamo, muszę ci coś powiedzieć, chyba nie wrócę do tej szkoły – wyrzuciłam z siebie na wydechu, mając świadomość, że obie z babcią specjalnie przeprowadziły się, by być blisko nas i opiekować się wnukiem.

Mama spojrzała na mnie zaskoczona.

– Chyba żartujesz, chcesz zrezygnować, ot tak po prostu? A twoja decyzja, żeby zostać położną? Nie poddawaj się, przechorujesz, pozbierasz się i do roboty. My z babcią ci pomożemy.

Do zaliczenia miałam praktyki na różnych oddziałach. Kilka miesięcy spędziłam w sali porodowej szpitala, w którym później podjęłam pierwszą pracę. Moją opiekunką była pani Zdzisława, nauczycielka i mentorka, jedna z wielu niezwykłych osobowości

wśród wykładowców mojej szkoły. Podziwiałam ją za wszystko: za wiedzę, pasję, nawet za urodę. I też za to, że przede wszystkim była kobietą, a potem położną. Nie wyobrażałam sobie, że mogę przyjść na jej seminarium nieprzygotowana, nawet po nieprzespanych nocach, gdy synek ząbkował, płacząc z bólu. Zawiodłam ją dopiero wtedy, gdy po dyplomie przekonywała mnie, że powinnam zostać w szkole jako wykładowca, a ja się nie zgodziłam. To oznaczałoby dla mnie koniec drogi, którą wybrałam, zanim ta droga się zaczęła. Owszem, byłam dobra z teorii, ale czego mogłam uczyć przyszłe położne, nie mając doświadczenia zawodowego?

*

Wreszcie miałam w ręku upragniony dyplom. Idąc na pierwszy dyżur, byłam tak przejęta, że z trudem oddychałam. Do tej pory czułam się bezpiecznie, zawsze mając obok siebie którąś z nauczycielek. Nagle, z dnia na dzień, cała odpowiedzialność zawodowa spadła na mnie. Cóż było robić, z dumą włożyłam czepek z szerokim czerwonym paskiem i ruszyłam do akcji. Przez tydzień miałam przyglądać się pracy na oddziale położniczym. Przydzielono mnie do pani Jagody; była doświadczoną położną, za rok miała przejść na emeryturę. Zasadnicza, dużo paliła, ale wiedziałam, że przy niej nauczę się fachu. Układ był prosty: ja pracuję,

ona mówi mi, co mam robić; jeśli czegoś nie wiem, to pytam.

Nikt nie oprowadził mnie po wszystkich oddziałach, nie poznałam personelu. No i pierwsza wpadka (to jedna z tych sytuacji, w których nie chcesz się znaleźć po raz drugi) – idącą korytarzem panią profesor z oddziału noworodków wzięłam za salową i poprosiłam o pomoc w prześcieleniu łóżka. Uśmiechnęła się do mnie i zapytała:

– Nowa? – Skinęłam głową. – Wiesz, kochanie, jestem trochę zajęta. Poproś koleżankę, jest na sali pooperacyjnej i zmywa podłogę. Jak skończy, na pewno ci pomoże.

O tym, kim jest, dowiedziałam się po półgodzinie podczas obchodu. Czułam, że zapadanie się pod ziemię trwałoby zbyt długo.

Na szczęście nie miałam czasu na zamartwianie się. Okazało się, że jedna z położnych zachorowała i nazajutrz miałam objąć samodzielny dyżur nocny. Boże, oby wszyscy przeżyli, pomyślałam. Nie było jednak tak źle, aż do chwili, kiedy przed północą musiałam odebrać z bloku operacyjnego dwie pacjentki po cesarskim cięciu. Jedna z nich miała schizofrenię, ale nie sprawiała mi kłopotów. Natomiast ta druga rano sięgnęła do swojej torby przy łóżku, wyjęła spory kawałek kaszanki i zjadła. Weszłam do sali, gdy pozostał jej ostatni kęs, zbladłam.

– Mówiłam, że nie może pani jeść. Miała pani operację w znieczuleniu ogólnym – wydobywałam z siebie słowa niemal bezgłośnie.

Co robić? Muszę natychmiast zgłosić to lekarzowi! Będzie zły, że nie dopilnowałam pacjentki. Zapukałam do drzwi gabinetu lekarskiego.

– Panie doktorze, pacjentka, ta po cesarskim cięciu dziś w nocy, zjadła przed chwilą kaszanekę bez mojej zgody.

– I co z tego? – zapytał.

– No, boję się, że dostanie niedrożności i umrze.

– Zaraz zobaczymy – odparł. Odwrócił się do mnie tyłem. Wiem, że się ze mnie śmiał, musiałam komicznie wyglądać z tym przerażeniem w oczach.

– Za chwilę ją obejrzę – rzucił przez ramię.

Pacjentka na szczęście czuła się wyśmienicie.

Początek mojego życia zawodowego nie składał się z samych niefortunnych zdarzeń, na które dziś patrzę z uśmiechem. Oprócz codziennej ciężkiej pracy miałam też okazję przejawiać bystrość umysłu i szybkość w działaniu.

Pewnego razu, przechodząc nocą korytarzem, spostrzegłam, że pacjentka po porodzie, leżąca od kilku godzin na moim oddziale, podejrzanie pręży ciało, robiąc przy tym dziwne miny. Pobiegłam po dyżurną lekarzkę, twierdząc, że jedna z położnic ma atak rzucawki. Spojrzała na mnie z pobłażaniem; nie uwierzyła, ale

poszła za mną. Miałam rację, choć to bardzo rzadkie powikłanie i czytałam o nim tylko w książkach. Kobieta zwierzyła mi się później, że to jej trzeci poród i po każdym ma te same reakcje. Prosiła jednak, by nie mówić o tym nikomu, a przede wszystkim jej mężowi; on nie może wiedzieć, że jest chora, byłby zły. Tłumaczyłam, że nie informując nas o tym, postąpiła lekkomyślnie. Przypadek sprawił, że akurat przechodziłam obok, w przeciwnym razie mogło dojść do tragedii. Patrzyła na mnie ze zdziwieniem, czułam, że nie rozumie, co do niej mówię. Było mi jej żal.

*

Raz po raz przychodziło mi przyglądać się życiu z bliska. Jak na młodą położną były to często dość szokujące doświadczenia. Starłam się rozumieć, wyciągać wnioski, a przede wszystkim nie oceniać, choć nie było to łatwe. Ciągłe uczyłam się właściwego reagowania w trudnych sytuacjach, a życie stawiało przede mną coraz to nowe wyzwania.

Pamiętam wykształconą kobietę, która przyszła urodzić swoje drugie dziecko. W trakcie porodu poinformowano ją, że to bliźnięta. W połowie lat osiemdziesiątych USG było luksusem. To, że rodząca dowiadywała się o ciąży mnogiej dopiero podczas porodu, było dość częste. Urodziła dziewczynkę

i chłopca. Dostała do karmienia swoje dzieci. Patrzyła w skupieniu raz na jedno, raz na drugie. Nie miałam pojęcia, że w tej chwili ważą się ich losy. Podąa mi jedno z zawiniątek, mówiąc:

– Proszę to dziecko zanieść na oddział noworodków. Zdecydowałam, że zatrzymam syna. To drugie chcę oddać do adopcji, w domu mam już córkę. Nie jesteśmy przygotowani na trójkę dzieci.

Stałam oniemiała, nie mogłam zrobić kroku. Nie wiem, jak wyglądałam i jaką miałam minę, ale dokładnie wiem, co czułam: to była mieszanina szoku, zażenowania, złości i bezsilności. Pacjentka zaczęła się tłumaczyć, ale każde następne zdanie, które wypowiadała, miało coraz mniejszy sens, aż osiągnęła moim zdaniem granice absurdu. Usłyszałam, że mają tylko malucha, to mały samochód, więc wszystkie dzieci się nie zmieszczą. Wzięłam dziecko bez słowa i odniosłam na oddział noworodków. Po chwili wróciłam.

– Proszę się dobrze zastanowić, to decyzja na całe życie. Czy rozmawiała pani z mężem? – zapytałam, próbując ukryć emocje.

– On nie wie, że to bliźnięta, i nigdy się o tym nie dowie – powiedziała stanowczo.

– A może powinien wiedzieć? To również jego dzieci. Nie uważa pani, że powinniście razem zdecydować o tym, że rodzeństwo zostanie rozdzielone na zawsze?

Trudno mi było pojąć, że ludzie bez wahania podejmują takie kroki. Niełatwo jest zrozumieć kogoś, kogo widzimy pierwszy raz w życiu i spotykamy się tylko na kilka godzin. Nie wiedziałam, czy dobrze robię, rozmawiając z nią o tym. Może powinnam pozostać tylko niemym świadkiem. Ta kobieta nie zmieniała zdania. Jej mała córeczka została w szpitalu, tracąc biologiczną rodzinę i być może już na zawsze tożsamość.

SIOSTRA

Dwadzieścia łóżek w salach plus kilka w korytarzu; pokoje od trzech do pięciu miejsc. Na cały oddział jedna łazienka wyposażona w dwie toalety i trzy kabiny prysznicowe (z białymi, poobijanymi kafelkami). Intymność miały zapewniać zasłony z folii, które ciągle pourywane niczego nie osłaniały. W rogu łazienki olbrzymi kosz, z którego zawsze wysypywały się zakrwawione podpaski. Salowe miały obowiązek wnoszenia śmieci tylko raz, pod koniec dyżuru, i tego się twardo trzymały, nie zwracając uwagi na rosnące krwawe hałdy ligniny. Tak wyglądał mój oddział położniczy.

*

W tamtych czasach, w połowie lat osiemdziesiątych, rodzące kobiety mogły zabrać ze sobą do szpitala tylko podstawowe osobiste rzeczy, a już na pewno musiały zapomnieć, co znaczy słowo majtki: nie wolno było ich mieć i koniec. W czasie porannego obchodu łóżka musiały być nienagannie zasłane, niemalże pod linijkę,

a na szafce mógł stać jedynie kubek. Ówczesny ordynator bardzo tego przestrzegał. Rano położna chodziła od sali do sali, sprawdzając porządek. Nosiła ze sobą wielką puszkę ze sterylnymi wkładkami i rozdawała po jednej, wyjmując je specjalną pęsetą. Zaletą tych wkładek było to, że po sterylizacji lignina stawała się miękka i nie drażniła obolałego krocza. Inne wkładki, dostarczane przez rodziny w paczkach, pracowicie gromadzone, ukryte przez pacjentki w szafkach i pod poduszkami, położna bezwzględnie konfiskowała. W przeciwnym razie robił to ordynator na obchodzie, a wtedy kończyło się to awanturą.

Obchody były tłumne. Miałam wrażenie, że nagle zjawiali się wszyscy, którzy przyszli tego dnia do pracy. Było to pewnego rodzaju spotkanie towarzyskie. Jako że nie wszyscy mieścili się w pokoju, ci w ostatnich rzędach mogli porozmawiać sobie o czymś przyjemnym i wymienić uprzejmości.

Dla kobiet był to ekshibicjonistyczny rytuał; na długo pozostawał w ich pamięci. Należało odrzucić pościel i pokazać krocze, rozstawiając szeroko nogi. Jeżeli krocze było wyjątkowo obrzęknięte lub źle się goiło, kolejne rzędy uczestników obchodu przeciskały się między łózkami, żeby je koniecznie obejrzeć. Chyba najbardziej chodziło o to, żeby pan ordynator zobaczył zainteresowanie i zaangażowanie personelu.

W pierwszej dobie po porodzie kobiety nie wstawały

z łóżek, najczęściej były na to za słabe. Jeszcze w trakcie praktyk w sali porodowej widziałam sytuacje, kiedy pacjentki po porodzie z naciętym kroczem okrytym jałową serwetą, z nogami umieszczonymi na metalowych podnóżkach, czekały na jego zszycie nawet czterdzieści minut – lekarze w tym czasie przeprowadzali cesarskie cięcie. Nieraz obserwowałam z niepokojem stojące na podłodze wiadro, do którego sączyła się nieustannie krew. Tłumaczyło to, dlaczego tak dużo kobiet po porodzie musiało być poddanych transfuzji.

Skoro były za słabe, żeby wstać, należało im się podmywanie krocza w łóżku dwa razy dziennie. Nie było to moje ulubione zajęcie; pamiętam doskonale zapach nadmanganianu potasu rozpuszczonego w ciepłej wodzie, pomieszany z wonią krwi i gojącego się krocza.

*

Zupełny zakaz odwiedzin na oddziale położniczym zaowocował ciekawymi pomysłami łamania go. Późnym popołudniem, gdy było trochę spokojniej, kobiety przekazywały sobie umiejętność otwierania nożem lub widelcem zatrzaśniętych drzwi prowadzących poza oddział, gdzie można było na parę sekund zobaczyć się z mężem. Przyznaję, że przymykałam oko na te spotkania; przecież to nie było więzienie.

Przeczuwałam, że to musi się kiedyś zmienić.

I rzeczywiście niebawem wprowadzono nowy przepis, który zezwalał na dwie godziny odwiedzin, po południu między karmieniami. To jednak mocno kolidowało z interesami prowadzonymi wówczas przez panie salowe: kursowały pomiędzy pacjentkami a ich rodzinami, przekazując liściki oraz paczki. Były to z reguły starsze kobiety, zarabiały bardzo mało. Dojeżdżały do pracy często ponad sto kilometrów, dodatkowe pieniądze przeznaczały na bilety. Wychodziły na swoje, tak mówiły. Na oddziale krzewił się też inny proceder, mianowicie kupczenie czystymi koszulami i podkładami na łóżko. Ten biznes salowych położne ukróciły, zabierając klucz od szafy z pościelą.

Jedyny telefon, na żetony, który łączył pacjentki ze światem na zewnątrz, znajdował się w korytarzu obok dyżurki położnych. Chyba musiał być w tym jakiś ukryty cel: osłabione porodem kobiety często mdlały, fachowa pomoc była obok. Stało tam wprawdzie jedno twarde krzesło, było jednak rzadko używane ze względu na obolałe krocza telefonujących.

Do jednego aparatu na oddziale zawsze ustawiała się długa kolejka, która zmniejszała się tylko wtedy, gdy zbliżała się pora karmienia dzieci. To bliskie sąsiedztwo aparatu telefonicznego i dyżurki sprawiało, że często byłam skazana na wysłuchiwanie niekończących się opowieści pacjentek oczekujących na swoją kolej do telefonu; o ich porodach, położnych i lekarzach. Ale

miało to też dobre strony: dzięki temu wiedziałam, jak odbiera szpitalną rzeczywistość „druga strona barykady”, co okazało się bardzo pouczające. Dowiadywałam się, która położna jest dobra w swoim fachu, który lekarz dobrze szyje krocze, a po którym zawsze okropnie ciągną szwy. Niejednokrotnie słyszałam kolejny raz tę samą historię, która zdążyła już obrosnąć w wydumane powikłania porodowe. Cóż, uśmiechałam się tylko do siebie, pisząc raport z dyżuru.

*

Zawsze, gdy zbliżała się pora karmienia i z oddziału noworodków wyjeżdżał wózek z dziećmi, biegłam, by pomóc rozdać je matkom. Należało to zrobić szybko, gdyż wrzask dwudziestu głodnych maluchów był trudny do zniesienia i ranił serce. Dźwięk wózka za każdym razem budził we mnie moje osobiste wspomnienia związane z porodem i przywoływał ból poranionych brodawek.

Żałuję, że nie zrobiłam na pamiątkę zdjęcia tego wózka, a raczej wozu. Był plastikowy, w cielistym kolorze; kółka też były z plastiku, więc robił na korytarzu straszny rumor. Czasami myślałam, że dzieci płaczą bardziej z powodu hałasu niż z głodu. Wózek składał się z dwóch kondygnacji, każda z nich miała dziesięć przegródek wyglądających jak korytka: były

dokładnie wymierzone, aby zmieścił się tam jeden płaczący kokon. Najpierw należało wydać dzieci z górnej półki, potem przesunąć ją do tyłu, co pozwalało dostać się do dolnej kondygnacji. Maluchom wystawiały z zawiniątek tylko główki. Nie wolno było ich rozwijać pod żadnym pozorem; zresztą żadnej matce nie przyszłoby to nawet do głowy: nie potrafiłaby zawinąć dziecka tak samo, kokony były nie do podrobienia. O 23.00 odbywało się ostatnie wieczorne karmienie, potem dzieci pozostawały na łasce położnych i pielęgniarek z oddziału noworodków aż do 6.00; matki wiedziały, że maluchy będą w nocy głodne. Pojawiły się już pierwsze elektryczne laktatory do odciągania pokarmu. Wszystkie matki musiały po ostatnim karmieniu odciągać mleko, następnie zlewały je do jednego garnka. Pokarm był pasteryzowany i rozlewany do butelek, karmiono nim w nocy noworodki (w tamtych czasach o AIDS nikt nie słyszał).

Rozumiałam bezradne i wystraszone matki nieradzące sobie z przystawianiem dzieci do piersi. Wspierałam je, jak umiałam najlepiej. Już wtedy, pomimo młodego wieku, po raz pierwszy poczułam ostry ból w kręgosłupie, gdy pochyłona nad kolejną karmiącą próbowałam się w końcu wyprostować.

– Ależ się siostra męczy, ale ja chyba nie dam rady karmić – usłyszałam od kobiety, której przez trzy dyżury poświęciłam najwięcej czasu.

„Siostra”. Od początku miałam z tym zwrotem jakiś problem. Co niby miał oznaczać? Przecież nie pokrewieństwo. Chlubna historia wielu zakonów sióstr miłosierdzia, udzielających się medycznie z pełnym oddaniem – to rozumiem. Nie słyszałam jednak o zakonie, który parałby się położnictwem. Zwrot „proszę pani” zawsze wydawał mi się bardziej odpowiedni. Wtedy nawet nie podejrzewałam, że za dwadzieścia lat niektóre położne, myślące podobnie jak ja, będą nosić przy szpitalnych mundurkach plakietki z napisem: „Tylko mój brat mówi do mnie siostró”.

ODPEŃNIAJ

To był dla mnie prawdziwy awans – po kilku miesiącach pracy na oddziale położniczym zostałam wybrana spośród siedmiu czy ośmiu najmłodszych położnych do pracy w sali porodowej. Moje marzenia spełniły się szybciej, niż myślałam, wyrosły mi skrzydła. Jednak pierwszy dyżur, którego nie mogłam się doczekać, pozostawił gorzki smak.

Zaczęło się od tego, że jak na złość spóźniłam się kilka minut. W drodze do pracy miałam trzy przesiadki; nie przyjechał jeden z autobusów, właśnie wtedy. Byłam na siebie zła, że nie wyszłam z domu wcześniej. Wbiegłam zdyszana do dyżurki, przepraszając już od progu. Oddziałowa popatrzyła na mnie z lekką naganą, ale zaraz się uśmiechnęła, mówiąc:

– To nasza nowa położna.

Jeden z lekarzy wyciągnął do mnie rękę.

– Czekałski – powiedział z powagą.

– Spóźnialska – odpowiedziałam, podając mu rękę i spuszcżając oczy.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Byłam za bardzo zdenerwowana, żeby śmiać się razem z nimi, choć

natychmiast zorientowałam się, że miałam niezłe wejście. Doktor Czekalski okazał się bardzo sympatycznym człowiekiem (Boże, skąd miałam wiedzieć, że naprawdę tak się nazywa).

*

Pierwszy dzień mojej pracy w sali porodowej mógł być ostatnim; mało brakowało, gdyż wypadki potoczyły się dość niespodziewanie. Rodziły dwie kobiety, jedna była na początku porodu, druga mniej więcej w połowie. Dzielił je jedynie stojący parawan. Pierwszy dzień i skok na głęboką wodę – miałam się nimi zająć, wyglądało na to, że obie urodzą na moim dyżurze. Finał w moim wykonaniu miało oglądać sporo osób. Chodziło głównie o to, żeby zobaczyć, jak radzę sobie w sytuacjach stresowych.

W głowie miałam mnóstwo mądrych rzeczy. Kiedy byłam w szkole położnych, zafascynował mnie francuski położnik Frédéric Leboyer i jego książka *Narodziny bez przemocy*, lecz wszystko, co proponował, wydawało mi się w połowie lat osiemdziesiątych utopią. Noworodek z nieodciętą pępowiną położony na brzuchu matki, przystawiony od razu do piersi? Niepoddawany w chwilę po porodzie obróbce: ważenie, mierzenie, badanie i zagłębienie w każdy otwór ciała? O nie, w Polsce było inaczej. Od lat panowały stare zwyczaje, które nie

wiadomo komu miały służyć.

Nawiązałam sympatyczną relację z moimi rodzącymi. Odsłoniłam na chwilę parawan, żeby widzieć je obie; okazało się, że znają się z widzenia. Wytłumaczyłam im, co się dalej będzie działo. Zapytałam tej, która miała prawie pełne rozwarcie, czy zechciałaby zaraz po porodzie przytulić swoje dziecko.

– Jak to, tak można? – zapytała zdziwiona.

– Tak, położę je pani na brzuchu.

– Już raz rodziłam w tym szpitalu, od razu zabrano mi córeczkę, widziałam tylko jej stopę. – Słyszałam w jej głosie, że mi nie dowierza.

– Teraz zrobimy inaczej, będzie wielkie powitanie! – oznajmiłam.

Rozmowę przerwał nam mocny skurcz party, tym samym zapowiadając finał. Przygotowałam narzędzia do porodu, zaczęłam myć ręce szczotką z włosia i płynem odkażającym; tego dnia ręce szorowałam aż do bólu.

Moja rodząca była już gotowa. Kątem oka obserwowałam gromadzące się audytorium. Oprócz ginekologa i neonatologa, co było wówczas standardem, przyszedł nawet sam ordynator; wołałam myśleć, że ich tu nie ma. Po nacięciu krocza maluch urodził się bardzo sprawnie. Pouczona przeze mnie wcześniej rodząca szybkim ruchem podciągnęła koszulę aż po szyję. Jej malutki synek wylądował, kończąc swoją podróż, w ramionach mamy. Zaległa złowroga cisza, którą

przerwało łkanie szczęśliwej kobiety. Po minucie całkowitej konsternacji pan ordynator ryknął tubalnym głosem: – Fizyki się nie uczyłaś? O naczyniach połączonych nic nie wiesz? Gdzie kładziesz dziecko? Na brudną kobietę? Pięknie!

Opuścił natychmiast salę, nie dając mi szansy na obronę! Chociaż może dobrze, że wyszedł, bo kompletnie mnie zatkało. Odpowiedzi układały mi się w głowie, ale nie były przeznaczone dla uszu tam obecnych.

Próbowałam wyciszyć emocje i opanować pędzące myśli. Zaraz, o co chodzi? Czy on mi sugeruje, że jeżeli położyłam dziecko na brzuchu matki, a łożysko w macicy jest poniżej, to krew z dziecka siłą grawitacji odpłynie do łożyska? To jakiś absurd, przecież to są dwa oddzielne układy krążenia... – No, odpepniaj, na co czekasz? – usłyszałam głos oddziałowej.

Założyłam zaciski, przecięłam pępowinę. Dziecko natychmiast z czułych rąk mamy powędrowało na zimną wagę.

Po kilku godzinach poród mojej drugiej podopiecznej dobiegał końca. Była świadkiem całego zajścia; powiedziała mi, że jest jej przykro, wie, że chciałam dobrze. – Pani Kasiu, położyć pani dziecko na brzuchu? – zapytałam z uśmiechem, zdzierając nerwowo z rąk resztki naskórka kolejną szczotką. – Rozumiem, że to żart. Czy pani nie ma instynktu samozachowawczego? –

zapytała zdumiona. – Dam sobie radę, będzie dobrze! – odpowiedziałam.

Rozmowę przerwał nam kolejny skurcz i zbierająca się w milczeniu widownia; dołączyli jeszcze inni lekarze i położne, naliczyłam dziesięć osób. Wieści rozeszły się szybko, każdy chciał zobaczyć smarkulę, która robi, co chce. Spojrzałam na ordynatora, miał zaciętą, surową twarz i na czole wypisane: tylko spróbuj!

Postawiłam wszystko na jedną kartę: jak mnie mają wyrzucić, niech to zrobią dzisiaj. Ciało dziecka wyslizgiwało się powoli, wydawało się, że trwa to wieczność, a to były przecież góra dwie sekundy. Położyłam malca na łóżku, między nogami matki. Usłyszałam, jak widownia wypuszcza z ulgą powietrze. Wycierałam mu powoli zakrwawioną twarzyczkę, umyślnie przeciągając przecięcie pępowiny. – Przecinaj, przecinaj! – ktoś syknął za moimi plecami.

I wtedy poczułam przyplływ sił (zawsze w takich momentach lubię myśleć, że dają mi je moi anielscy opiekunowie). Sprawnie przecięłam pępowinę, uniosłam dziecko do góry, pokazując je matce. Następnie położyłam je na jej brzuchu, okrywając pieluszką. Podniosłam powoli głowę, wbijając spojrzenie w ordynatora, i ze śmiertelnie poważną miną powiedziałam głośno:

– Teraz krew nie odpłynie.

Miałam szczęście. Do tego porodu przyszła inna

lekarka neonatolog. Dziś mogę o niej powiedzieć: orędowniczka pierwszego kontaktu matka – dziecko. Wówczas uważana była za dziwną. Zachwyciła ją ta scenka. Osobiście przystawiła noworodka do piersi matki, mała dziewczynka zaczęła łapczywie ssać. Matka płakała, obsypując dziecko pocałunkami. Wszyscy mieli łzy w oczach, położne bez skrępowania ocierały je dłońmi. Pan ordynator i jego świta bez słowa wyszli z sali.

*

Następnego ranka odprawa lekarska położników i neonatologów trwała wyjątkowo długo. Gdy przyszedłam na dyżur nocny, koleżanki położne przekazały mi, że pani doktor z noworodków oficjalnie zażądała kontaktu matki z dzieckiem bezpośrednio po porodzie.

Stwierdziła, że na tle Europy nie możemy być, jak się wyraziła, tępym zaściankiem.

Ordynator położnictwa ciągle nie mógł pogodzić się z tym, że można spoconej, brudnej kobiecie położyć na brzuchu dziecko. Czy aby na tym ma polegać ta nowoczesność?

Lekarka argumentowała, że to przecież dziecko kobiety, nie szpitala, a ona ma prawo do bliskości. Próbowiła tłumaczyć, na czym polega kolonizacja bakteriami matki. Przekonywała, że będzie

zdecydowanie lepiej, jeżeli jałowy teren na skórze dziecka zajmą drobnoustroje matki, a nie szpitalne mutanty.

Doszli do konsensusu i zaczął się dość zabawny okres w życiu sali porodowej. Pojawiły się słoiki i słoiczki z gazikami zamoczonymi w płynie dezynfekcyjnym i tkwiącą w środku pęsetą. Zasada była następująca: jak już dziecko choćby czubkiem głowy jest na tym świecie, ktoś z personelu rzuca rodzącej na odsłonięty brzuch mokry i zimny gazik ze słoika, przygotowując jałowe pole do położenia dziecka. Dezynfekowano jej także ręce. Nie muszę nikogo przekonywać, że tę komedię odgrywaliśmy tylko do godziny 15.00, kiedy byli w pracy ci, którzy ją wymyślili. Po południu i w nocy noworodki nie musiały wchłaniać przez skórę procentów, gdyż lądowały na brzuchu matki, który nie był oblewany alkoholem. Z czasem słoików było coraz mniej, aż w końcu nie wiadomo kiedy zniknęły. Za to powstał nowy przepis, który był nie do obejścia: przykrywano brzuch rodzącej zieloną jałową serwetą i na niej kładziono dziecko. Gdy odchodziłam z pracy po prawie pięciu latach, ciągle jeszcze tak postępowano.

*

Tamtego dnia mnie nie zwolniono, ale z panem

ordynatorem nie wchodziliśmy sobie w drogę. Byłam traktowana jak tykająca bomba zegarowa.

Nie wiem, dlaczego na pierwszym dyżurze przyszedł mi do głowy pomysł, by być po stronie kobiety pomimo wszystko, ani skąd wzięłam na to tyle siły. Wiem, że od tamtej pory moja zahartowana głowa miała mi służyć do rozbijania różnych murów, zwłaszcza wzniesionych z zatwardziałych przekonań i lęku.

OJ, KOCHANIUTKA

W 1987 roku byłam w kolejnej ciąży. Początki okazały się trudne, gdyż do czwartego miesiąca musiałam pracować również na nocnych dyżurach. Wspomnienia z tego czasu mam nie najlepsze. Sił do aktywności wystarczało mi mniej więcej do północy, potem zasypiałam nawet na stojąco. Rozpaczliwie potrzebowałam dwóch–trzech godzin odpoczynku i mogłam pracować dalej. Młody lekarz, Tomek, widząc, jak się czuję, układał mnie w dyżurce i przykrywał kocem. Przyjmował za mnie porody. Byłam mu naprawdę wdzięczna (dziś jest jednym z najbardziej cenionych specjalistów od USG). Po trzech miesiącach nie byłam już taka senna, ale też nie musiałam dyżurować w nocy. Przychodziłam do pracy co drugi dzień na dwanaście godzin. Nie pracowałam bezpośrednio przy rodzących, od kiedy jedna z nich niechcący boleśnie kopnęła mnie w brzuch; dzięki Bogu nic złego się nie stało.

*

Innym traumatycznym wydarzeniem z początku ciąży była śmierć mojej babci Józefy. Zasłabła na ulicy, pogotowie zabrało ją do szpitala. Nie mieliśmy samochodu, więc zanim dojechałam autobusem, minęło sporo czasu. Znalazłam ją leżącą na korytarzu oddziału internistycznego. Jeszcze żyła, pomimo to w nogach łóżka leżał czarny worek ze wszystkimi jej rzeczami. Zrozumiałam to jednoznacznie. Pierwszy raz tak bezpośrednio dotykałam śmierci, czułam ją w powietrzu. Babcia miała osiemdziesiąt jeden lat; trudno mi było pogodzić się z tym, że nie walczy się już o życie kogoś w tym wieku. Zastanawiałam się, w jakim celu miała w rękę wkłuty wenflon, skoro nie podawano jej żadnych leków ani kroplówek. Pozostawiono ją konającą i samą.

Usiadłam na łóżku. Trzymałam jej zimną rękę, jeszcze mnie poznawała, ucieszyła się, że zdążyłam. Wiem, że na mnie czekała.

– Nie odeszłabym bez pożegnania. Żałuję, że nie zdążę zobaczyć twojej córki – wyszeptwała.

Jak się później okazało w badaniu USG, rzeczywiście miała urodzić się dziewczynka.

Czułam, że babcia znajduje się teraz w tym szczególnym momencie, kiedy wie się wszystko. Była pogodna, ale oddychała coraz wolniej. Szukałam spojrzeniem pomocy wśród przechodzących korytarzem pielęgniarek. Jedna z nich zatrzymała się i położyła mi rękę na ramieniu.

– To koniec, zaraz umrze. To ostatnie oddechy. Nie jesteśmy już w stanie pomóc.

A więc tak to wygląda, pomyślałam. Narodziny i śmierć wydały mi się tak sobie bliskie. Czułam, że to się odbywa w tej samej duchowej przestrzeni. Dusza przychodzi i odchodzi tą samą drogą.

Poczułam, że zelżał uścisk ręki. Patrzyłam z nadzieją na klatkę piersiową. Może się jeszcze poruszy? Babcia odeszła, z całą swoją życiową mądrością. Płakałam. Rozbolał mnie brzuch, poszłam do dyżurki pielęgniarek i poprosiłam o tabletkę no-spy. Przyznałam się, że jestem w trzecim miesiącu ciąży. Wydały mi lek bez wahania.

Wracałam do domu autobusem z czarnym workiem na kolanach, zastanawiając się, jak powiedzieć o wszystkim mamie.

Bliskość mojej babci poczułam jeszcze raz, bardzo wyraźnie, gdy wróciłam ze szpitala do domu z nowo narodzoną córeczką. Wiem, że przyszła ją zobaczyć. Do dziś czuję jej delikatną obecność w trudnych momentach mojego życia.

*

Dzięki temu, że od czwartego miesiąca ciąży nie pracowałam już bezpośrednio przy porodach, miałam

więcej czasu na rozmowy z pacjentkami i obserwację oddziałowego życia. Byłam kiedyś świadkiem zabawnej sytuacji. W sali leżały cztery przesympatyczne młode ciężarne oczekujące na swoje porody. Dołączyła jeszcze jedna, starsza, była w czwartej ciąży. Usiadła na łóżku w bezruchu.

– Czwarte dziecko, jaka pani doświadczona, dlatego jest pani taka spokojna – zagaiła jedna z dziewczyn.

– Jeszcze nie rodzę, mam nadciśnienie. Nie wiem, ile mnie tu potrzymają. Dzieciaki zostały z mężem, a on nie da sobie rady, martwię się.

– Ale porodem się pani nie denerwuje? – zapytała inna. – My wszystkie jesteśmy już sporo po terminie. Codziennie chodzimy na salę porodową na wywołanie skurczów i nic z tego – dodała.

– Jak to nie możecie urodzić? Są sposoby – powiedziała weteranka, nie zmieniając pozycji.

– Jakie? – pytały jedna przez drugą. – Zrobimy wszystko.

Wyteńczyłam słuch.

– Trzeba zaparzyć trzy łyżeczki kawy, wypić ją i zjeść fusy. Na koniec zrobić dziesięć przysiadów.

Musiałam wyjść z sali. Nie chciałam zajmować stanowiska w tej sprawie, poza tym chciało mi się śmiać. Nie wypadało mi naigrawać się z osobistego doświadczenia tej kobiety. Gdy jakiś czas później wróciłam, w sali unosił się cudowny zapach świeżo

parzonej kawy. Uśmiechnęłam się pod nosem, wyobrażając sobie ciężarne robiące przysiady. Pół godziny później jednej z nich odpłynęły wody płodowe. Pewnie był to przypadek, a może nie?

*

Będąc w ciąży, nie pracowałam co prawda bezpośrednio przy porodach, ale dużo czasu spędzałam z rodzącymi. Dziś określiłabym to jednym słowem: psychoprofilaktyka. Pomagałam przetrwać kolejny skurcz, trzymałam za rękę, uczyłam, jak należy oddychać.

Wiele razy słyszałam:

- Jest pani za młoda, żeby wiedzieć coś o porodzie.
- Już raz rodziłam. I jestem w kolejnej ciąży – odpowiadałam z dumą, pokazując brzuch niewidoczny pod dość obszerną sukienką.

Swojego porodu bardzo się bałam, pomimo że miałam rodzić wśród znajomych ludzi w dobrze znanym mi miejscu. Lęk nasilił się około pięciu–sześciu tygodni przed terminem. Dziś wiem, że to fizjologia: natura mobilizuje kobietę do ostatnich przygotowań, wzmacniając instynkt gniazda – łóżeczko, ubranka, pieluszki. Czy zdążę, czy o niczym nie zapomniałam? Po dwóch tygodniach lęk ustąpił miejsca dziwnym ciarkom

chodzącym mi po plecach na myśl o porodzie. To reakcja na nadchodzący ból, pomyślałam. Do pierwszego porodu poszłam z ufnością; wiedziałam, że będzie bolało, ale byłam pełna nadziei, że dam radę. Tym razem, mając pełną świadomość, co mnie czeka, postanowiłam potraktować go jak trudne zadanie do wykonania. Wyzaczyłam sobie przy okazji jeszcze jeden cel: chciałam sprawdzić, dlaczego rodzące, przychodzące z izby przyjąć do sali porodowej, są takie roztrzęsione i niejednokrotnie płaczą. Nigdy nie widziałam położnych tam pracujących, ponieważ rodzące przyprowadzała salowa. Od koleżanek dowiedziałam się, że izba przyjąć to zsyłka chwilę przed pójściem na emeryturę.

*

Świt, 4.00. Poczułam ból, który zmusił mnie do wstania z łóżka. Za mocny jak na pierwszy skurcz, pomyślałam kompletnie zaspana i zaskoczona. Jakie to dziwne: my, kobiety, przecież wiemy, że poród nastąpi, czekamy na niego, a mimo to nas zaskakuje. Minęło pięć minut, kolejny skurcz okazał się silniejszy od poprzedniego; już nie miałam wątpliwości. Otworzyłam szeroko kuchenne okno i wpuściłam chłodne powietrze, a wraz z nim odgłosy budzących się ptaków. Odkręciłam kran, nie było wody. Chyba żart. Jak mam pójść do porodu z nieumytymi włosami? Uff, w czajniku trochę

zostało... Kolejny skurcz kazał mi odpuścić temat mycia głowy. Obudziłam męża:

– Zaczął się poród, umawiałeś się z taksówkarzem. Idź po niego, nie ma na co czekać.

Wstał natychmiast, widząc, że kolejny skurcz zgina mnie w pół. Cieszyłam się w duchu, że się wreszcie zaczęło. Sądząc po intensywności, nie potrwa to długo. Bez wahania i ani odrobiny strachu poddałam się biegowi wydarzeń. Mąż długo nie wracał, choć przecież taksówkarz mieszkał w bloku obok. Okazało się, że w stresie i jeszcze zaspany pobiegł najpierw na postój, na którym, jak się można było spodziewać, o tej porze było pusto. W tym czasie obudziła się moja mama, ze łzami w oczach pobłogosławiła mnie przed wyjściem.

Taksówkarz był blady jak ściana. Poprzedniego dnia zamienił fiata 125p na nowego poloneza i zdjął po południu folię z siedzeń. Wyraźnie nie mógł sobie tego darować.

– Czy odpłynęły już pani wody? – zapytał przerażony.

Pokręciłam przecząco głową.

– A czy jest pani, że tak powiem, odpowiednio przygotowana?

Kiwnęłam, że tak. Chciałam, żeby wreszcie ruszył. Oczywiście, że nie byłam, nie przyszło mi to do głowy.

Nie mogłam normalnie siedzieć. Nie sądziłam, że jezdnie są aż tak dziurawe; każdy podskok czułam

w mózgu. Całą drogę spędziłam, lewitując nad siedzeniem, unosząc ciało na wyprostowanych rękach.

– Czy ten szpital to na pewno pani rejon? – upewniał się taksówkarz, kontrolując cały czas tylne siedzenie. Potwierdziłam skinieniem głowy.

Musiałam jeszcze pójść do szatni dla personelu po torbę ze swoimi rzeczami; zostawiłam ją tam wcześniej, na wypadek gdybym miała rodzić w czasie pracy. Portier nie chciał wpuścić ze mną męża. Rozkładał ręce, takie przepisy. Nie pamiętam, jak tam doszłam. Podczas każdego skurczu odbijałam się to od jednej, to od drugiej ściany. Gdy w końcu znalazłam się przed drzwiami izby przyjęć, mąż już od dobrych kilku minut usiłował się tam dostać; dzwonił, pukał. W końcu wyjrzała zaspana położna w mocno dojrzałym wieku. Sądząc po fryzurze, spała wyłącznie na lewym boku.

– Rejon? – zapytała groźnie.

Kiwnęłam pośpiesznie głową.

– Proszę.

Otworzyła szerzej drzwi.

– Pan zostaje – oświadczyła. Jej wyciągnięta ręka zatrzymała się na piersi mojego męża.

Wpuściła mnie do środka i wskazała krzesło przy biurku.

– Proszę siadać, dowód osobisty, karta ciąży.

Podaliśmy jej dokumenty. Kolejny skurcz poderwał mnie z krzesła.

– Dlaczego pani wstała? Proszę usiąść! – Podniosła głos, nawet na mnie nie patrząc.

– Nie mogę siedzieć w trakcie skurczu, za bardzo mnie boli – odpowiedziałam.

– Co pani opowiada! Wszystkie siedzą, a pani nie może! Będę mierzyć ciśnienie.

Próbowałam usiąść. Zaczął się kolejny skurcz, mimo to ciśnienie musiało być zmierzone, bez gadania.

– Wysokie – bąknęła.

Czyżby nie wiedziała, że w czasie skurczu ciśnienie jest zawsze wyższe? Jak widać, nie.

– Proszę zdjąć majtki i przejść na fotel.

Zdjęłam pośpiesznie bieliznę, zsunęłam buty; miały metalowe zelówki i okropnie stukały na kafelkowej podłodze. Na palcach przeszłam kilka metrów w kierunku fotela. Położna przerwała pisanie i spojrzała znad okularów.

– Kto pani kazał zdjąć buty?! Proszę wrócić i je włożyć – wydała polecenie zniecierpliwionym już tonem.

Wkurzyła mnie. Wróciłam, włożyłam buty i specjalnie mocno stukając obcasami, podeszłam do fotela. – Niech się pani położy – odezwała się, nie podnosząc wzroku znad wielkiej księgi.

Usiadłam na fotelu, ale kłaść się nie miałam zamiaru. Jeden skurcz macicy przechodził w kolejny.

– Proszę wezwać lekarza, chciałabym, żeby w końcu

mnie ktoś zbadał – powiedziałam stanowczo.

– Poproszę w swoim czasie, nic pani do tego.

Co za babsztyl, pomyślałam. Mój poziom adrenaliny wyraźnie się podniósł. Kolejny skurcz rzucił mnie na kolana. Wyglądało to tak, jakbym spadła z fotela. Położna spojrzała na mnie i nie spiesząc się, wzięła słuchawkę do ręki.

– Panie doktorze, niestety pacjentka do zbadania. – W jej głosie słychać było przepraszający ton.

Pojawił się doktor Czekalski.

– Cześć! To ty? – zawołał radośnie. Widząc jego uśmiech, wreszcie poczułam się bezpiecznie.

– W poniedziałek rano? Zaraz tu będzie zamieszanie, trzeba było przyjechać wcześniej – powiedział ciepło.

Oboje spojrzeliśmy na osłupiałą położną.

– Co panią tak zatkało? To nasza położna z sali porodowej – wyjaśnił.

Badając mnie, ucieszył się jeszcze bardziej.

– Masz osiem centymetrów rozwarcia, zaraz urodzisz, świetnie!

Położna odzyskała głos i moc w nogach. Wybiegła zza biurka.

– Osiem centymetrów! Za późno na lewatywę! Koszula! Szlafrok! Wózek leżący! – wydawała polecenia salowej.

– Leżący? Bez przesady, mogę iść, naprawdę – powiedziałam.

– No dobrze, niech będzie wózek siedzący – zdecydował lekarz.

Szybko przebrałam się i już byłam na wózku, próbując przytrzymać obiema rękami koszulę, której dekolt kończył się gdzieś w okolicy spojenia łonowego. Położna zadeklarowała, że odwiezie mnie osobiście, odsłaniając w uśmiechu źle dopasowaną sztuczną szczękę.

– Nie, dziękuję. Proszę nie robić sobie kłopotu – odparłam.

Nalegała. Doktor Czekalski wybawił mnie z opresji.

– Pojadę z tobą windą, na wypadek gdybyś zaczęła przec. – Chyba wyczuł, że nie przypadłyśmy sobie do gustu.

W sali porodowej było cicho i pusto. Położna Mirka i moja ulubiona salowa pani Jadzia przywitały mnie z uśmiechem. Mirka szykowała się do mojego porodu.

– Już słyszałam, że masz duże rozwarcie.

Wdrapałam się na łóżko i zdałam sobie sprawę, że w tym całym zamieszaniu w izbie przyjęć nie posłuchano nawet tętna dziecka. Koleżanka podeszła do mnie z drewnianą słuchawką położniczą (z sentymentem je wspominam), zanim zdążyłam jej o tym powiedzieć. Wszystko było w porządku, odetchnęłam z ulgą i wtedy odpłynęły mi wody płodowe.

Poczułam pierwszy party skurcz. Gdy leżałam na boku, skurcze następowały jeden po drugim, lecz gdy

kładłam się na plecach, mijały bezpowrotnie. Zaordynowano oksytocynę, która już po kilku kroplach dała pożądany efekt: skurcze wróciły. Pani Jadzia asystowała dzielnie przy parciu.

– Źle przesz. Nie wypuszczaj powietrza nosem – powiedziała, ściskając mi nos z całej siły.

Po chwili urodziła się moja córeczka. Była piękna, zdrowa i duża, ważyła prawie 4500 gramów. Położono ją na moim brzuchu, a ja tuliłam ją, ochraniając przed resztą świata. Otwierała z niedowierzaniem oczy, jakby upewniając się, czy to właściwa planeta i koniec podróży.

*

Zabawne było to, że także i po drugim porodzie z powodu braku miejsc znowu znalazłam się na korytarzu; stało tam pięć łóżek. Zorientowałam się, że dobrze zorganizowana korytarzowa społeczność pilnuje kolejności przechodzenia do sal. Na dyżur przyszła Jagoda, moja starsza koleżanka, i przeniosła mnie na pierwsze zwalnijące się w sali miejsce. Jawna niesprawiedliwość poruszyła pozostałe współlokatorki z korytarza. Jagoda wzięła się pod boki i donośnym głosem, by mieć pewność, że dobrze ją słychać, oświadczyła:

– To położna, pracujemy razem. Nie chcę więcej

słyszeć ani słowa. Należy jej się, ciężko haruje w tym szpitalu.

W trzyosobowej sali było mi jak w niebie. Nie czułam się zmęczona, nie miałam żadnych problemów ze wstaniem z łóżka. Krótki poród ma jednak swoje zalety, pomyślałam. Pani Jadzia przyniosła mi po kryjomu dodatkową koszulę i podkład.

– Co tak dziwnie wyglądasz? – zapytała, przyglądając mi się uważnie.

Rzeczywiście najbardziej po porodzie dokuczał mi spuchnięty i obolały nos, który zajmował pół twarzy.

– To pani sprawka. Pani Jadziu, zepsuła mi pani urodę – powiedziałam z udawanym wyrzutem.

– Oj, kochaniutka, nic ci nie będzie, dzięki mnie urodziłaś. Zaraz przyniosę ci świeżutkiej kiełbaski – zaproponowała.

Wędzona kiełbasa, którą przywoziła ze wsi pod Mińskiem Mazowieckim, była słynna na całym oddziale; kupowali ją wszyscy. Kiedyś przez przypadek odkryłam, gdzie ją trzyma. Na zapleczu sali porodowej stała olbrzymia, otwierana od góry zamrażarka na łożyska. Wypełniona była plastikowymi torbami, które co jakiś czas zabierano do fabryki kosmetyków (z łożysk pozyskiwano cenne substancje i hormony do produkcji bardzo drogich kremów). Pewnej nocy otworzyłam ciężkie wieko zamrażarki, chcąc dorzucić kolejne łożysko. Mogłabym przysiąc, że poczułam zapach

kiełbasy dobrze przyprawionej czosnkiem. Pomyślałam, że ze zmęczenia mam chyba omamy węchowe. Zapaliłam światło i zobaczyłam w jednej z toreb zamiast łożysk pęta swojskiej kiełbasy. Wyjaśniono mi potem, że to stały poniedziałkowy proceder pani Jadzi; wszyscy o tym wiedzieli, a wędlinę bardzo sobie chwalili.

*

Dziecko ze szpitala należało wykupić. Uprzedziłam o tym męża; trochę się zdziwił. Cóż, był taki zwyczaj, że wychodzącej do domu matce towarzyszyła salowa, niosąc noworodka i odprowadzając ją do holu. I tym razem zaczęło się tradycyjnie, salowa pojawiła się w holu pierwsza, od wejścia trajkocząc:

– Jakie ładne dziecko, ładniejszego w życiu nie widziałam, a jaki ładny nosek, a jakie usteczka, oj, dzieciaczku, żebyś był w życiu szczęśliwy!

Wypowiadając ostatnie słowa, z wprawą dostrzegała, który z czekających ojców robi krok do przodu. Tym razem jednak jej zdolności musiały najwyraźniej osłabnąć – obdarowała zawiniątkiem stojącego najbliżej mężczyznę.

– To nie moje dziecko... – wykrztusił zaskoczony.

Mój mąż natychmiast wyłonił się z szeregu, wyciągając rękę.

– Jakie ładne dziecko, ładniejszego w życiu nie widziałam, a jaki ładny...

Czym prędzej wcisnął jej w rękę pieniądze i kobieta, jak za naciśnięciem przycisku „stop”, od razu zamilkła.

*

Czas urlopu macierzyńskiego minął szybciej, niż się spodziewałam. Trzeba było wracać do pracy. Cieszyłam się, miałam dużo sił i zapału. Przez trzy kolejne lata starałam się nauczyć jak najwięcej. Zrozumiałam, jak ważna jest znajomość mechanizmu prawidłowego porodu. Zetknęłam się z wieloma różnymi przypadkami medycznymi, czasami takimi, które położna może zobaczyć tylko raz w życiu. Owszem, szpital nauczył mnie pracy w zespole, elastyczności, tolerancji, ale też zaczęłam pracować jak trybik szpitalnej maszyny. Dzień, noc, dwa dni wolne, dzień, noc, dwa dni wolne... Ciągłe te same koleżanki zdawały mi dyżur, ciągle tym samym ja dyżur oddawałam. Wprawdzie wykonywałam zlecenia bezbłędnie, jednak zauważyłam, że wkładam w pracę coraz mniej własnej inwencji. Czy tak ma wyglądać moje życie? Powinnam coś zrobić, musi się coś wydarzyć... Czułam, że nadchodzi zmiana.

Mam przed oczami obraz zabawki: lokomotywy jeżdżącej w kółko po torze. Nagle jakaś niewidzialna ręka kieruje lokomotywę na inny tor, po którym porusza

się ona z taką samą ufnością. Tak wygląda moje życie. Za każdym razem widzę ten obraz, gdy zbliża się zmiana; a ta miała wkrótce nastąpić. Jeszcze nie podejrzewałam, jak bardzo przyda mi się doświadczenie zdobyte w szpitalu i ile stopni przyjdzie mi pokonywać, czasami po dwa–trzy naraz.

EWA Z NUMEREM 2

Był zwyczajny lipcowy piątek. Przyszłam do szpitala na nocny dyżur. Na biurku w dyżurce położnych leżała ulotka. W górnym lewym rogu widniało logo i nazwa: Ewa-2. Była to firma z ograniczoną odpowiedzialnością. Po tej informacji większość osób nie czytała dalej. W 1991 roku prywatne firmy dopiero powstawały, często niestety nie budziły respektu. Ewa, uśmiechnęłam się, to moje drugie imię. Ale dlaczego 2? Może dlatego, że numer 1 był już zarezerwowany dla Ewy biblijnej.

Wzięłam ulotkę do ręki; lekarz ginekolog, dyrektor placówki, informował w niej o otwarciu nowego, prywatnego miejsca do porodu, wzorowanego na szkole i klinice profesora Michela Odenta w Pithiviers pod Paryżem. Nie potrafiłam skupić się na tekście, mój wzrok uciekał na koniec kartki, szukałam informacji, czy potrzebują położnych. Po chwili wróciłam do rozpoczętego zdania. Usiadłam, trzęsły mi się ręce; przeczytałam, że chodzi o porody w asyście osoby towarzyszącej, w dowolnej pozycji, z dyskretnym udziałem położnej, a w razie potrzeby również lekarza, bez niepotrzebnych medycznych interwencji. W ludzkiej, życzliwej atmosferze, z troską o rodzącego się człowieka

i jego matkę, co miał zapewnić miły wystrój pokoju, w którym rodząca przebywa, opiekuńczość położnej i lekarza, a także rodzinna atmosfera dzięki obecności bliskich osób. W czasie porodu rodząca mogła zachowywać się spontanicznie i przyjmować pozycje, które są dla niej najwygodniejsze, bez narzucania jej stereotypowego zachowania. Tekst ulotki informował także, że zaleca się wcześniejsze poznanie miejsca porodu, co podnosi u kobiety poczucie bezpieczeństwa. Rodzina może w każdej chwili przyjechać i odwiedzić noworodka i jego mamę. Nie zajmują się ciążami średniego i wysokiego ryzyka okołoporodowego; te ciężarne kwalifikowane są do porodu w szpitalach. Moją uwagę przykuło ostatnie zdanie: „Oczekujemy życzliwego przyjęcia naszego nowego przedsięwzięcia i chociażby duchowego wsparcia”. Oniemiałam z wrażenia, nie mogłam zebrać myśli. Telefon, czy jest telefon? Był na pieczętce lekarza, jego nazwisko nic mi nie mówiło.

– Kto zostawił tę ulotkę? Kim jest ten lekarz? – pytałam każdego po kolei.

Wszyscy tylko wzruszali ramionami. Wreszcie jedna z koleżanek pociągnęła mnie za rękę do pomieszczenia obok dyżurki.

– Jeannette, daj sobie spokój. To jakieś herezje! Ktoś, kto pisze takie rzeczy, nie może być normalny. Zresztą to niezbyt popularny lekarz, źle o nim mówią.

– Ale co mówią? – drążyłam temat.

Nikt nie chciał nic powiedzieć. Dziwne. Spojrzałam jeszcze raz na kartkę – każde słowo żyło, każde zdanie do mnie mówiło. Już wiedziałam, że chcę pracować tak, jak jest tu opisane. Pomyślałam, że jeżeli ktoś, kto to napisał, ma problem, to mamy tę samą chorobę.

Nikt inny nie był zainteresowany propozycją, schowałam więc ulotkę do torebki. W domu czytałam ją kilkanaście razy, znałam treść na pamięć. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że jest adresowana właśnie do mnie. To ja miałam ją znaleźć i podjąć nowe wyzwanie. Może znowu anioły maczały w tym skrzydła? Nie słuchaj, co mówią inni, decyduj sama – tak powiedziałyby babcia Józefa, gdyby żyła.

Bez wahania zadzwoniłam pod numer podany na kartce. Chwilę rozmawiałam z lekarzem, umówiliśmy się na spotkanie. Zaprosił mnie razem z rodziną w niedzielę, co bardzo mi się spodobało. Dobrze to wróży, pomyślałam.

*

Z mężem i dziećmi znaleźliśmy właściwy adres. Przed nami była duża, biała, piętrowa willa z poddaszem i okazałym ogrodem. Przywitał nas serdecznie sympatyczny lekarz po czterdziestce. Miał na imię Eugeniusz. Dzieci pobiegły do ogrodu bawić się

z grubym kotem o imieniu Blake (jak nam wyjaśniono: od Blake'a Carringtona z *Dynastii*), a ja z mężem zostaliśmy zaproszeni do środka. To był nowy, piękny dom. Na parterze stylowa kuchnia z dużym stołem, obok obszerny salon z wyjściem na taras, gabinet z mnóstwem książek oraz łazienka z prysznicem. Drewniane schody prowadziły na piętro. Tam spory hol, łazienka z półokrągłym oknem i dużą wanną, niewielki pokój położeń i gabinet zabiegowy, który był jedynym medycznym miejscem w domu. Stały tam szafa z lekami, fotel ginekologiczny, leżanka, ale nie miało się wrażenia „szpitalności”, domowej atmosfery przydawał świeżo polakierowany parkiet. Dla pacjentek przeznaczono trzy kolejne przytulne pokoje. Nie było w nich łóżek, na podłodze w każdym z nich położono duży, gruby materac z kolorową pościelą, do tego fotele, stolik z kwiatami w wazonie, na ścianach obrazy. Poddasze było prywatnym lokum lekarza, na dole w suterenie znajdowało się spore pomieszczenie przeznaczone w przyszłości na szkołę rodzenia. Czysto, wszędzie pachniało świeżym drewnem, gdzieś palily się świece.

Wszystko to bardzo mi się podobało, lecz czułam się, jakby przeniesiono mnie w inny wymiar. Ja byłam przecież z krainy, gdzie kobietę na czas porodu zabierano od rodziny i ukrywano w miejscu zwanym szpitalem. Sama, zdana na łaskę i niełaskę obcych, często nieżyczliwych ludzi, odarta z intymności rodzica,

leżąc na plecach z nogami zadartymi do góry, wypychając dziecko w kosmos wbrew sile grawitacji. Wygląda jak bezbronny chrabąszcz, który przewrócony na pancerzyk zużywa całą swoją energię, żeby się obrócić, bezskutecznie wiosłując odnóżami. Szpital to kraina pełna tajemnic, tam wszystko może się wydarzyć. Choć kobieta, pomimo że odpłynęły jej wody płodowe, przychodzi z domu na własnych nogach, przekroczywszy próg szpitala, natychmiast jest kładziona, bo przecież grozi jej nagłe wypadnięcie pępowiny lub zgubienie dziecka w toalecie. Na łóżku porodowo-madejowym te wszystkie okropieństwa jej nie dosięgną. Swoje dziecko po porodzie może zobaczyć tylko przez chwilę, ale to dla jej dobra, przecież jest słaba i zmęczona. Położna natychmiast odda je kosmitce ubranej w zielony fartuch, czapkę, maskę i rękawiczki. A ta je zważy i zmierzy, gdyż to jest najważniejsze w tym momencie; dwie godziny mogłyby dużo zmienić w pomiarach. Następnie zabierze malucha daleko od jego mamy i oboje będą za sobą tęsknić i płakać...

Ocknęłam się. Zdałam sobie sprawę, że mąż z lekarzem zajęci są miłą rozmową; nie miałam pojęcia o czym. Atmosfera domu narodzin sprawiła, że wszystko zobaczyłam jasno i wyraźnie. Trochę przeraziła mnie ta opowieść, która chwilę wcześniej przetoczyła się bez pytania przez mój mózg. Więc tak sarkastycznie myślę o szpitalu, o swojej w nim roli! Po raz kolejny zdałam sobie sprawę, że jestem pionkiem w systemie, na który

nie mam w sobie zgody. Nagle usłyszałam swój głos:

– Właśnie podjęłam decyzję. Przyjmuję tę pracę. Wykorzystam zaległy urlop i poprzychodzę tu trochę, poprzyglądam się, lecz nie sądzę, żebym zmieniła zdanie.

Lekarz był zachwycony moją szybką decyzją, mąż trochę zaskoczony. Czułam, że dobrze robię. Moja życiowa lokomotywa zaczęła trasę po nowym torze. Nie było się nad czym zastanawiać: zmiana to dla mnie rozwój, pozostanie w szpitalu oznaczało stagnację.

*

Wracaliśmy do domu, byłam radosna i szczęśliwa.

– Tam nie ma sali operacyjnej. I co ty na to, nie boisz się? – zagaił mąż.

Miałam podejrzenia, że nie jest do końca przekonany o słuszności mojego wyboru. Należał do osób przeciwnych podejmowaniu decyzji w emocjach.

Tłumaczyłam mu, że po starannej weryfikacji mogą tam rodzić tylko zdrowe kobiety. Dzięki temu liczba powikłań zredukowana jest do minimum. Poza tym nie będę zajmować się kilkoma rodzącymi naraz, jak to bywa w szpitalu. Jeżeli mam jedną rodzącą, trudno coś przeoczyć. Co prawda pracuję dopiero od pięciu lat, ale wiem, że w położnictwie nie ma powikłań bez

wcześniejszych symptomów. Powikłania są wynikiem już wcześniej zauważalnych patologicznych objawów podczas porodu, ciąży lub jeszcze przed nią. Po objawach wiemy, do czego one doprowadzą, i mamy czas na reakcję, na przykład na wykonanie cesarskiego cięcia.

– No właśnie, ale gdzie? Nie ma sali operacyjnej, o tym mówię od początku. – Mąż był coraz bardziej zaniepokojony.

– Jeżeli rodząca zacznie krwawić, to nie będę czekać, rozumiesz? – tłumaczyłam. – Wolę założyć najgorsze, że na przykład może odkleić się łożysko, i natychmiast odesłać ją do szpitala. A jeśli na początku porodu będzie coś nie tak z tętnem dziecka, to mogę się spodziewać, że przy nasileniu się skurczów zaburzenia będą się coraz bardziej ujawniać. Nie będę czekać do ostatniej chwili, rodząca pojedzie do szpitala – starałam się mówić przekonująco.

– Tak, to logiczne. – Mąż wydawał się uspokojony, choć dziwiło go, że ludzie decydują się na poród w alternatywnym miejscu.

W głębi duszy rozumiałam ich decyzje. Wiedziałam, jak jest w szpitalach, nic nie wskazywało na to, żeby się coś w najbliższych latach zmieniło. Ale zmieniały się kobiety: chciały rodzić inaczej, więc szukały takich miejsc jak Ewa-2. To wszystko. Moim zdaniem był to proces nie do zatrzymania.

*

Dojeżdżaliśmy do domu.

– Mamo, mamó! A dlaczego Blake miał w brzuchu kulki? – dzieci przekrzykiwały się jedno przez drugie.

– Kulki? Nie widziałam go z bliska. Ale może jest chory, może ma niestrawność? Gołym okiem widać, że za dużo je – próbowałam tłumaczyć.

Tajemnica kulek rozwiązała się na moim pierwszym dyżurze. Nie było żadnej pacjentki, doktor załatwiał jakieś sprawy w mieście, zostałam sama. Kot Blake, który mieszkał w magazynku na ogrodowe narzędzia, od samego rana chodził przy mojej nodze krok w krok jak pies. Gdy tylko usiadłam, wskakiwał mi na kolana i co jakiś czas, patrząc mi w oczy, wydawał przeraźliwe miauknięcia.

– Coś cię boli? – Zmartwiłam się, głaszcząc go po brzuchu. – Zaraz, zaraz! Blake, ty jesteś kobietą! – Dostałam ataku śmiechu.

Na swoich błękitnych spodniach zobaczyłam plamkę krwi ze śluzem. Mój pierwszy dyżur w nowej pracy i mam przyjmować na świat kocięta! To na tym ma polegać to wyzwanie, uśmiechnęłam się do siebie; choć, przyznaję, w tamtej chwili moje ego położnej, która ma przecierać szlaki, zjechało windą na poziom minus jeden.

Znalazłam kartonowe pudło, wymościłam je ręcznikiem, tłumacząc kotu, że tu będzie mu najlepiej. Ale kot, a raczej kotka, zachowywał się dziwnie; nie odstępował mnie ani na chwilę. Pamiętam z dzieciństwa nasze koty, które na poród chowały się w szafie, najczęściej znajdowały sobie miejsce na półce z najlepszymi obrusami. Uciekały od ludzi, potrzebowały samotności. Babcia Józefa, która na co dzień przepędzała koty ścierką, za każdym razem, choć była zła o te obrusy, miała szacunek do kociej położnicy – przenosiła delikatnie kocięta w inne miejsce. Może warszawskie koty mają inaczej, lgną do ludzi? Patrzyłam na dyszącą kotkę, na jej młody pyszczek. To jej pierwszy poród, nic biedulka o nim nie wie, pomyślałam. Głaskałam ją przez cały czas, a ona odwdzięczała mi się mruzeniem między skurczami, czasami lizała mnie po ręce. Skurcze miała bardzo silne, widziałam, jak cierpi. Patrzyła mi wtedy w oczy, było mi jakoś dziwnie. Wiedziałam, że mnie potrzebuje. Zadzwonił telefon w innym pokoju, musiałam wstać. Kotka wyskoczyła z pudełka i pobiegła za mną, znowu znalazła się na moich kolanach. Przeniosłam ją ostrożnie do kartonu, na wszelki wypadek przygotowałam rękawiczki. To nie pierwsza w moim życiu asysta przy porodzie zwierzęcia.

*

Miałam nie więcej niż osiem lat. Lato na wsi, dużo pracy przy żniwach. Tego dnia w polu nikt nie pracował, nawet sąsiedzi. Wszyscy byli skupieni na krowie, u której poród trwał już ponad dobę. Stali, głośno rozmawiali, śmiali się, opowiadali sobie różne historyjki. Byłam na zewnątrz, bałam się na początku wejść do obory, ale podsłuchiwałam. Te opowieści bardzo mnie interesowały. Dowiedziałam się, że najpierw będą rodziły się przednie kopytka, potem głowa i reszta. Żeby krowie było łatwiej, należy zawiązać na rodzących się nóżkach sznur i pociągać. Odważyłam się wreszcie spojrzeć na pękate zwierzę. Krowa stała obolała, muczała, oglądając się niespokojnie. Po wielu godzinach wykruszyły się szeregi położników ochotników, został tylko dziadek. Posadził mnie w oborze na stołku i powiedział:

– Musimy iść do pracy, będziemy niedaleko. Siedz tu i pilnuj. Jak zobaczysz kopytka, zawołaj nas.

Na wszelki wypadek zapytałam, czy łańcuch jest mocny i nie zerwie się, jak krowę coś zaboli. Dziadek zapewnił, że jestem bezpieczna.

Zostałam sama, prawie nie oddychałam, bałam się. Nie wiem, ile minęło czasu. Krowa odwróciła łeb w moją stronę, położyła się, a po chwili dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Zobaczyłam te dawno wyczekiwane kopytka. Nie byłam w stanie się poruszyć, nie mówiąc o tym, że bym gdziekolwiek pobiegła. Zrozumiałam, że to biedne

zwierzę czekało, aż wszyscy sobie pójdą. Ja najwidoczniej nie zostałam przez nie potraktowana poważnie. Zresztą prawie mnie tam nie było, nawet nie mrugałam. Zaczął się rodzić pyszczek, ale po chwili coś najwyraźniej się zablokowało. Czułam, że nie mam czasu, żeby się zastanawiać; pomimo strachu podbiegłam szybko i złapałam cielaka za nogi, był okropnie śliski. Obok leżały jakieś stare ręczniki przygotowane chyba na tę okoliczność. Owinęłam nimi kopytka i ciągnęłam ze wszystkich sił. Udało się, noworodek wysunął się dość gładko, pępowina urwała się sama; nie wiedziałam, czy to dobrze. Podsłuchałam wcześniej, że cielaka trzeba podsunąć matce do wylizania. Na szczęście nie był ciężki, przeciągnęłam go za przednie nogi. Podekscytowana pobiegłam do dziadka; nie miał pretensji, że nie zawołałam go wcześniej. Wszyscy cieszyli się, że się powiodło.

Teraz przyszło mi asystować kotce. Może powinnam była jednak wybrać weterynarię? Uśmiechnęłam się do swoich myśli. Zauważyłam, że rodzi się pierwszy kociak, to sprawiło, że otrząsnęłam się ze wspomnień. Zamiast główki zobaczyłam łapki i mały ogonek. Na ile znałam się na porodach u zwierząt, najpierw powinna wychodzić głowa. Poród pośladowy, wszystko jasne. Za parę sekund kociaka było już widać po szyję. Skończył się skurcz, kotka wstała i zaczęła kręcić się w kółko, jakby sama chciała go sobie wyjąć. Obijała wiszące ciało o ściany kartonu. Włożyłam rękawiczkę i pomogłam, nie

bez trudu, urodzić się małej główce. Kotek się nie ruszał. Młoda mama przewróciła go nosem na plecy i językiem zaczęła robić mu masaż serca. Maluch ożył. Oniemiałam. Kocica wylizała go całego bardzo dokładnie, popatrzyła na mnie, zatrzymując na chwilę spojrzenie; wiedziałam, że mi dziękuje. Zaczął się kolejny skurcz, w ciągu godziny urodziła jeszcze troje kociąt. Nie potrzebowała mojej pomocy. Pozostałe były dobrze ułożone; nawet na mnie nie spojrziała. Ten pierwszy maluch, podobny do mamy, czarno-biały w nieregularne łaty, został moim pupilem.

*

Pierwszy dzień w nowej pracy i taka historia; musiał być w tym jakiś cel, nauka dla mnie. Pomyślałam, że ludzie w swojej naturze nie różnią się od zwierząt. Gdy kobiety mają dobry kontakt ze swoim ciałem, instynktownie wiedzą, gdzie chciałyby urodzić: zdecydują się na szpital bądź, wierząc w swoją wewnętrzną siłę, będą wołały rodzić w domu lub wybiorą takie domowe miejsce, jak to tutaj. Tym ostatnim sala operacyjna do niczego nie jest potrzebna, poczucie bezpieczeństwa mają w sobie.

DZIAŁAMY

W szpitalu miałam do czynienia właściwie tylko z porodem – spotykałam obcą kobietę, pomagałam jej i to wszystko. Nie miałam ani czasu, ani możliwości poznać jej bliżej. Byłam przekonana, że gdybym wiedziała więcej o moich pacjentkach, stałabym się bardziej pomocna. Poród to przecież tylko fragment układanki. Prawdziwą lekcją jest ciąża wraz ze swoją fizjologią, zachciankami, hormonami, lękami i obawami. Teraz, w Ewie-2, miałam okazję poznać, jak naprawdę funkcjonuje organizm kobiety. Pacjentki opowiadały mi o sobie, swoim życiu, o przebiegu ciąży, zwierzały się; często były to bardzo osobiste historie. W Ewie-2 mogłam więc pracować tak, jak sobie wymarzyłam. Jedyne problem stanowiło to, że poród, jak na tamte czasy, był drogi – kosztował kilka średnich pensji. Niejednokrotnie zdumiewało mnie, jaką determinacją wykazywali się niektórzy nasi klienci: sprzedawali złotą biżuterię, brali pożyczki, by – o czym byli przekonani – od pierwszych chwil dać dziecku dobry start, a kobiety nie narażać na szpitalną traumę.

*

Szybko przyswajałam nową wiedzę, wykazywałam naturalną elastyczność w zachowaniu, otwartość na sytuacje. Mój szef zorientował się, że może mi ufać w sprawach zawodowych i – wiem to dzisiaj, patrząc z perspektywy – dawał dużo samodzielności. Dziś przyznaję: byłam odważna, może za bardzo... no, ale byłam młoda, miałam dopiero dwadzieścia siedem lat. Zauważyłam, że doktor Eugeniusz posiada ten szczególny rodzaj magnetyzmu, który uzależniał kobiety – pacjentki go uwielbiały. Był krasomówcą i wizjonerem. Godzinami opowiadał o nieograniczonych perspektywach firmy. Używał słów: działamy, planujemy, pogłębiaamy wiedzę. Dawał mi do zrozumienia, że „prężny zespół stale pracuje nad stworzeniem nowego pola do dalszego rozwoju firmy”.

Mijały dni, tygodnie, a doktor trzymał mnie z dala od swoich współpracowników. Czułam się odsunięta i zepchnięta na boczny tor. W końcu odważyłam się zapytać wprost, kiedy poznam pozostałych. Jakież było moje zdumienie, gdy dowiedziałam się, że nie ma żadnego zespołu. Jesteśmy tylko my dwoje, nie licząc recepcjonistki w gabinecie lekarskim w centrum miasta, w którym doktor prowadził swoją prywatną praktykę. Po prostu szef miał zwyczaj mówić o sobie w liczbie mnogiej. Przeżyłam szok, wcale mnie to nie śmieszyło.

Zostawiłam, bądź co bądź, pewny etat w państwowym szpitalu dla pracy w bardzo małej firmie, gdzie oprócz zajmowania się rodzącą należało do mnie prowadzenie domu narodzin: sprzątanie, zakupy, gotowanie.

W trakcie porodu, między jednym a drugim słuchaniem tętna dziecka, doprawiałam zupę, obierałam ziemniaki lub robiłam sałatkę dla rodzącej, jej partnera, doktora i oczywiście dla siebie. Wypracowałam sobie system: obiad przygotowywałam na początku porodu, angażując w to rodzącą. Prosiłam ją o pokrojenie warzyw lub przyniesienie z ogrodu owoców na kompot. Pamiętam nagłówek wywiadu z naszą rodzącą w jednej z gazet: „Narwę wiśni i urodzę”.

Gdy skurcze stawały się coraz częstsze i bardziej bolesne, rodząca szła na górę do swojego pokoju. Przerzywałam wtedy wszystkie prace w kuchni i zajmowałam się porodem.

Przypominam sobie spory stres, gdy pewnego razu rodząca na finał porodu za nic nie chciała wyjść z wanny. Jeden skurcz przechodził w drugi, czuła się sparaliżowana bólem. Kilka lat później przyjąłabym poród w wodzie, ale wtedy nie byłam na to gotowa; w tamtym czasie nikt nawet o czymś takim nie słyszał. Używając nadludzkiej siły, udało nam się razem z partnerem pacjentki zaprowadzić ją, a właściwie przenieść, do pokoju. Uklęka na materacu i nie podnosząc głowy, zagarnęła po omacku kilka poduszek,

opierając się o nie. Było jej zimno, poprosiła, żeby przykryć ją kołdrą. Zaczęła przec. Zajrzałam nieśmiało pod kołdrę i zobaczyłam rodzącą się główkę dziecka. Cóż, stanęłam przed nieznanym mi zadaniem przyjęcia porodu w nowej pozycji: gdy kobieta klęczy na kolanach. Do tej pory miałam do czynienia głównie z pozycją tradycyjną (horyzontalną). Musiałam w swojej głowie odwrócić cały mechanizm porodu; zdziwiłam się, że poszło tak gładko. Założyłam tylko dwa szwy, w szpitalu nigdy nie musiałam tego robić, krocze szył lekarz. Z czasem pogłębiłam tę cenną umiejętność.

*

Któregoś dnia doktor zabrał mnie ze sobą na wizytę do położnicy po porodzie w domu. Położna, która przyjmowała ten poród, miała akurat wtedy dyżur w szpitalu. Doktor nazywał ją ciotką Renatą. Przyjęła z nim kilka domowych porodów i wyrażał się o niej w samych superlatywach. Była ode mnie o dziesięć lat starsza i zdecydowanie bardziej doświadczona. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie pracuje z nami na stałe. Dowiedziałam się, że sama wychowuje trzech synów i trudno jej zdecydować się na porzucenie etatu w szpitalu. Bała się, że gdyby firma upadła, nie miałyby dokąd wrócić. Czasami przyjmowała porody w domach, co było jej dodatkowym źródłem dochodu. Pomyślałam,

że rzuciłam się na głęboką wodę z tą zmianą pracy.

U podopiecznych wszystko okazało się w najlepszym porządku. Witali doktora jak członka rodziny i nalegali, żebyśmy zostali na obiedzie. Obejrzałam dokładnie noworodka i sprawdziłam, jak goi się krocze młodej mamy. Próbowałam się wykazać, opowiadając jej o korzyściach wynikających z karmienia piersią. Kobieta jednak przez cały czas mówiła tylko o położnej Renacie, o jej niezwyklej fachowości, spokoju i miłym usposobieniu. Wyraźnie była rozczarowana, że przyjechałam zamiast niej. Nie mogłam doczekać się, kiedy wreszcie ją poznam, byłam jej bardzo ciekawa i miałam mnóstwo pytań. Nastąpiło to niebawem, gdy doktor zaprosił ją do domu narodzin na niedzielną popołudniową herbatę i ciasto. Zobaczyłam niewysoką ładną kobietę z długimi włosami zaplecionymi w gruby warkocz. Pierwsze wrażenie było dość zaskakujące: Renata wydawała się osobą bardzo powściągliwą. Przez cały podwieczorek trzymała mnie na spory dystans. Jak się później okazało, podchodziła z nieufnością do tej zarozumiałej gówniary, którą doktor wybrał spośród dziesięciu położnych, jakie się do niego zgłosiły. Gdybyśmy wiedziały, że za pięć lat będziemy pracować w tym samym szpitalu, nasza relacja nie byłaby na początku taka sztywna. Do dzisiaj się przyjaźnimy i z sentymentem wspominamy stare partyzanckie czasy. To ona nauczyła mnie, jak rozmawiać z ciężarną, która deklaruje chęć rodzenia w domu, jak zorientować się,

czy z jej psychiką jest wszystko w porządku i czy da radę unieść ciężar bólu i odpowiedzialności. Ostrzegała mnie przed sytuacjami, gdy partner nie jest przekonany do decyzji swojej kobiety co do miejsca porodu.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie – mawiała.

To jedna z najlepszych położnych, jakie spotkałam w swoim życiu. Jak bardzo chciałam wtedy być nią! Mieć jej wiedzę, doświadczenie i znajomość życia.

DOROTA I RÓŻE

Układałam dzieci do snu, gdy zadzwonił telefon. Nie wiem skąd, ale czułam, że to wezwanie.

– Szykuj się, położna, już po ciebie jadę. U Doroty zaczął się poród, będę za piętnaście minut – usłyszałam radosny głos doktora Eugeniusza.

– Dobrze – powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Mama przyglądała mi się z niepokojem.

– Co się stało? – zapytała. – Masz nieprzytomny wzrok.

– Muszę jechać do porodu w domu.

– To się zbieraj, co tak stoisz. – Podeszła i delikatnie potrząsnęła mnie za ramiona.

Mój pierwszy poród u rodzącej w domu, Boże, czy dam radę? Nawet nie minął miesiąc, od kiedy byłam w Ewie-2. Właśnie zdałam sobie sprawę, że prawie nie oddycham. Nie bez trudu wciągnęłam w płuca jak najwięcej powietrza. Oddech, tak, oddech przede wszystkim, powtarzałam sobie. Spakowałam potrzebne rzeczy, ucałowałam dzieci na dobranoc i wyszłam na zewnątrz; chciałam zaczerpnąć rześkiego, wieczornego powietrza. Próbowałam nazwać emocje, które się tak

nagle pojawiły. Lęk, niepokój? Nie, to nie to. Nie będę przecież sama, przy lekarzu czułam się bezpiecznie. A poza tym ten poród niczym nie różni się od tych, które przyjmowałam w ostatnim miesiącu, starałam się sama siebie przekonywać. Czyżby? To skąd ten wysoki poziom adrenaliny? Zapewne miał związek ze smakiem nowego wyzwania, radością, ciekawością. Wsiadając do samochodu doktora Eugeniusza, nie byłam już taka blada.

*

Dorota rodziła swoje drugie dziecko. Cieszyła się, że to weekend, dzięki temu synek jest u babci, a ona może zająć się sobą. Usiadłam w fotelu wciśniętym między szafę a okno. Zapytałam, czy nie będzie jej przeszkadzało, jak z nią posiedzę. Niektóre rodzące źle się czują, kiedy ktoś je ciągle obserwuje; potrzebują intymności. Dorota jednak skinęła głową na znak, że mogę zostać. Na tym etapie niczego ode mnie nie potrzebowała, miałam być tylko niemym uczestnikiem. Jej mąż, globtroter, zaglądał kilka razy do sypialni, uchylając delikatnie drzwi. Widząc, że wszystko jest w porządku, wracał do kuchni, gdzie prowadził z doktorem Eugeniuszem ożywioną rozmowę o podróżach. Zapytałam Dorotę, czy mam zawołać męża na moment porodu. Pokręciła przecząco głową.

– Ja nie wtrącam się w jego sprawy, niech on nie wtrąca się w moje.

Wydawało mi się to logiczne. Im dłużej przyglądałam się Dorocie, tym bardziej mnie fascynowała. Trudno powiedzieć, czy była ładna. Dość niska, o budowie typowej gruszki: wąskie ramiona, obfite biodra i uda. Miała włosy w mysim kolorze, cienkie, przycięte na wysokości karku. Uwagę zwracały orli nos, pełne usta i duże oczy o sarnim spojrzeniu. Gdy skurcze stawały się silniejsze i zatapiała się w poród, promieniała; nie tylko wewnątrz. Zaróżowione policzki i lekko spocona skóra dodawały jej blasku. Nie zwracała na mnie uwagi. Obserwowałam jej rytuały porodowe (pomagają rodzącej oswoić ból, odwrócić od niego uwagę). Dorota w przerwie między skurczami za każdym razem przemierzała swoją dużą sypialnię od okna do drzwi. Czułam, że ma wyliczony każdy krok. Skurcz zawsze zastawał ją przy oknie. Opierała się o szeroki parapet i z każdym wdechem wciągała zapach herbacianych róż, które stały w wazonie obok kwiatów doniczkowych. Po każdym skurczu piła kilka łyków wody z cytryną osłodzonej miodem; szklankę miała ustawioną obok wazonu.

Znałam ten stan z moich własnych porodów. Powtarzalność czynności jest jedyną pewną przystanią podczas ogarniającego ciała sztormu. Wiedziałam, że w tym przypadku bez zapachu róż skurcze były nie do

przejścia. Nawet idąc do toalety, Dorota wyjmowała jedną różę z wazonu i zabierała ją ze sobą.

Zaczęła chodzić po pokoju coraz szybciej i coraz bardziej nerwowo. Widać było, że poród przyspieszył. Dla mnie ten adrenalinowy akcent zapowiadał rychły finał. Zapytałam, gdzie mam rozłożyć folię i prześcieradła. Wskazała koc nieopodal łóżka. Dobrze, niech będzie podłoga. Myślałam, że się nie zatrzyma i będę zmuszona przyjmować poród gdzieś między drzwiami a oknem. Ale nie, ułożyła się na boku, podkładając pod głowę poduszkę. Poinformowałam lekarza, że dziecko zaraz się urodzi.

– Poradzisz sobie? – zapytał.

– Jak będę potrzebowała pomocy, zawołam.

Szło nam nad wyraz dobrze. Wyglądało na to, że szybko справimy się ze wszystkim. Porozumiewałyśmy się bez słów. Nie rozumiałam tego, prawie się nie znałyśmy. Jednak w tym momencie czułam, że nasze umysły są połączone. Dziwne wrażenie: wiedziałam, co robi, a ona wiedziała, czego od niej oczekuję. Gdy dziecko zaczęło się wyłaniać, położyła rękę na jego główce. Poprosiła, żebym zdjęła ze ściany lustro – chciała widzieć, jak się rodzi. Dla asekuracji podtrzymałam jej dłoń swoją ręką. Dorota nie parła, wypychała dziecko za pomocą głośnych wydechów. Gdy maluch był już na zewnątrz, sama ułożyła sobie maleństwo na piersi. Okryłam dziewczynkę pieluszkami.

Gdy zakwiliła, obaj mężczyźni pojawili się w pokoju. Mąż chwalił żonę, a lekarz położną.

Niedługo po północy byłam już w domu, ale nie mogłam usnąć. Odtwarzałam zdarzenia ostatnich kilku godzin. Mam fascynującą pracę, pomyślałam. Ilu wspaniałych ludzi jeszcze spotkam! Byłam podekscytowana, że to dopiero początek drogi.

MIEJSCE

Rzeczywiście niezwykli ludzie raz po raz stawali na mojej drodze, od kiedy zaczęłam pracę w Ewie-2. To oni tak naprawdę byli moimi nauczycielami nowego położnictwa.

*

Moja starsza koleżanka położna musiała pilnie wyjechać z miasta i poprosiła mnie o zastępstwo przy porodzie w domu, gdyby nie zdążyła wrócić.

– To sympatyczni ludzie, przyjmowałam im już jeden poród. Co prawda trwał prawie dwie doby, ale wszystko dobrze się skończyło – namawiała mnie przez telefon.

Przypomniała mi się ważna stara położnicza zasada: kobieta rodząca nie powinna dwa razy oglądać wschodzącego słońca.

Zgodziłam się.

– Jak długo cię nie będzie? – zapytałam.

– Dwa dni. Pozwól, że podyktuję ci nazwisko i adres.

Usłyszałam w słuchawce imię.

– Władysława? Ile ta kobieta ma lat?

– Dwadzieścia osiem.

– Nigdy nie widziałam Władysławy w tym wieku – odpowiedziałam z uśmiechem, dodając: – Jeśli jak zawsze dopisze mi szczęście, Władzia urodzi przy mnie, zanim wrócisz.

*

Nie pomyliłam się. Minęło kilka godzin i zaczął się poród. Pojechałam na Bielany, gdy skurcze macicy następowały co pięć minut. Słońce właśnie zachodziło. Drzwi otworzył mi Szymon, mąż rodzącej. Brunet o lekko oliwkowej skórze, z wielkimi błękitnymi oczami i czarującym uśmiechem, miał urodę anioła.

Weszłam do mieszkania, zaskoczył mnie idealny porządek. Miałam wrażenie, że każdy mebel i każda rzecz w tym domu, zanim znalazły swoje ostateczne miejsce, były przedmiotem namysłu i długich dyskusji. Zobaczyłam kobietę klęczącą przed obrazem świętej Teresy; wiedziałam, że to Teresa, bo taki sam obraz wisiał w domu moich rodziców. Rodząca podniosła się z trudem, słysząc, że weszłam do pokoju. Jestem chyba w niebie, pomyślałam. Nigdy nie widziałam piękniejszej kobiety. Wysoka, smukła, z długimi jasnymi włosami

niedbale związanymi gumką. Miała twarz o rysach tak regularnych, że wydawała się nierealna.

– Cieszę się, że zgodziłaś się do nas przyjść i towarzyszyć nam w naszym święcie. Pomódlmy się razem – powiedziała, patrząc na mnie wielkimi brązowymi oczami w taki sposób, że uklękłam jak zahipnotyzowana z torbą na ramieniu tam, gdzie stałam.

Odmówiliśmy w trójkę „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Mario” i „Wierzę w Boga”. Raz po raz modlitwę przerywał silny skurcz. Gdy już mogłam powstać, przystąpiłam do swojej pracy; przebrałam się, umyłam ręce, rozłożyłam sprzęty i zbadałam rodzącą. Wynik badania, pięć centymetrów rozwarcia szyjki macicy, ucieszył nas wszystkich. Szymon w tym czasie zaparzył herbatę.

– Pójdziemy do sypialni, Władzia chce się na chwilę położyć – zakomunikował.

Skinęłam głową, wiedziałam, co to oznacza: zaraz nastąpi finał. Zostałam sama, dopiłam herbatę, uzupełniłam dokumentację porodową.

Usłyszałam, że rodząca boleśnie jęknęła.

– Wody! – dobiegł mnie zza zamkniętych drzwi głos Szymona.

Odplynęły wody płodowe. Weszłam do pokoju, paliły się świece, z głośników cicho sączyła się spokojna muzyka. Spojrzałam na Władysławę, nasze oczy spotkały się w milczeniu. Nawet jej nie badałam,

posłuchałam tylko tętna dziecka. Poród odbył się w ciszy, słowa nie były potrzebne. Rzadko zdarza mi się nic nie mówić do rodzącej. Miałam wrażenie, właściwie wiedziałam, że porozumiewamy się w myślach, a raczej poza nimi... Urodził się zdrowy chłopczyk, on też nie zmącił ciszy, która panowała w pokoju. Nawet nie zapłakał, rozglądał się, przeciągał. Po chwili urodziło się łożysko i byłam po pracy. Krocze Władzi nie miało nawet otarcia. Usiadłam na podłodze oparta o ścianę, z oczu popłynęły mi łzy. Szymon spojrział na mnie i wyszeptał:

– To obecność Ducha Świętego.

Siedzieliśmy tak pewnie około godziny. Maluch przestał ssać, Władzia pierwsza przerwała milczenie.

– Wstanę się umyć i muszę coś zjeść, jestem okropnie głodna.

– Zaparzę herbatę i zrobię kanapki – zadeklarował Szymon, podając mi dziecko. – Proszę, zaopiekuj się Janem.

Ubrałam chłopczyka w przygotowane śpioszki. Nawet nie zakwilił. Wydawało się, że przygląda mi się uważnie, z niezwykłą mądrością. Jak taka stara dusza może zmieścić się w tak małym, nieporadnym ciałku, pomyślałam.

Rodzice już byli gotowi, zapraszali mnie do stołu. Po raz pierwszy w życiu poczułam wyraźnie, w tym mieszkaniu, co to znaczy energia miejsca. Emanowało

niezwykłym spokojem, czuło się miłość i zaufanie. Choć mieszkanie znajdowało się przy ruchliwej ulicy, miałam wrażenie, że świat się zatrzymał. Otaczała nas cisza.

TAJNA MISJA

Nowe miejsce stworzyło nową jakość – przygotowanie par do porodu. W przestronnej suterenie willi zorganizowaliśmy szkołę rodzenia. W kilka dni po inauguracji zjawiła się bardzo młoda para: Ania, siedemnastolatka, chodziła do trzeciej klasy liceum, Olek, o rok starszy od niej, zdawał w tym roku maturę. Byli ze sobą już od kilku lat, bardzo się kochali. Ania w trakcie zajęć wszystko notowała, zapisując drobnym pismem kolejne kartki brulionu. Była bardzo dobrą uczennicą i zawsze miała świetne notatki. Olek w czasie wykładów nie odrywał ode mnie oczu, pochłaniał każde słowo. Byli wspaniale przygotowani, czekali na to maleństwo, wierzyli, że będą najlepszymi na świecie rodzicami.

Którejś nocy zadzwonił telefon: – Cześć, Jeannette, tu Ania. Mam skurcze, zaczęło się, hurra! Są coraz silniejsze, ale nie takie silne, mogę wytrzymać, tak się cieszę! – Aniu, rzeczywiście nie możesz mieć bardzo silnych skurczów, bo buzia ci się nie zamyka. Masz duży poziom adrenaliny. To dopiero początek, poczekajmy, aż skurcze się nasilą – próbowałam ją wyciszyć.

– A możemy już przyjechać i poczekać z tobą, aż

poród się rozwinie? Boję się, że rano moi rodzice będą się wtrącać, a poród to nasza sprawa i chcemy przeżyć go tak, jak sobie wymarzyliśmy, bez ich ingerencji.

Zgodziłam się. Udało im się po cichu wyjechać z domu, rodzice się nie obudzili. Po badaniu okazało się, że to falstart; nie odesłałam ich z powrotem w środku nocy, ułożyłam spać w jednym łóżku.

*

Dopiero rano skurcze stały się coraz silniejsze i częstsze. Młoda, gadatliwa, urocza para wypowiedziała przez cały poród tylko kilka zdań. Milczeli, głaskali się i przytulali. Siedzieli naprzeciwko siebie, dotykając się czołami, wyglądali niczym dwa posągi. Dopiero gdy przyjrzałam się im uważniej, zauważyłam zamykające się cykle zachowania: Ania w bolesnym skurczu wtulała się w partnera, szukając pomocy; Olek oplatał ją ramionami i wydawało się, że przechwytuje każdą ilość bólu, której Ania nie dawała rady przetworzyć. Wyjawili mi tajną misję tego porodu: „przekuć cierpienie w miłość”. Zastanawiałam się, skąd u tak młodych ludzi takie poważne, dorosłe postanowienie.

Pod koniec skurczu macicy twarz rodzącej rozpromieniała się w uśmiechu, a jej ręce pospiesznie zaplatały się wokół drobnego ciała partnera.

Olek, pomimo młodego wieku, miał już początki

choroby wrzodowej żołądka. Koniec skurczu Ani niemalże z zegarmistrzowską dokładnością zapowiadał bolesny skurcz żołądka u młodego taty. Wtedy Anka przytulała go, ocierając krople potu z jego bladej, wykrzywionej bólem twarzy. Byłam pewna, że wraz z zaawansowaniem porodu Olek cierpi coraz bardziej.

– Jak mogę ci pomóc? Bierzesz jakieś leki? Może wezwać lekarza? – zapytałam.

– Nie, nie trzeba, dziękuję. Leki już wziąłem. Przy takich emocjach chyba nie działają. Jak mam trudną klasówkę, też mnie boli. To nic, czuję, że Ani to pomaga, a ona i tak ma trudniej. Nie mogę za nią urodzić, to chociaż z nią pocierpię.

Patrzyłam na nich z podziwem; tak bardzo im wtedy życzyłam, żeby tego uczucia starczyło im na długie lata i aby każde cierpienie potrafili przetransformować w miłość... Rozmyślenia przerwała mi Ania, która po raz pierwszy od kilku godzin wypowiedziała pełne zdanie: – Moja szyjka jest rozwarta na siedem centymetrów.

– W ostatnim skurczu miałam fizjologiczną myśl o śmierci. – Jej głos zabrzmiał stanowczo. Bardzo mnie rozbawił w tej sytuacji dokładny cytat z mojego wykładu.

– Dobrze, skoro jesteś aż tak pewna rozwarcia szyjki, nie będę cię badać – powiedziałam.

Ania skinęła głową. Jej skrupulatne notatki mówiły o adrenalinie, która wydziela się pod koniec porodu, by

dać rodzącej dodatkową siłę do parcia. Próbowwała rodzić według zeszytu. Była pewna, że myśl o śmierci wystraszyła ją na tyle, że weszła w ostatnią fazę porodu (siedem–dziesięć centymetrów rozwarcia). Cóż, nie chciałam jej martwić, to jeszcze nie był ten etap. Mniej więcej po godzinie popatrzyła na mnie dzikim wzrokiem, a jej rozszerzone źrenice pokrywały całą tęczówkę; już nawet nie można było dostrzec, że ma niebieskie oczy.

– Jeannette, coś jest ze mną nie tak! Myśl o śmierci już miałam. A teraz naprawdę umieram, nie przeżyję następnego skurczu, nie dam rady! Olek, ratuj!

Olek próbował ją przytulać, ale Anka miotała się jak w klatce. Kolejny skurcz przyniósł nowe doznanie: uczucie rozpierania. Spojrzała na mnie, szukając pomocy.

– Aniu, to główka twojego dziecka, czujesz? Jest coraz bliżej. Wytrzymaj jeszcze trochę, a niedługo je zobaczysz – mówiłam łagodnym, cichym głosem.

Rodząca wydawała się coraz spokojniejsza, ból brzucha się zmniejszył, dając jej nadzieję na chwilę odpoczynku. Faza parcia nie trwała długo, po kilku minutach młodzi rodzice tulili w ramionach swojego małego synka.

Z Anią i Olkiem spotkałam się po kilku latach przy kolejnym porodzie, ale już w szpitalu, w którym wtedy pracowałam. Oboje kończyli właśnie studia, nadal są szczęśliwi. To oni nauczyli mnie, że dojrzałość nie ma

nic wspólnego z wiekiem.

Inna strona

Dom narodzin już po kilku miesiącach działalności był modnym miejscem w Warszawie. Rodziły się u nas między innymi dzieci muzyków, aktorów, dziennikarzy, którzy ufali nam i rozumieli dokładnie propagowane przez nas idee; urzekła ich wszystkich domowa atmosfera. Miesięcznie przyjmowaliśmy po kilkanaście porodów, nie licząc tych domowych. Doktor zatrudnił dodatkowe położne.

Rodzące przynosiły ze sobą różne rzeczy, a to poduszkę, a to zegar czy maskotkę, by jeszcze bardziej udomowić swój pokój. Czasami były to święte obrazy, przy których paliły się świece; bywało, że pokój wyglądał jak kościół z ołtarzem pośrodku. Innym razem na ołtarzu stał posążek Buddy, portret Dalajlamy lub mistrza jogi, a w całym domu unosił się zapach kadzideł.

Decyzją szefa serwowaliśmy posiłki wegetariańskie.

– Jeżeli pacjenci przez dobę nie zjedzą mięsa, nic się nikomu nie stanie – zwykł mawiać.

Gdy poród odbywał się rano, już wieczorem kobieta z dzieckiem na rękach wracała do domu. Jeżeli położnica była w dobrej formie, zostawała z nami około dwunastu godzin, rzadko do dwudziestu czterech. Odwiedzaliśmy ją następnego dnia z lekarzem w domu; wykonywałam

wtedy szczepienie dziecka i na specjalną bibułkę pobierałam z malutkiej pięty krew na testy przesiewowe (fenyloketonuria, hipotyreoza). To nie należało do przyjemnych obowiązków – maluchy płakały, nie lubiłam sprawiać im bólu.

Nie miałam prawa jazdy. Doktor Eugeniusz coraz częściej mi o tym uszczypliwie przypominał. Miał w tym sporo racji, za dużo czasu traciliśmy, jeżdżąc razem na wizyty. Zapisalam się na kurs prawa jazdy. Pamiętam pierwszą lekcję. Nigdy dotąd nie siedziałam na miejscu kierowcy. Młody, sympatyczny instruktor wskazał na kierownicę i powiedział:

– Kierownica.

Myślałam przez chwilę, że ze mnie żartuje, ale był nad wyraz poważny.

– To jest skrzynia biegów, to lusterka boczne, a to lusterko wsteczne.

Kiwnęłam głową na znak, że rozumiem. Lekki niepokój poczułam w momencie, gdy zobaczyłam trzy pedały – mam tylko dwie nogi, nie poradzę sobie! Następnie dowiedziałam się, że wszystkie te rzeczy mam kontrolować równocześnie, oczywiście plus znaki drogowe. Byłam załamana. Uświadomiłam sobie, że identycznie musi się czuć rodząca podczas parcia. Przychodzi położna i mówi: „Proszę nabrać powietrza i poprzeć”. „A co to znaczy?” „Nabierz powietrza, zatrzymaj je, ukierunkuj parcie, zamknij oczy, przygnij

głowę do klatki piersiowej, napnij brzuch, rozluźnij krocze i przyj”.

- Proszę przekręcić kluczyk i jedziemy.
- Gdzie? – zapytałam przerażona.
- Marszałkowska! – odrzekł mój instruktor.

*

W Dzień Dziecka, w rocznicę działalności naszego domu, odbył się wielki piknik w ogrodzie, pogoda dopisała. Zaprosiliśmy urodzone u nas dzieci, ich rodziców oraz rodzeństwo. Najmłodszy gość, Franek, miał trzy dni. Przez kilka godzin wszyscy pochłonięci byli grami, zabawą, loterią. Cały ogród wokół domu tętnił życiem i muzyką. Wszyscy rozmawiali ze sobą tak, jakby znali się od dawna. Łączyła ich przecież ta sama idea.

Pan Janek, właściciel domu pracujący na co dzień w zakładzie pogrzebowym, poinformowany wcześniej o imprezie na jego posesji przyjechał przyjrzeć się z bliska, czy goście nie podepczą za bardzo trawy. Przypatrując się liczbie i jakości parkujących samochodów, uknuł plan podniesienia czynszu od następnego miesiąca. Nowa opłata miała być prawie dwukrotnie wyższa.

- Chytry dwa razy traci – powiedział doktor

Eugeniusz.

Po trzech miesiącach przenieśliśmy się do centrum miasta, a piękny dom, ku rozpaczy właściciela, jeszcze przez długi czas pozostał niezamieszany.

Nowe lokum w starej, wspaniałej kamienicy w samym centrum Warszawy wydawało się idealne dla naszej działalności, sprzyjały nam grube, przedwojenne mury. Zagospodarowaliśmy się na stu osiemdziesięciu metrach pięknie wyremontowanego lokalu. Na górze mieściła się przychodnia endokrynologiczna, piętro niżej mieszkanie pary starszych ludzi, naprzeciwko niego znajdowało się przedszkole. Na naszym piętrze mieszkała sympatyczna rodzina, która raz po raz z uśmiechem dopytywała się, co robimy tym kobietom, że tak krzyczą. Tak naprawdę nasze rodzące rzadko krzyczały. Jednak te z nich, które uruchamiały struny głosowe, były nie do zatrzymania.

Niektórym kobietom podczas porodu krzyk wyraźnie pomaga, tego rodzaju ekspresja daje im siłę. Dla innych to zwyczajna strata energii, te rodzą cicho, w skupieniu, czasami boleśnie pojękując. Zauważyłam też, że nie ma to żadnego związku z charakterem kobiety. Wydawać by się mogło, że te, które idą przez życie, rozpychając się łokciami, będą krzyczały wniebogłosy: z drogi, rodzę, pomocy!, a te spokojne też takie pozostaną. Otóż nie, bywało, że dopiero poród wyzwalał głęboko drżącą energię z osoby na co dzień cichej, uległej. Partner

patrzył na nią ze zdumieniem, ale też z wyraźnym szacunkiem: odkrywał po latach nowe, nieznane zakamarki duszy swojej kobiety. Bywało też odwrotnie – poród sprawiał, że to partnerka poznawała inną stronę swojego mężczyzny.

*

Zdarzyło mi się, że w trakcie porodu mąż rodzącej wyraźnie mnie adorował. Na początku nie zwracałam na to uwagi, sądząc, że to dla niego sposób odreagowania stresu. Po kilku godzinach sytuacja stała się nie do zniesienia. Poprosiłam więc amanta na rozmowę, załatwiłam to w dwie minuty, nie byłam miła. Nie odezwał się do mnie do końca porodu ani razu. Gdy maluch się urodził, mężczyzna wyszedł, mówiąc, że ma do załatwienia jakąś sprawę w mieście. Nie ukrywam, zaskoczyło mnie to, jak można wyjść w takiej chwili? Co może być ważniejsze od własnego dziecka, które ma piętnaście minut, pomyślałam. Skorzystałam z okazji, że zostałyśmy same:

– Kasiu, wiesz, że rozmawiałam w trakcie porodu z twoim mężem. Nie podobało mi się jego zachowanie. Widziałam, jak między skurczami ocierałaś łzy. To nie były łzy z powodu bólu, prawda?

– Masz rację, po raz setny to samo. Myślałam, że chociaż teraz będzie inny, ale nie. On nie może się

powstrzymać, myślę, że się nie zmieni. Jeannette, on mnie nie kocha, zdradzał mnie podczas ciąży, pewnie wcześniej też. Pochodzę z małego miasteczka, moi rodzice nie żyją, nie mam rodzeństwa, nie mam dokąd pójść... On się mną opiekuje. Wciąż go Kocham, ale nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzę, jak długo dam radę znosić te jego flirty i noce poza domem – mówiła spokojnie, patrząc przez cały czas na przystawione do piersi maleństwo. Nie płakała.

Wrócił Robert, jej mąż. Z dwoma bukietami po trzydzieści róż; po tyle mieli oboje lat. Dla mnie były białe, wręczył mi je z przeprosinami, całując w rękę. Dla Kasi różowe. Była zaskoczona, nigdy nie kupował jej kwiatów. Uklęknął przy łóżku, ucałował ją i swoją małą córeczkę.

– Kasiu, przepraszam. Widzę, jakim byłem dupkiem. Zrobię, co zechcesz, żeby ci to wszystko wynagrodzić. Jeannette jest świadkiem – mówił, zacinając się. – Po czym zwrócił się do mnie: – Dziękuję ci, wiesz za co.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnęłam się.

– Kasiu, jak damy małej na imię? – zapytał. – Jest śliczna, podobna do ciebie.

– Róża – odpowiedziała bez namysłu.

Robert wyszedł z pokoju po wazon na kwiaty.

– Co mu powiedziałaś? – zwróciła się do mnie.

– Niech to będzie ostatnia tajemnica Roberta – odparłam, wachając różę.

POŚLADKOWO

Praca w Ewie-2 pokazała mi, jak pełne zaskakujących zwrotów akcji potrafi być życie. Za tym idą ogromne emocje. Z czasem nauczyłam się trzymać je mocną ręką.

*

Basia i Waldek bardzo chcieli urodzić w Ewie-2. Czekali na swoje pierwsze dziecko. Niestety ułożenie pośladkowe rozwiewało te marzenia (to przeciwwskazanie do porodu w takim miejscu jak nasze). Przez kilka dni z rzędu umawiali się na rozmowę z lekarzem, po każdym spotkaniu odchodzili z kwitkiem. Przysłuchiwałam się tym dyskusjom. Basia była nieugięta, a mąż dzielnie ją wspierał.

– Znamy was, mamy do was zaufanie. Szkoła rodzenia dała nam wiarę, że kobieta ma w sobie niezwykłą siłę. Chcemy to udowodnić, damy radę – powtarzał Waldek.

Basia miała mocniejsze argumenty:

– Urodziłam się pośladkowo, mój brat też. Mama nie robiła z tego problemu. „Poród jak poród”, mówiła.

Czuję, że i ja sobie poradzę. Nie chcę cięcia cesarskiego, w szpitalu nie pozwolą mi przecież pierwszego dziecka urodzić normalnie.

Jednak doktor przecząco kręcił głową:

– Poród pośladowy to pogranicze patologii i fizjologii, zwłaszcza gdy kobieta rodzi pierwszy raz – tłumaczył. – Nie dysponujemy odpowiednim zapleczem, musimy do minimum ograniczać ryzyko. Zajmujemy się samą fizjologią i dzięki temu mamy świetne rezultaty.

Wychodzili smutni. W końcu argumenty doktora do nich dotarły, tak się przynajmniej wydawało.

*

Minęły trzy tygodnie od ostatniego spotkania. Właśnie rozpoczynałam dyżur. Usłyszałam przeciągły dzwonek do drzwi, zabrzmiał złowrogo. Otworzyłam, zobaczyłam Waldka z wielką torbą i wspierającą się na nim, na wpół zgiętą Basię.

– Błagam, nie odsyłajcie mnie – prosiła od progu. – Mam skurcze przez całą noc. Nie mogłam się przemóc, żeby pojechać do szpitala, bałam się. Kazałam się Waldkowi przywieźć do was. Pomóżcie mi.

W korytarzu pojawił się doktor Eugeniusz, słyszał, co mówiła.

– Posłuchamy tętna dziecka i zaraz odwiozę was do

szpitala. Bez dyskusji – powiedział i zniknął w poszukiwaniu kluczyków do samochodu.

– Chodź, Basiu, zbadam cię. Zobaczmy, ile mamy czasu.

Pomogłam jej wgramolić się na fotel położniczy. Tętno było prawidłowe. Zaczął się skurcz. Rodząca poczerwieniała z wysiłku, parła. Moim oczom ukazały się wielkie, napuchnięte jądra. Tak, to niewątpliwie był chłopiec.

– Eugeniusz! Nigdzie nie jedziemy! – krzyknęłam nieswoim głosem.

– Ale ja już jestem gotowy – powiedział, wchodząc do gabinetu. – Dlaczego nam to zrobiliście? – zapytał, ale raczej siebie niż młodych rodziców. – No dobrze, nie ma co, bierzemy się do pracy.

Zdjął kurtkę i rzucił ją na krzesło.

– Jeannette, przyszykuj wszystko, wkładaj rękawiczki, ja posłucham tętna dziecka – powiedział takim tonem, że nawet nie dyskutowałam, choć wiedziałam, że poród pośladowy w szpitalu zwykle przyjmuje dwóch lekarzy.

Dziękowałam Bogu, że kilka tygodni wcześniej, gdy ważyły się losy tego porodu, jeszcze raz dokładnie przypominałam sobie mechanizm „rodzenia pośladków”. Jednak w podręczniku zdecydowanie nie było takich emocji.

Podtrzymywałam rodzące się duże bioderka. Gdy

chłopiec urodził się do połowy, przeraziłam się: a co z główką, będzie ogromna, a jak się nie urodzi?! Doktor zastosował chwyt przez powłoki brzuszne, który sprawia, że pozycja główki jest najkorzystniejsza, rzeczywiście bez trudu zmieściła się w kanale rodnym. Trzymając oburącz tułów i płasko przylegające do niego nóżki dziecka, zdecydowanym ruchem wywinełam ciało ku górze. Pojawiła się twarzyczka i cała główka. Po chwili czterokilogramowy chłopak leżał już na brzuchu swojej mamy. Dostał od nas najważniejsze dziesięć punktów, jakie kiedykolwiek ktokolwiek komukolwiek przyznał.

Gdy rodzina znalazła się już w pokoju, pomogłam Basi przystawić dziecko do piersi. Wyszłam zrobić śniadanie, ale nie doszłam do kuchni, opadłam bez sił na fotel w salonie.

– Dlaczego kazałeś mi włożyć rękawiczki i przyjmować ten poród? Nigdy nie przyjmowałam pośladków. – Patrzyłam z wyrzutem na doktora.

– Nigdy też nie asystowałam, a to ważne zadanie, przecież wiesz.

Miał rację, pokiwałam tylko głową, wszystko to wiedziałam, teoretycznie. Byłam z siebie dumna, że nie wystraszyłam się nowej sytuacji i nie spanikowałam.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nikogo poza tobą nie było do pomocy – powiedział sarkastycznie.

Z czasem przyjełam w Ewie-2 jeszcze kilka takich porodów. Pamiętam ciążarną, która właśnie wróciła po

dziesięciu latach ze Szwecji. Była w trzeciej ciąży i to miał być jej trzeci poród pośladkowy. Szukała szpitala, gdzie mogłaby spokojnie urodzić. Nie znalazła. Lekarze, których spotykała, proponowali jej obrót zewnętrzny (przez powłoki brzuszne). Nie zgodziła się: „Umiem rodzić pośladki. To dla mnie fizjologia, tak jak dla innej kobiety ułożenie główkowe”. Skoro wszystkie dzieci tak się układają, to coś w tym musi być. Nie musiała nas długo przekonywać, urodziła z nami.

Po dwóch tygodniach od tego porodu przyszło mi przyjmować piąty poród u kobiety, która za każdym razem rodziła pośladkowo. Pomyślałam wtedy, że to jakiś żart losu. Życie ciągle przypominało mi, że nie należy się niczemu dziwić. Nie w tym zawodzie.

MARYSIA

Miałam poczucie, że lekcje, które przychodzi mi odrabiać, są coraz trudniejsze. Jednak ciągle sobie powtarzałam, że moje życie zawodowe to nie tylko przypadki medyczne – za nimi stoją zwyczajni ludzie, ze swoimi emocjami, obawami, decyzjami, często bezradnością. A ja stoję za nimi.

*

Zadzwoiła do mnie siostra mojej pacjentki, prosząc o jak najszybsze spotkanie. Nic więcej nie chciała powiedzieć przez telefon. Wdrapałam się na piąte piętro starej kamienicy bez windy. Otworzyła mi zapłakana dziewczyna w zaawansowanej ciąży.

– Dzień dobry. Co się stało? – spytałam zasapana.

Wprowadziła mnie bez słowa do przestronnej kuchni i zaproponowała herbatę.

– Jesteś siostrą Pauliny? – próbowałam zagaić rozmowę.

Dominika otarła łzy i usiadła przy mnie. Dopiero wtedy się jej przyjrzałam: wyglądała na dwadzieścia

kilka lat, miała mleczną karnację i włosy do ramion, ufarbowane na czarno; tworzyło to zaskakujący kontrast.

– Tak się cieszę, że przyszłaś... – Zamilkła na dłuższą chwilę. – Nie wiem, od czego zacząć... – Głośno westchnęła.

– Mów po kolei – powiedziałam, zachęcając ją uśmiechem. Przysunęłam sobie kubek z herbatą.

*

Dziewczyna wzięła głęboki oddech. Opowiadała o swoim partnerze, który jest Francuzem, pracuje w Warszawie jako menedżer w międzynarodowej firmie. Poznali się dwa lata wcześniej, myśleli o wspólnym życiu. Określili precyzyjnie kolejne etapy, spisali je na kartce i działali według planu. Wszystko układało się jak należy aż do chwili, gdy test ciążowy wykazał wynik dodatni. Ich plany nie obejmowały dziecka w tym momencie. Zastanawiali się, jak to się mogło stać, przecież starała się regularnie brać tabletki. Układanka rozsypała się – co z jej studiami, dobrą pracą, projektem Marcela? Na jej rodzinę nie mogli liczyć. Siostra miała swoje życie, rodzice mieszkali w innym mieście: mama chorowała na cukrzycę, ojciec był po dwóch zawałach. Nie mieli wątpliwości, co powinni zrobić. Tak, jak to było wcześniej ustalone, pojechali na wakacje do Francji. Tam Dominika usunęła ciążę metodą próżniową

(nieznaną w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych).

Gdy otworzyła oczy po zabiegu, zobaczyła stojący na podłodze podłużny, połączony ze ssakiem słoć wypełniony do połowy krwią z jakimiś pływającymi tkankami. Tam było jej dziecko. To nie był miły widok, ale poczuła ulgę.

Po powrocie poszła po receptę na pigułki antykoncepcyjne, lekarz nawet jej nie zbadał. Jeszcze tego samego dnia wyjechali na Mazury, na dalszą część urlopu. Okazał się bardzo udany, odprężeni powrócili do swoich normalnych zajęć. Jednak z każdym tygodniem Dominikę ogarniał coraz większy niepokój, czuła się jakoś dziwnie. Zapisła się na wizytę do ginekologa – stwierdził szesnastotygodniową ciążę. Zabieg się nie udał, ciąża przetrwała. Zadawała sobie wiele pytań. Jak to możliwe? Co było w słoju? Jak wygląda teraz to biedne dziecko? Co mu zrobiła?! Leżała na fotelu ginekologicznym i nie była w stanie się ruszyć. W głowie miała zamęt. Czuła, że musi lekarzowi powiedzieć prawdę. Poprosiła, by zrobił USG i ocenił ryzyko. Chciała się dowiedzieć, jak wygląda dziecko i czy ma wszystkie kończyny. Urodzi je, skoro los tak zdecydował, ale musi wiedzieć.

Lekarz spojrział na nią i bez słowa wskazał leżankę. Widziała, że obawia się tego, co może zobaczyć na monitorze. O dziwo, obraz pokazywał zdrową ciążę i prawidłowo rozwijające się dziecko. Dominika była

szczęśliwa, nic się poza tym nie liczyło. Nic już nie było tak ważne – ani studia, ani praca.

Moja herbata wystygła, prawie nic nie wypiałam. Gdy uniosłam kubek do ust, Dominika powiedziała:

– Chcę urodzić Marysię w domu, co ty na to?

– Domyślasz się, że nie powinnam się na to zgodzić.

Rozłożyła przede mną wyniki badań z całej ciąży, były idealne.

– Jeannette, ja wiem, że wszystkiego nie widać na USG. Mam koszmarne sny o tym, że dziecko nie ma oczu, ucha, nogi albo rąk. Ale to tylko sny, czuję, że wszystko będzie dobrze. Wiem to, jestem pewna. A nawet gdyby nie było, jestem gotowa ponieść wszelkie konsekwencje. Nie chcę rodzić w szpitalu. Wstydzę się tego, co zrobiłam. Chcę zostać z Marcelem w domu.

– Wiesz, muszę się nad tym zastanowić. A teraz powinnam już iść.

Brakowało mi powietrza. Musiałam wyjść na zewnątrz.

*

Myśli o Dominice nie opuszczały mnie ani na chwilę. Wyniki miała prawidłowe. Wiedziałam, że w trakcie porodu będzie dobrze ze mną współpracować, by pomóc sobie i dziecku. Mam odmówić tylko dlatego, że

powiedziała mi prawdę? A gdyby mi nie powiedziała, zgodziłabym się? Podjęłam decyzję: chcę jej pomóc urodzić to dziecko w domu, bez względu na wszystko.

Dominika urodziła bardzo sprawnie zdrową, dużą dziewczynkę. Przyglądałam się dziecku długo i uważnie, oglądałam każdy centymetr jego ciała. Wydawało mi się, że ma obniżone napięcie mięśniowe w lewej ręczce. Zwróciłam na to uwagę pediatrze, który przyszedł po porodzie na rutynową wizytę. Nie potwierdził moich obaw, stwierdził nawet, że jestem przewrażliwiona.

Sprawdziło się powiedzenie mojej babci Józefy: „Komu na życie, temu na życie”. Lekarz powiedział Dominice, że ciąża nie miała szansy utrzymać się po takim zabiegu, to wyjątkowy przypadek. Mała Marysia postanowiła przeżyć i być radością dla młodych rodziców, wbrew ich woli.

Zastanawiałam się, co czuje dziecko skazane na śmierć? I jak zagrożenie przeżyte w życiu prenatalnym może wpłynąć na wybór drogi życiowej, zawodu, partnera? Często myślę o Marysi, niedawno zdała maturę, jestem o nią spokojna. Potrafi walczyć.

MAMY GOŚCIA

Zawrzało w polskim położnictwie. Rok 1993 był przełomowy, wtedy to odbył się międzynarodowy kongres „Jakość narodzin, jakość życia” organizowany przez Ewę Smuk i Ośrodek Edukacji Ekologicznej Eko-Oko. Brałam udział w przygotowaniach, a później byłam prelegentką. Wyraźnie nadszedł czas, gdy stare musiało odejść. Mam kontakt z położnymi z wielu regionów kraju i wiem, że niektóre szpitale do dziś kurczowo trzymają się skostniałych poglądów. Zapraszano mnie wówczas do oddziałów położniczych w miastach i miasteczkach. Inicjatorkami tych spotkań były najczęściej położne pasjonatki, które wierzyły w to, że coś mogą zmienić i powoli wprowadzać nowe.

Powszechnie wiadomo, że bez ordynatorów poszczególnych oddziałów i lekarzy tam pracujących nie ma mowy o jakichkolwiek poczynaniach, więc niejednokrotnie położne używały podstępów, żeby ich przyciągnąć na spotkanie ze mną. Scenariusz przeważnie wyglądał podobnie: przez pół wykładu lekarze patrzyli na mnie jak na kogoś, kto popełnił zbrodnię w ich rodzinie, pod koniec spotkania ich twarze rozpogadzały się, widziałam, że myślą nad tym, co mogliby zrobić dla

swojego oddziału; zadawali mi nawet pytania. Niektórzy zastanawiali się zapewne, skąd się wzięłam z takimi poglądami oraz kto i gdzie pozwala mi na taką samodzielność, byłam dla nich za młoda na takie eksperymenty. Krótko mówiąc, patrzyli na mnie jak na przybysza z kosmosu.

Położne nie mogły przeprowadzić badania wewnętrznego przez pochwę, ja badałam. One wykonywały ściśle zlecenia lekarza, ja sama prowadziłam poród, informując lekarza jedynie o patologii. One układały kobietę do parcia płasko na plecach, ja przyjmowałam porody w pozycjach preferowanych przez rodzącą. W niektórych szpitalach, które odwiedziłam, pomimo że to położna dotyka krocza rodzącej i wie najwięcej o jego elastyczności – nacina je lekarz. Ja sama podejmowałam decyzję, czy będę chronić krocze czy nacinać. Mówiłam, że ani lewatywa, ani golenie krocza po przyjściu rodzącej do szpitala nie są konieczne; brzmiało to jak herezja. Przekonywałam, że na początku porodu dzięki dużej ilości adrenaliny dochodzi do samoistnego oczyszczenia dolnego odcinka jelit. Nie przewidziałam jednak problemu technicznego: w szpitalach rodzącej nie wolno było wstawać do toalety w trakcie porodu. Wypróżnieniem na basen ani rodząca, ani personel nie byli zainteresowani.

Tłumaczyłam, że zamiast golić całe krocze, można przed samym nacięciem delikatnie, przy użyciu

jednorazowej maszynki przygotować pole o szerokości dwóch centymetrów w miejscu założenia ewentualnych szwów. O porodach w domu rzadko mówiłam, by nie być posądzona o brak instynktu samozachowawczego. Dzisiaj, jak wspominam tamte realia, widzę, że naprawdę nie było łatwo coś zmienić, zwłaszcza w ludzkiej świadomości.

*

Pamiętam, że po jednym z takich spotkań oddziałowa zaprosiła mnie na zwiedzanie sali porodowej, typowej jak na tamte czasy: białe kafelki na ścianach aż do sufitu, biało-czarna szachownica z kafelków na podłodze, trzy łóżka porodowe przedzielone małymi płóciennymi parawanami. Na dwóch łóżkach wiły się rodzące, ale – co mnie zastanowiło i zdziwiło – robiły to bezgłośnie. Jedna z nich zbliżała się do finału, milcząca położna przygotowywała narzędzia. Jeżeli któraś z rodzących niechcący wydała jakikolwiek dźwięk, położna przerywała swoje czynności, zastygała bez ruchu i patrzyła na nią. Nie chciałam wiedzieć, o co tutaj chodzi.

U drugiej z rodzących właśnie skończył się kolejny skurcz, trzymała się jedną ręką metalowej rury łóżka, a jej głowa, barki i druga ręka bezwładnie zwisały poza poślanie. Moja przewodniczka po oddziale podeszła do

niej i powiedziała z troską:

– Co też pani wyprawia, zaraz pani spadnie. Proszę spojrzeć, mamy gościa z Warszawy, to położna. – Mówiąc to, wskazała na mnie ręką, próbując równocześnie wciągnąć kobietę z powrotem na łóżko.

Rodząca nie była mną specjalnie zainteresowana, przebywała w swoim milczącym świecie. Stałam w drzwiach między dyżurką położnych a salą porodową i nie miałam zamiaru wchodzić. Położna nie dawała za wygraną.

– Mówiła pani, że nie ma potrzeby golenia krocza, my nie golimy całego, idziemy z postępem, zostawiamy na spojeniu grzywkę, proszę spojrzeć – powiedziała z dumą w głosie i bez ostrzeżenia jednym ruchem odkryła kobietę, pokazując dokładnie to, o czym mówiła. Zobaczyłam zaskoczenie i lęk w oczach rodzącej. Szybko odwróciłam głowę, w okolicy serca poczułam fizyczny ból. Nie miałam odwagi uczestniczyć w parciu, chociaż oddziałowa nalegała. Z dyżurki i tak słyszałam wszystko, czego nie chciałam usłyszeć. „Położyć się, oddychać”. Okropne bezokoliczniki, a tak zgrabnie wyglądałyby ze słowem „proszę”.

Niezwykłe ważny jest język, którego używamy w kontakcie z rodzącą. Jeszcze wiele lat upłynie, zanim uda nam się wykorzenić stare, utarte zwroty. Na kilka z nich mam wyjątkową alergię. Słynne określenie „odebrać poród” przetrwało z czasów, gdy w kilka chwil

po porodzie odbierano matce dziecko i odnoszono je na inny oddział. Ale czasy się zmieniły, może warto zmienić język. Do znudzenia wszystkim zwracam uwagę, że odbiera się życie, a porody się przyjmuje (witamy noworodka, przyjmujemy go na swoje ręce).

Jednak na czoło listy komend, które padają w salach porodowych, wysuwa się: „Przyj, jakbyś robiła twardą kupę”. Ilekroć to słyszę, czuję zażenowanie. Tak samo skonsternowana jest większość rodzących. Nic dziwnego, że parcie jest wtedy nieefektywne. zamiennie bywa używany zwrot: „Przyj ze złością”. Zastanawiam się, na kogo niby rodząca ma się złościć? Na położną, męża, na siebie czy nie daj Boże na dziecko? „Popchnij z miłością” może byłoby bardziej stosowne.

*

Z tamtych spotkań często wracałam do domu z poczuciem bezsilności i porażki. Miałam wielkie marzenie, by rodzącą traktowano jak podmiot, a nie przedmiot, a kobiety zaczęły zwracać się do siebie z szacunkiem i wzajemnie uznawały swoją osobistą przestrzeń.

SZTUCZNE OGNIE

Ewę-2 odwiedzały młode położne z innych miast. Słyszały lub czytały o nas i chciały zobaczyć na własne oczy, jak pracujemy. Bardzo się z tego cieszyłam, bo to oznaczało, że ziarno „nowego” jednak kiełkuje.

Gdy przyjechała do nas Marta z Wrocławia, właśnie zaczynał się poród w domu. To niezwykle, że czasami jedno wydarzenie potrafi zmienić czyjeś życie.

*

– Chcesz ze mną pojechać? – zapytałam Martę.

– Naprawdę? Mogę? Zabierasz mnie ze sobą? Myślisz, że na coś ci się przydam?

– Wezmę cię, pod warunkiem że nie będziesz tyle gadać.

– Jasne. – Natychmiast zamilkła.

Przejrzałam i uzupełniłam torbę medyczną. W czasie drogi opowiedziałam Marcie o naszych pacjentach.

– Niedawno kończyli u nas zajęcia w szkole rodzenia. To miła, kochająca się para. Wymarzyli sobie poród

w domu, choć żadnego nie mieli, wynajmowali jakiś obskurny kąt. Od kiedy dowiedzieli się, że Alicja jest w ciąży, Andrzej codziennie chodził do spółdzielni mieszkaniowej, której byli członkami. Prosił, błagał, by zdążyli oddać im klucze jeszcze przed porodem.

– I co, udało się? – zapytała Marta.

– Tak, chłopak był zdeterminowany. Mają klucze od dwóch tygodni. Byłam tam cztery dni temu. Fałszywy alarm, skurcze przepowiadające, Ala po prostu przepracowała się rozpakowywaniem pudeł.

– Myślisz, że teraz to już to?

– Zaraz zobaczymy – powiedziałam, naciskając dzwonek ich mieszkania na Ursynowie.

Otworzyła nam młoda dziewczyna.

– Mam na imię Gośka, jestem siostrą Andrzeja. Przyjechałam do nich na święta, myślałam, że Ala wytrzyma do Nowego Roku, a tu proszę, niespodzianka! – powiedziała, wpuszczając nas do środka. Mówiła szybko i nerwowo.

Marta była przejęta i zaskoczona, nie tak wyobrażała sobie miejsce, gdzie za chwilę przyjdzie na świat dziecko. W domu nie było mebli, gołe ściany, wszędzie pudła – typowy rozgardiasz po przeprowadzce. Tylko sypialnię, czyli „salę porodową”, udało się młodym jako tako przygotować. Na podłodze położyli duży materac z kolorową pościelą. W rogu przy oknie postawili świerkową choinkę, udekorowali ją jabłkami, orzechami

i migoczącymi lampkami. Na czubku, zamiast gwiazdy, powiesili dziecięce włóczkowe buciki.

*

Gdy weszliśmy do sypialni, Ala tańczyła wtulona w Andrzeja. Domyśliłam się, że to chwila wytchnienia między skurczami. Przywitałam się i przedstawiłam asystentkę.

– Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, że Marta zostanie z nami? Jest położną.

– Cudownie, będzie nas więcej do witania Aleksandra – rzucił przez ramię Andrzej.

– Na mnie nie licz, jestem przerażona – krzyknęła z kuchni jego siostra.

Zbadałam rodzącą, cztery centymetry rozwarcia. Tętno dziecka doskonałe.

– Teraz możemy spokojnie pogadać – powiedziałam.

– Zrobiliśmy tak, jak nam proponowałaś. – Andrzej uśmiechnął się do mnie tajemniczo.

– To znaczy? – Nie bardzo wiedziałam, co ma na myśli.

– Tak jak nam mówiłaś, seks, prostaglandyny. Tylko nie wspominałaś, że to działa już po godzinie.

– To zależy, różnie bywa, ale chyba jesteście zadowoleni z obrotu sprawy?

– Tak! – wykrzyknęli równocześnie.

Widziałam, że Andrzej jest bardzo dumny ze swojego aktywnego udziału w akcie porodowym. Rzeczywiście sumiennie odrobili zadaną lekcję.

Gdy ciało kobiety jest już gotowe do porodu, zdarza się, że zbyt duży stan napięcia emocjonalnego może hamować jego rozpoczęcie. Polecam wtedy seks jako najprostszy i moim zdaniem najprzyjemniejszy domowy sposób indukcji. Dochodzi wówczas do wywołania skurczów macicy dzięki produkcji oksytocyny, wskutek orgazmu lub drażnienia brodawek sutkowych. Ale największą wartość stanowi męskie nasienie, ponieważ jest źródłem naturalnych prostaglandyn, hormonów, które również stymulują u kobiety wydzielanie oksytocyny.

Oczy Alicji stawały się coraz ciemniejsze i większe. Andrzej włączył ścieżkę dźwiękową z filmu *Misja*. Odgarnął z jej ramienia mokre pasmo rudych włosów i zaczął delikatnie głaskać ją po szyi. Ich ciała i serca wydawały się zestrojone. Ledwie słyszalna muzyka, iskrzące się różnymi kolorami lampki na choince; wszyscy poddaliśmy się temu nastrojowi. Czas szybko mijał. Prawie nie rozmawialiśmy. Alicja nadal stała wtulona w Andrzeja, obejmując go mocno za szyję. Jej ciało zaczęło sygnalizować rozpoczynające się parcie. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym ich rozdzielić. Wyglądało na to, że będziemy rodzić na stojąco.

Spojrzałam na dębowy parkiet. Świetnie, pomyślałam, znowu będą bolały mnie kolana, oby tylko nie zaczęły trzeszczeć z wysiłku w tej ciszy. Uśmiechnęłam się do siebie w duchu. Rozłożyłam na podłodze folię i prześcieradła. Uklękałam za Alicją, asekurowując rodzącą się główkę. Parcie, cisza, parcie, cisza, wdech, wydech. W rytmie rodzącego się dziecka. W tej ciszy, przerywanej głębokimi oddechami Alicji, urodził się Aleksander. Otworzył oczy, jakby chciał wsłuchać się w muzykę i ciche pochlipywanie rodziców.

Usłyszałam, że siedemnastoletnia Gosia siedząca na podłodze, oparta o ścianę głośno wydmuchiwała nos. Płakała ze wzruszenia. Dopiero teraz zauważyłam, że została, nie wyszła w kulminacyjnym momencie, tak jak wcześniej planowała. Zapaliła na cześć nowego członka rodziny sztuczne ognie. Zupełnie zapomniałam o Marcie, która zaszyła się gdzieś w kącie między kaloryferem a choinką. Andrzej, by uczcić narodziny, kupił miód pitny o nazwie Aleksander. Wszyscy oprócz mnie wznosili toast za zdrowie małego Olka. Jak zwykle musiałam odmówić, nie mam zwyczaju wsiadać za kierownicę po alkoholu. Życzyłam rodzinie dużo szczęścia, popijając malinową herbatę.

*

Po paru godzinach pożegnałyśmy się z młodymi

rodzicami, nic już nie było do zrobienia.

– Niech zostaną sami. – Pociągnęłam Martę za rękaw. Ale ona wcale nie chciała wychodzić. Wyglądała, jakby ją ktoś zahipnotyzował. Dopiero w samochodzie rozwiązał jej się język.

– To nie poród. To misterium. Nigdy czegoś takiego nie widziałam ani nie przeżyłam. Żadnych interwencji medycznych. Niesamowite. I to poczucie bezpieczeństwa. Nie przeszkadzałam im ani ja, ani ta mała Gosia. Myślę, że byli sobą tak zajęci, że nie miało to dla nich znaczenia. Patrzyłam i nie wierzyłam, że można aż tak kochać i umieć tę miłość przekazać drugiej osobie, i to w tak cudowny sposób. – Marta zamilkła rozmarzona.

Widziałam, że jest bardzo przejęta i układa sobie w głowie sprawy nie tylko zawodowe.

Przy porodzie małego Aleksandra, tego jednego wieczoru, obudziła się w Marcie całkiem nowa położna – widząca ludzi, ich emocje i uczucia zupełnie innymi oczami. Byłam pewna, że od tej chwili będzie pracować inaczej; widocznie iskierki sztucznych ogni spadły na jej serce. W swoim szpitalu została prekursorką nowego podejścia do porodów, w którym liczy się pełna zrozumienia, cicha asysta.

PO LUDZKU

Jest rok 1994. „Gazeta Wyborcza” organizuje społeczną akcję „Rodzić po ludzku”. Brałam w niej czynny udział, współpracując z redakcją. Przeczytałam setki listów od kobiet rodzących w różnych polskich szpitalach. Nawet jak miałam gripę i zostałam przez kilka dni w domu, towarzyszyły mi listy.

– Przecież będziesz leżała w łóżku, co masz do roboty? Dasz radę, to tylko sto listów. Może chcesz więcej? – przekonywała koleżanka. Nie było to jednak takie proste; przez trzy dni miałam wysoką gorączkę i ból głowy, cały czas spałam. Gdy czwartego dnia poczułam się lepiej, zaczęłam czytać.

Natrafiłam na dwa listy z niewielkiej miejscowości, opisujące tego samego lekarza. Z relacji pacjentek wynikało, że był dewiantem. Sposób, w jaki traktował kobiety podczas wizyt, świadczył o tym bezsprzecznie: zapraszał do gabinetu po dwie ciężarne, kazał im przechadzać się w bieliźnie lub bez; rzekomo oceniał budowę anatomiczną miednicy. Znowu dostałam gorączki, tym razem z emocji. Pachniało mi to *Sprawą dla reportera*. Pomimo późnej pory zadzwoniłam do koleżanki z „Gazety” i poprosiłam, by natychmiast

wysłała tam dziennikarzy. Czułam, że to ważne i trzeba się spieszyć. Następnego dnia reporter pojechał na drugi koniec Polski i zdemaskował lekarza, który dwa dni później miał oficjalnie zostać ordynatorem. Gdy sprawa nabrała rozgłosu, coraz więcej kobiet potwierdzało jego chore praktyki.

Były też listy optymistyczne, ciepłe, pełne wdzięczności dla położnych i lekarzy. Ale cóż, zdecydowanie więcej było tych smutnych. Przerazały mnie opisy porodów wśród opryskliwych, wulgarnych położnych, niekompetentnych, a czasami wręcz pijanych lekarzy. Pisali ojcowie koczujący godzinami pod oknami sal porodowych bez względu na pogodę i porę roku. Wierzyli, że będąc blisko, choć w taki sposób, myślami pełnymi miłości wesprą rodzącą partnerkę. Dziękowałam Bogu, że nie muszę pracować w takich warunkach.

Pewnego dnia przyszłam do „Gazety” po kolejne listy, ale przekazano mi, że nie mogę dłużej zostać w zespole. Wszyscy zawałeni robotą, akcja kończy się dopiero za trzy tygodnie, o co chodzi? Powiedziano mi, że redakcja otrzymała sporo listów o mojej pracy w Ewie-2, co wykluczało mnie z dalszej współpracy z „Gazetą”. Powstał dylemat. W konkursie były oceniane wyłącznie szpitale publiczne i osoby tam pracujące. Prywatne miejsca do porodu dopiero powstawały, dlatego nikt nie brał ich pod uwagę. Redakcja nie mogła jednak pominąć milczeniem naszego domu narodzin, a to

za sprawą pełnych entuzjazmu opinii kobiet, które z nami rodziły.

Ostatecznie dostaliśmy tytuł „Złotego Bociana” i wyróżnienie honorowe. Mnie jako położną również doceniono tytułem „Anioła w ludzkiej skórze”. Było to dla mnie nobilitujące, ponieważ honorowe wyróżnienie przyznały mi pacjentki, a ich opinia jest dla mnie najważniejsza. Otrzymany dyplom kryje w sobie tak wiele ludzkich uczuć, ciepła i wdzięczności, że do dziś jest dla mnie najcenniejszy.

*

Byłam dumna, że dane mi jest uczestniczyć w misji, która miała na celu przywrócić godność kobiecie rodzącej. Do tej pory był to w Polsce temat tabu; przez wiele lat nikt się nie przejmował losem rodzących i ich przedmiotowym traktowaniem.

Dzięki takim osobom jak Sheila Kitzinger (antropolog z Wielkiej Brytanii) także w polskim położnictwie zaczęły się zmiany. To ona pierwsza stworzyła przewodnik po szpitalach w Anglii i Danii, pisany ręką tysięcy kobiet opowiadających o swoich porodach. Nowo powstała Fundacja Rodzić po Ludzku poszła za tym przykładem. Naciski społeczeństwa spowodowały, że szpitale zaczęły się otwierać chociażby na obecność mężczyzn przy porodzie. Jeśli warunki na to

pozwalają, wydzielano w oddziałach przynajmniej jeden, dwa pokoje do porodu. Wyposażano je w wannę lub prysznic, dużą piłkę do siedzenia, worek sako, czasami stołek porodowy (ułatwiający poród w pozycji kucznej). Co z tego, kiedy mentalność położnych i lekarzy często nie nadążała za zmianami. Przecież tak naprawdę nie chodziło o bujany fotel czy obrazy na kolorowych ścianach, ale o wrażliwość na potrzeby rodzącej kobiety.

CZWÓRKA Z TRZYNASTKI

W moje trzydzieste urodziny od rana miałam dyżur.

Dzień zapowiadał się spokojnie, żadnych planowych wizyt, byłam sama. Postanowiłam przeznaczyć ten czas na prace porządkowe i przy okazji gruntownego sprzątania pokoi porodowych pomyśleć o swoim życiu. Wszystko wydawało się być na właściwym miejscu. Rodzina, dzieci, praca, ludzie wokół. Wspierający, kochani. Czułam się potrzebna i doceniana. Około południa odwiedziła mnie pacjentka, z którą rodziłam miesiąc wcześniej. Przyniosła mi w prezencie trzydzieści białych róż. Były piękne. Patrzyłam na nie, zastanawiając się, jaka siła sprawia, że osiągają taką mocną, a przy tym delikatną formę. Były takie realne, ale wydawało się, jakby dotyczył ich inny porządek rzeczy... A co z moimi porządkami? Ten w pokojach robiłam do wieczora, do tego innego postanowiłam wziąć się niebawem.

*

Koleżanka opowiedziała mi o kursie

bioenergoterapii, gorąco namawiała, żebym z nią poszła. Co prawda obie miałyśmy dość sceptyczne nastawienie do tego rodzaju wiedzy, ale postanowiłyśmy pójść, posłuchać; co nam szkodzi.

Nauczyciel z Armenii okazał się młodym, trzydziestoletnim mężczyzną o niezwykle przenikliwym spojrzeniu (spodziewałam się kogoś w trochę starszym wieku). Sprawiał wrażenie niedostępnego, ale wykład okazał się ciekawy. Zainteresowałam się antropozofią, do której często się odwoływał, i już po tygodniu miałam w swojej bibliotece wszystkie wydane w Polsce książki Rudolfa Steinera.

Po kilku miesiącach teorii przeszliśmy do praktyki. Ćwiczenia polegały na pracy z centrami energetycznymi człowieka – czakrami. Pomyślałam, że może uda mi się elementy tej wiedzy wykorzystać w mojej pracy, i tak się stało. Ćwiczenia wzmocniły wrażliwość moich rąk, poprawiły też moją intuicję, co dla położnej jest bezcenne.

Idąc za ciosem, ukończyłam też kurs radiestezji i wtedy moja do tej pory cierpliwa mama wreszcie wyraziła swoją opinię na ten temat: – Po co ci to? Będiesz chodzić po sadach i szukać wody? Masz już zawód. – Tylko się uśmiechałam.

Zdarzyło mi się po latach odkurzyć zdobytą na zajęciach wiedzę – zrobiłam wahadełko z obrączki na nitce, by sprawdzić cieką wodną. Pamiętam, że nie

lubiłam pracować w jednej z sal porodowych. Przy odbywających się tam porodach było moim zdaniem więcej powikłań. Zauważyłam, że sporo moich koleżanek położnych też unika tego pokoju. I rzeczywiście duży ciek wodny przebiegał dokładnie w miejscu, gdzie stało łóżko porodowe. Łóżko przestawiłyśmy i pracowało się dużo lepiej, no, może było trochę mniej miejsca.

Mama z czasem przywykła do mojego widoku z różdżką radiestezyjną, trudniej było jej przyzwyczać się do moich ćwiczeń uwrażliwiających na kolory. Na lodówkę naklejałam po kolei kolorowe, dość duże kartki (raz czerwoną, raz zieloną, niebieską, żółtą, czasami pomarańczową), po czym siedziałam przez dwadzieścia minut, tępo w nie patrząc. Za każdym razem słyszałam to samo:

– Do Boga się módl, nie do kartek!

– A skąd wiesz, że się nie modlę? Bóg jest wszędzie
– odpowiadałam.

Przekomarzała się ze mną, wiem, że w pełni akceptowała moje nowe pomysły. Kiedy byłam mała, ciągle mi powtarzała: „Bądź sobą”. Nie rozumiałam. Niby kim innym miałabym być? Z czasem pojęłam, że życie jest zbyt krótkie, by udawać kogoś, kim się nie jest, i zadowalać innych.

Na wszelki wypadek nie powiedziałam mamie o pani astrolog, która przyjmowała raz w tygodniu obok sali,

gdzie odbywały się zajęcia z bioenergoterapii. Korciło mnie już od dawna, żeby pójść i zapytać, pod jaką gwiazdą się urodziłam i jakie życie jest mi pisane. Ogólnie panująca opinia, że nie powinno się wiedzieć takich rzeczy i tylko Bóg wie wszystko, nie przekonywała mnie – ciekawość zwyciężyła. Pomyślałam, że astrologia jest taką samą nauką, jak wszystkie inne, i umówiłam się na spotkanie.

Astrolog, szacowna starsza pani, siedziała za biurkiem w kłębach papierosowego dymu. Zrobiłam już krok do tyłu, kiedy miłym głosem zaprosiła mnie do środka. Gdy dym się trochę przerzedził, zauważyłam, że musiała być w młodości piękną kobietą.

– Proszę usiąść, zrobię kilka wyliczeń z numerologii.

Zajęło jej to kilka minut, po czym powoli podniosła głowę i spojrzała na mnie znad okularów tak, że aż przeszedł mnie dreszcz.

– Co pani robi w życiu? – zapytała.

– A o co konkretnie pani chodzi, o zawód? Jestem położną – odpowiedziałam.

Zdjęła okulary, oparła się o krzesło i zapaliła kolejnego papierosa. Nic nie mówiła przez dobre kilka chwil, patrząc to na mnie, to na swoje zapiski. Nie miałam odwagi o nic pytać. W końcu przemówiła:

– Jest pani czwórką z trzynastki. Trzynastka to liczba misyjna.

Zabrzmiało to poważnie, czekałam, aż powie coś

więcej. Tymczasem całe spotkanie upłynęło nam na rozmowie o porodach i sytuacji kobiet rodzących w różnych krajach. O moim życiu osobistym nic mi nie powiedziała, napomknęła tylko, że za dwa lata zmienię pracę, co zresztą okazało się prawdą. Nie wiadomo, kiedy minęła godzina, następny klient zapukał do drzwi, musiałyśmy kończyć.

– Ma pani piękny zawód. Miałyśmy za mało czasu, proszę do mnie zadzwonić, chciałabym koniecznie jeszcze z panią porozmawiać – powiedziała, odprowadzając mnie do drzwi.

Zadzwoniłam po jedenastu latach. Przeważnie nie zwlekam aż tak długo z oddzwanianiem.

*

W połowie lat dziewięćdziesiątych miałam też do czynienia z medytacją transcendentną, pierwszy i ostatni raz. Po co w ogóle poszłam na te warsztaty! Zapewne źle trafiłam. Każdemu przydzielono osobistego opiekuna. Wizja, która do mnie „przyszła” w trakcie medytacji, dość mnie przeraziła. Poprosiłam opiekującą się mną młodą dziewczynę o jej interpretację. Wzruszyła tylko ramionami i stwierdziła, że nie potrafi mi pomóc.

– Medytacja to nie sesja u psychologa – powiedziała, zapalając śmierdzące kadzidło. Następnie, dukając, przeczytała coś z kartki w dziwnym języku. Czułam się

nieswojo, słysząc słowa, które brzmiały jak zaklęcie, a ja nie wiedziałam, o co w nim chodzi. Prawdę mówiąc, nie weszłam wtedy w żadną medytację, przesiedziałam dwadzieścia minut, planując niedzielny obiad. Na zakończenie dostałam dwusylabową mantrę przeznaczoną tylko dla mnie. Jak się potem dowiedziałam, wszyscy otrzymali tę samą.

Postanowiłam więc zapisać się na jogę. Poszłam na pierwsze zajęcia wyposażona we wszystko co potrzeba i... okazało się, że pomyliłam godziny. Nie dając za wygraną, zapisałam się jeszcze raz, ale rozwiązano moją grupę. Uznałam, że to aż nazbyt wyraźny sygnał: nie dla mnie, nie teraz. Po dwudziestu latach stwierdziłam, że do trzech razy sztuka. Tym razem joga przyszła do mnie – razem z przyjaciółkami ćwiczę ją u siebie, w mojej Szkole Narodzin (świetnie pomaga mi na kręgosłup).

*

Było tyle ciekawych światów do poznania, zwłaszcza tych, których nie da się zmierzyć, zważyć ani dotknąć. Niestety nie można było wszystkiego nauczyć się z książek. Kursy czy warsztaty odbywały się o stałych godzinach w określone dni tygodnia – większość była poza moim zasięgiem, mój czas zależał od dyżurów i porodów. Zdałam sobie sprawę, że moje życie jest ciągłym czekaniem na wezwanie, niczego nie mogłam

zaplanować (z trudem udawało mi się raz w roku wyjechać na krótkie wakacje). Już kilkakrotnie zdarzyło mi się nie zasiąść do wigilijnego stołu z rodziną, musiałam pracować. Tak wybrałam...

PRZED KOMINKIEM

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, wyglądało na to, że tym razem spędzę je z bliskimi. W Ewie-2 zaplanowałam sobie w Wigilię wolny dzień, a porodu w domu, z umówioną wcześniej pacjentką, spodziewałam się lada chwila.

Diana pierwsze dziecko urodziła w nowojorskim szpitalu przez cesarskie cięcie. Dobrze pamiętała długie godziny spędzone w sali porodowej. Rodziła otoczona monitorami, znieczulona zewnątrzoponowo już przy pierwszych skurczach tak dużą dawką leków, że nic nie czuła od pasa w dół. Założono jej cewnik do pęcherza, bo przecież nie mogła wstawać do toalety. Kroplówka z oksytocyną miała spowodować silniejsze skurcze i postęp porodu. Stały monitoring tętna uznano za niezbędny, gdyż dziecko było już zmęczone długimi godzinami akcji porodowej. Na twarzy miała maskę z tlenem prawie przez cały czas. Poród, który trwał czterdzieści godzin, zakończył się cięciem.

Nie chciała, by w ten sposób przyszło na świat jej drugie dziecko – postanowiła urodzić w domu. Już na początku ciąży zaczęła intensywnie szukać położnej, która podjęłaby się tego zadania. W Nowym Jorku pod

koniec lat osiemdziesiątych nie było to łatwe, ale jakimś cudem się udało.

Gdy Diana z mężem i dziećmi wybierała się do Polski, była w trzeciej ciąży (Paul dostał tu kontrakt na trzy lata). Nie wyobrażała sobie porodu w szpitalu w obcym kraju; trzeba było znowu szukać położnej. O mnie dowiedziała się na *baby shower* (przyjęciu z deszczem prezentów dla mamy i dziecka, które ma się narodzić) zorganizowanym przez jej przyjaciółki. Jedna z nich, mieszkająca przez jakiś czas w Warszawie, rodziła ze mną w domu. Diana nie mogła uwierzyć, że sprawy układają się tak gładko; czuła, że to przeznaczenie. Spotkałyśmy się zaraz po jej przyjeździe do Warszawy. Do terminu były jeszcze dwa miesiące, zgodziłam się pomóc.

Poprzednie dzieci przyszły na świat o czasie. Tym razem od planowanego terminu porodu minęło już osiem dni, a Diana nie rodziła. Musiałam ją jakoś przygotować na to, że nie możemy zwlekać dłużej niż jedenaście dni po terminie. Nic nie zapowiadało rychłego rozwiązania, wyglądało na to, że czeka ją szpital. Ponieważ właśnie ukończyłam kurs radiestezji, postanowiłam wykorzystać swoją wiedzę w praktyce. Nie miałam nic do stracenia.

– Potraktujmy to jak zabawę – powiedziałam.

Dianie spodobał się pomysł z wahadełkiem.

– Dziecko urodzi się za trzy dni, tuż przed Wigilią – powiedziałam pewnym głosem.

Poród rozpoczął się w przewidzianym dniu; zastanawiałam się, czy to przypadek czy siła mojej sugestii (tak bardzo chciałam spędzić święta z rodziną). Gdy Diana poczuła pierwsze skurcze, siedmioletni Alan i pięcioletnia Vicky razem z tatą zaczęli piec tort dla maleństwa (podobno w Stanach jest taki zwyczaj). Około 21.00 dzieci usnęły. Diana wreszcie poczuła, że teraz jest jej czas, zdecydowała, że urodzi w wielkim salonie na parterze. Przed palącym się kominkiem rozłożyliśmy na podłodze duży materac. W rogu pokoju stały dwie, jeszcze nieprzybrane jodły, cały pokój pachniał lasem. Wszędzie paliły się różnokolorowe świece, naliczyłam ich siedemdziesiąt. Najwięcej stało na pianinie, na którym Paul raz po raz grał jakąś kolędę. Świąteczny nastrój udzielił się nam wszystkim.

*

Zbliżał się kulminacyjny etap porodu. Diana nie chciała już słuchać pianina, wolała mieć męża przy sobie. Leżała na materacu, Paul położył się obok niej, objął ją i nucił do ucha kolędę, a ona wtulała się w jego ramię. Wyraźnie ją to rozluźniało. Od jakiegoś już czasu była naga, miała ciało rozpalone bólem i ogniem z kominka. Była prawie północ, Diana wydała z siebie przeciągły krzyk grubym, niskim głosem, który bardziej pasował do zawodnika sumo chwilę przed starciem na

macie niż do kobiety.

Dzieci się obudziły. Zaspany chłopiec zatrzymał się w progu, dziewczynka, w długiej do ziemi, białej koronkowej koszulce, wbiegła do salonu i jak dobry duszek usiadła na materacu. Zaczęła głaskać mamę po głowie. Nie bała się matki leżącej na boku z zadartą do góry nogą. Ucieszyłam się, gdy dziecko urodziło się już w trzecim skurczu partym, po chwili Diana tuliła do piersi córeczkę. Myślę, że przyssany do futryny Alan bardziej wystraszył się krzyku wydawanego przez mamę niż samej sceny porodu. Wyciągnęła do niego rękę, podszedł powoli i przytulił się nieśmiało. Vicky była zajęta obcałowywaniem siostrzyczki. W oczekiwaniu na łożysko zrobiłam tej niezwyklej rodzinie dużo pięknych zdjęć.

Diana oddała mężowi maleństwo, a ten poszedł ze starszymi dziećmi zanurzyć małą dziewczynkę w wanience z ciepłą wodą. Tak samo zrobili po poprzednim porodzie; ma to na celu zlikwidowanie stresu u noworodka, trzyma się go w kąpieli około dziesięciu minut, aż jego ciało zacznie się rozluźniać (taka kąpiel to przypomnienie ciepłych wód płodowych).

Moje przewidywania prawie się sprawdziły, Diana urodziła tylko dwie minuty po północy, już w Wigilię. Na wizytę po porodzie musiałam przyjść w Boże Narodzenie, nie było rady, taka praca. Zostałam szczęśliwą rodzinę. Vicky biegała z małą apteczką

w rączce i w czepku na głowie, takim, jakie kiedyś miały położne. Paul zrobił go z kartonu i namalował czerwoną farbą poprzeczny pasek.

– Od wczoraj nie da go sobie zdjąć, spała w nim, twierdzi, że jest położną – opowiadał ze śmiechem.

Mała położna asystowała przy oględzinach siostrzyczki oraz jej mamy.

*

W trakcie porodu niepotrzebnie martwiłam się, jak krzyk Diany może wpłynąć na dzieci. Czy nie będą bały się o matkę? Może fizjologia porodu będzie dla nich traumą z dzieciństwa? Ale to był chyba tylko mój problem. Zrozumiałam, że Diana i Paul wychowują swoje dzieci bez tabu dotyczącego nagości. Przygotowują je do dorosłości, pozwalając uczestniczyć dzień po dniu w wydarzeniach w rodzinie, w tych ważnych i tych codziennych. Wydawało mi się to tak naturalne, ale równocześnie tak różne od naszego życia. Nasza rodzima mentalność jest inna. Zawsze stawiamy granice, tak na wszelki wypadek: „To nie dla dzieci, nie mogą patrzeć, nie mogą się wtrącać, to sprawy dorosłych”. A od kogo mają uczyć się życia, jak nie od swoich rodziców?

A TY DOKĄD?

Każdy poród jest inny, ale każdy jest wyjątkowy. Idealem byłoby, gdyby zawsze odbywał się wśród bliskich, życzliwych osób, a okres ciąży był dla kobiety radosnym czasem oczekiwania, przy wsparciu partnera i rodziny. Bywa różnie. Pomimo naszych starań życie pisze swoje scenariusze. Smutno mi, kiedy jestem tego świadkiem.

*

Lilka miała dwadzieścia lat i urodę bezbronnego, wiecznie zdziwionego dziecka. Chłopak, którego kochała, odszedł zaraz po tym, jak dowiedział się, że zostanie ojcem (wykrzyczał Lilce, że przed nim całe życie, po co mu teraz to dziecko, czuł się przez nią oszukany). Mieszkała z rodzicami w wili na Żoliborzu, ojciec był znanym naukowcem, matka nigdy nie pracowała, zajmowała się domem i córką jedynaczką. Rodzice nawet nie chcieli słyszeć o ciąży, w ich rodzinach nie zdarzały się „takie przypadki”. Zmuszali ją do aborcji, ale dziewczyna nie dała się przekonać. Była

nadal zakochana, chciała urodzić to dziecko, nazywała je „pamiątką miłości”.

Codziennie awantury urządzone przez rodziców były nie do wytrzymania. Znerwicowana matka musiała brać leki, nie radziła sobie ze stresem. Ojciec nie mógł pogodzić się z całą sytuacją, znowu zaczął pić; przerwał dwuletnią abstynencję. W czasie kolejnej kłótni pierwszy raz w życiu uderzył córkę, bił ją po twarzy bez opamiętania. Lilka natychmiast wyprowadziła się, przygarnęli ją przyjaciele. Zawiodła się na rodzicach, zerwała z nimi kontakt. Przyjaciele zorganizowali w swoim gronie i wśród znajomych „łańcuch pomocy”. Dotarli też do nas, opowiedzieli o wszystkim i poprosili o wsparcie.

Lilka nie płaciła za szkołę rodzenia, tak zdecydowaliśmy z doktorem Eugeniuszem. Na ostatnich zajęciach dostała od grupy w prezencie całą wyprawkę dla dziecka, a od Ewy-2 darmowy poród. Rozmawiając z nią, zrozumiałam, że Lilka naprawdę wierzy w to, że dziecko jest w stanie uleczyć bolesną ranę w sercu i wypełnić pustkę po utraczonej miłości. Tęskniła też za rodzicami, teraz nie będzie już sama. Brzmiało to trochę egoistycznie. Dziecko jest niewątpliwie radością dla swoich rodziców, ale na pewno nie jest plastrem na ich własne problemy.

*

Do porodu przywieźli ją przyjaciele, chcieli być z nią do końca, ale Lilka wyjaśniła im, że woli być sama. Po pięciu godzinach miała już pełne rozwarcie. Mijały minuty, godzina, kolejna godzina, tętno dziecka było prawidłowe, jednak maluch się nie rodził.

Bacznie ją obserwowałam i odniosłam wrażenie, że robi wszystko, żeby zatrzymać parcie. Nie było to takie trudne, gdyż główka wciąż znajdowała się wysoko. Wyglądało to tak, jakby pomyliły jej się kierunki i chciała dziecko wciągnąć z powrotem.

Przyszła mi do głowy myśl, że powstrzymuje ją lęk – ona po prostu boi się urodzić. Obawia się tego, co się stanie z nią i dzieckiem. Dopóki maluch jest w macicy, nie trzeba go karmić, pielęgnować, przewijać, nie ma kłopotu.

Powiedziałam jej o tym. Zaczęła głośno szlochać, na jej twarzy wyczytałam ogromny ból, nie fizyczny – psychiczny. Przytuliłam ją, cieszyłam się, że udało mi się przekłuć balon pełen lęku. Wychlipała emocje chyba z całego życia (zawsze musiała być „grzeczną dziewczynką tatusia”). Gdy zaczęła się uspokajać, jej całe ciało ogarnął skurcz, za chwilę następny.

– Czuję główkę! – krzyknęła.

Po chwili urodził się Mateusz. Przytuliła go. Spojrzał na nią, zapłakał, ale zaraz się uspokoił. Leżał okryty pieluszkami na jej brzuchu, a ona tuliła go tak, jakby chciała ochronić synka przed niebezpieczeństwem. Jak

zwykle czekałam z przecięciem pępowiny. Po minucie sprawdziłam, czy jeszcze tętni. Tętniła, ale nie w takim rytmie, jak powinna. Natychmiast odrzuciłam pieluchy, dziecko było blade i wiotkie. Spojrzałam na doktora, który stał przy nas.

– A ty, Mateusz, dokąd się wybierasz? Wracaj! – zwrócił się do malucha.

Podaliśmy mu aparat ambu. Wtłoczył kilka razy powietrze w płuca dziecka, co malca rozzłościło, zaczął przeraźliwie płakać. Odetchnęłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że zdrowy noworodek może tak po prostu odejść. Naprawdę miałam poczucie, że zawróciliśmy go z drogi. Jeżeli w chwili śmierci widzimy całe nasze życie, to może przy narodzinach jest tak samo? Dusza ma prawo wyboru, czy możemy w to ingerować? Nie wiem.

Mateusz jednak został z nami.

SPECJALISTKA

Stała dyspozycyjność coraz bardziej dawała mi się we znaki. Przez pięć lat pracy w Ewie-2 ucierpiała moja rodzina. Od kilku lat pracowałam bez ustalonego limitu godzin, miałam tego dość. Dzieci nie widywały mnie czasami po kilka dni. Wracałam późno, kiedy już spały, wychodziłam, zanim się obudziły, pracowałam też nocami. Mąż i mama dzielnie mnie wspierali. Pracowały ze mną trzy młode położne, ale niewielka to była pomoc. Pacjenci ostatecznie i tak żądali, żebym to ja przyjmowała poród, a nie, jak to określali, jakaś praktykantka. Cóż, płacili i stawiali wymagania.

Zastanawiałam się, czy nie wrócić na etat do szpitala. W tym czasie szpitale zaczęły konkurować ze sobą. Każdy z nich chciał stworzyć dla kobiet coraz lepsze warunki do porodu i mieć lepszy zespół. Podjęłam decyzję o rezygnacji z pracy w Ewie-2, która po kilku miesiącach i tak zakończyła swoją działalność. Z perspektywy czasu widzę, że była niewątpliwie katalizatorem dużych zmian w polskim położnictwie, a ja zmieniałam się razem z nią.

*

Mój kolejny życiowy przystanek to trzy miesiące pracy w jednym z liczących się wówczas szpitali. Wydeptywałam ścieżki do ordynatora oddziału, który wydawał mi się rozsądny i opiniotwórczy. Miałam do zaproponowania ciekawy pomysł otwarcia domu narodzin przy szpitalu, który stanowiłby dodatkową ofertę dla kobiet. Fizjologiczne porody, które miałyby się tam odbywać (po specjalnej kwalifikacji), nie obciążałyby szpitala dużymi kosztami. Dobrze dobrany zespół położnych prezentowałby nowatorskie podejście do porodów. Mówiłam, że wiem, jak to zrobić – opowiadałam o moich doświadczeniach z poprzedniej pracy. Długo o tym rozmawialiśmy, ordynator nie był do końca przekonany co do pomysłu, ale wydawało się, że temat go zainteresował. Stwierdził, że gdyby taką inicjatywę poparł minister zdrowia, ten projekt miałby jakąś szansę.

Dzięki Markowi Kotańskiemu, którego wnuczkę kilka miesięcy wcześniej przyjmowałam na świat, miałam możliwość rozmowy z ministrem już kilka dni później. Wysłuchano z dużą uwagą mojej propozycji. Nieśmiało wspomniałam, że przyjmuję porody w domu, gdyż szpital nie stwarza kobiecie intymnych warunków, jakich by oczekiwała. Minister i jego doradca, jak się okazało, obaj urodzeni w warunkach domowych, przyjęli

projekt życzliwie, byli gotowi go poprzeć.

Pełna entuzjazmu wróciłam pod drzwi ordynatora. Był zaskoczony szybkością mojego działania, jednakże ostatecznie stwierdził, że jest to inicjatywa za wczesna w Polsce i odesłał mnie z kwitkiem. Dzisiaj, gdy o tym myślę, żałuję, że mi nie zaufał – trzeba było aż siedemnastu lat, by idea przyszpitalnych domów narodzin powróciła; tym razem bez mojego udziału. I wciąż jest to wyzwanie, którego teraz podjął się warszawski szpital na Żelaznej.

*

Do dziś na samo wspomnienie trzymiesięcznego epizodu swojej „walki o nowe” dostaję gęsiej skórki. Przyjęto mnie do pracy jako specjalistkę od porodów w pozycjach alternatywnych, po czym skierowano na trzy miesiące okresu próbnego na oddziale położniczym. Miała to być dla mnie lekcja pokory. Sęk w tym, że pokorę miałam, a na oddział poszłam chętnie, co było dla kierownictwa dużym zaskoczeniem. Zwłaszcza dla ówczesnej przełożonej położnych (jej nazwiska wolałabym nie pamiętać). Jak się później okazało, poddawano mnie różnym próbom.

Zajmowałam się położnicami po porodach kleszczowych, próżniociągu i oczywiście po cesarskich cięciach (kobiety po porodach fizjologicznych

przebywały na innym oddziale). Pod moją opieką znajdowały się trzydzieści cztery pacjentki, nietrudno się domyślić, że wymagały szczególnego zajmowania się nimi. Najtrudniejsze były noce, gdyż miałam obowiązek wykopać wszystkie noworodki. Zaczynałam o 19.00, zaraz po przyjściu na dyżur, często kończyłam przed północą, wykonując w międzyczasie mnóstwo innych czynności. Czasami pomagała mi zawsze uśmiechnięta Grażyna, położna z oddziału obserwacyjnego. Nie było tam wiele pracy, zostawiała więc koleżankę i przychodziła do mnie. Niedługo szła na emeryturę, wiedziałam, że kocha tę pracę.

– Dzieciaku, co oni ci robią – mawiała, zakasując rękawy. – Idź, zrób zlecenia i co tam jeszcze musisz, a ja zacznę kapać bąble. – Ratowała mi życie.

Rano, od 5.00, pobierałam noworodkom krew z żyły, co również było moim obowiązkiem. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Ukłucie malca w piętę i namalowanie krwią kilku kółek na bibułce testu na fenyloketonurię to naprawdę nie to samo. Wydawało mi się, że we wszystkich szpitalach krew pobiera się na oddziale noworodków, a nie na położnictwie, tu jednak panowały inne zwyczaje. Pokazano mi raz, jak się to robi – musiało wystarczyć. Wkłuwanie grubej igły w malutkie ciało, prawie niewidoczne naczynia, zdecydowanie nie było dla mnie, ale jakoś dawałam radę. Na początku płakałam razem z dziećmi, potem trochę stwardniałam.

*

Szpital pretendował do tytułu przyjaznego matce i dziecku, stawiał na naturalne karmienie, a tymczasem w korytarzu stały butelki, sztuczne mleko i czajnik do zagotowania wody; matki miały swobodę decyzji co do sposobu karmienia (zwłaszcza w nocy). W dniach, gdy przychodziły komisje kontrolujące realizację projektu, rekwizyty znikwały. Gdy zaczynałam nocny dyżur, chowałam mleko i butelki w dyżurce. Byłam na każde wezwanie i przystawiałam maluchy do piersi matek. Nastawiłam się na edukację; tłumaczyłam, zachęcałam do naturalnego karmienia. Na próżno. Niejednokrotnie kończyło się awanturami.

– Nie mam mleka! Chce mi pani dziecko zagłodzić? Pani jest bez serca! – wykrzykiwały matki z pretensjami.

Wydawało mi się, że trafiłam do innego świata, bezmlecznego. Po miesiącu poddałam się, przestałam chować butelki i mleko. Wiedziałam, że sama nie wygram tej bitwy.

Poszłam do przełożonej i zapytałam, dlaczego na swoim dyżurze pracuję sama; pozostałe dyżury były obsadzone po dwie położne. Odpowiedź była krótka:

– Taka świetna położna i sobie nie radzi? Rozczarowuje mnie pani.

Spotkało mnie tam wiele przykrości, o dziwo od

położnych. Natomiast ze strony lekarzy przeciwnie, miałam duże wsparcie.

– Pani się tu marnuje. Nie możemy się doczekać, kiedy zobaczymy panią w akcji przy porodzie – słyszałam nie raz i nie dwa.

Jedna z moich dawnych nauczycielek, opiekująca się uczennicami położnictwa, powiedziała, wymownie wskazując palcem na dłoń:

– Kaktus mi tu prędzej wyrośnie, niż ty w tym szpitalu trafisz na porodówkę.

I rzeczywiście miała rację, nie trafiłam (przez ostatni miesiąc miałam nawet zakaz wstępu do sali porodowej). Wolałabym nie wspominać źle przełożonej, ale gdy pewnego razu chciałam wesprzeć swoją kursantkę ze szkoły rodzenia, która właśnie trafiła do porodu, i poszłam do szefowej uprzedzić ją, że zostanę parę godzin po dyżurze – zabroniła mi. Krzyczała, stojąc nade mną i wymachując rękami, że to nie moja prywatna klinika. Sądziła, że wezmę za to pieniądze.

– Każdy ocenia według siebie – odparłam i wyszłam. Tylko tyle mogłam zrobić.

W tym czasie byłam zmuszona znaleźć miejsce dla sześciu par, które nie zdążyły ze mną urodzić w Ewie-2. Ciężarne powiedziały zgodnie, że pójdą za mną wszędzie. Usłyszałam o prywatnej klinice położniczej na Zaciszu. Jej szef, anestezjolog, był zdziwiony moją propozycją wynajęcia sali porodowej: zawsze zwracali

się do niego lekarze, nigdy położne. Przeważnie odbywały się tam cesarskie cięcia, porody naturalne raczej sporadycznie. Chodził po gabinecie, drapał się w głowę, ale ostatecznie zgodził się na ten, jak to nazwał, eksperyment. Ustaliliśmy cenę, która nie wydała mi się wygórowana. Współpraca układała się w miarę dobrze. Kameralne, przytulne miejsce z zapleczem sali operacyjnej spełniło oczekiwania rodzących.

*

Wreszcie mijały trzy miesiące mocowania się z oddziałem położniczym. Zapewne szykowano dla mnie nową próbę, która tym razem powinna mnie złamać. Nie miałam już ochoty walczyć z wiatrakami. Dość napatrzyłam się na tutejsze układy, znudziły mnie gierki koleżanek. Jednak czas tam spędzony nie poszedł na marne. Nauczyłam się cennej życiowej umiejętności, która przydaje mi się do dziś: wchodzę, robię swoje najlepiej, jak umiem, i wychodzę; nie interesują mnie rozgrywki, nie mieszam się w przepychanki „na racje”.

Nadszedł czas, żeby coś zmienić, mój pociąg wyraźnie przyporządkowywano innemu rozkładowi. Nie wiedziałam, gdzie mnie tym razem rzuci los, ale miałam głęboką wiarę, że będzie to dla mnie najlepsze rozwiązanie. „Jak Opatrzność zamyka jedne drzwi, otwiera drugie” – babcia Józefa zawsze to powtarzała.

Mówiła też: „Zawsze sprawdzaj, czy twoja drabina stoi przy właściwym drzewie”.

I tego zamierzałam się trzymać.

ŻELAZNA

Do współpracy zaprosił mnie dyrektor wyróżniającego się wówczas warszawskiego szpitala położniczego na Żelaznej. Po raz kolejny znalazłam się na stabilnych torach. Dostałam pracę na cały etat przy porodach rodzinnych. Otaczali mnie mili, uprzejmi i pomocni ludzie. Dzięki środowisku, do którego trafiłam, szybko udało mi się złapać równowagę. Znowu zaufałam. Wtedy zrozumiałam, jak ważny jest zgrany zespół, który łączy wspólna idea, bez zazdrości i rywalizacji. Mogłam wreszcie rozwinąć skrzydła i pracować tak, jak umiałam. Miałam za sobą prawie dziesięć lat pracy i spore doświadczenie, nie tylko zawodowe. Umiejętność pracy przy porodach rodzinnych była wówczas bardzo wysoko ceniona przez przełożonych.

Pamiętam pierwszy dyżur w nowym miejscu.

– Przyjmowała już pani kiedyś porody? – zagadnął mnie szef dyżuru.

Miał bardzo poważną minę. Próbowałam wyłapać jakiś drobny szczegół, gest czy choćby napięcie mięśnia twarzy, które zdradzałoby, że żartuje. Nic takiego nie udało mi się dostrzec.

– Tak, widziałam, jak to się robi, raz czy dwa – odpowiedziałam z podobną powagą.

– To dobrze, niech pani koniecznie słucha tętna dziecka, proszę o tym pamiętać. W razie potrzeby proszę mnie wołać.

Skinęłam głową na znak, że rozumiem. Nieraz miałam okazję przekonać się o jego specyficznym poczuciu humoru.

– Ooo, już pani urodziła – powiedział, uchylając drzwi jednej z sal porodowych. – Chłopiec?

– Nie – padła odpowiedź.

– A kto? – zapytał zdziwiony.

*

W tamtych czasach wielkim krokiem ku nowemu były indywidualne, coraz ładniejsze i przytulniejsze pokoje porodowe. Niektóre szpitale dysponowały jednym, góra dwoma takimi pokojami. Żelazna wysunęła się na prowadzenie i udostępniła rodzącym sześć kolorowych sal porodowych, które otrzymały swoje nazwy od owoców (pomarańczowa, morelowa, wiśniowa, orzechowa, agrestowa i śliwkowa). Wszystkie, poza śliwkową (tylko z prysznicem), wyposażone były w wanny. Rodzące chętnie korzystały z przeciwbólowego i rozkurczowego dobrodziejstwa ciepłej wody w trakcie

rozwierania się szyjki macicy.

W szkołach rodzenia, w których prowadziłam zajęcia, zaczęłam poruszać temat porodów w wodzie. Wiedzę miałam głównie teoretyczną, ale rzetelną. Już od kilku lat z uwagą śledziłam światowe doniesienia na ten temat. Profesor Michel Odent, francuski położnik, twierdził, że taki poród jest bezpieczny pod warunkiem odpowiedniej kwalifikacji: zdrowa kobieta, zdrowa ciąża, zdrowe dziecko. Nie chodzi o to, by wszystkie dzieci rodziły się do wody, takie porody to margines działalności położniczej, ale to zawsze jakaś przyjemna alternatywa.

Na początku przyjąłm kilka „wodnych” porodów tak naprawdę przez przypadek. Najczęściej na sam moment urodzenia dziecka kobiety nie chciały wyjść z wanny, a ja nie nalegałam. Gdy nie było przeciwwskazań do takiego porodu (najważniejsze z nich to nieprawidłowe tętno dziecka), wołałam, by pozostały w wodzie, chociażby ze względu na ryzyko poślizgnięcia się przy pospiesznym wychodzeniu z wanny.

W tamtym okresie popularność zdobywały szkoły rodzenia, ponieważ w niektórych warszawskich szpitalach pozwalano uczestniczyć przy porodzie osobie towarzyszącej – ale tylko po przedłożeniu zaświadczenia o ukończeniu kursu. Niektórzy obchodzili zakaz i zaświadczenie załatwiali; jak to zwykle bywa, zawsze znalazł się ktoś, kto je wystawił. Wszystkie szkoły

rodzenia były płatne, największe wzięcie miały te, które oferowały najmniejszą liczbę spotkań za najniższą cenę. Oczywiście ich poziom był dla uczestników najczęściej bez znaczenia. Dopiero z czasem okazywało się, że wiedza, choćby o mechanizmach porodu czy psychologicznej stronie reakcji kobiet i mężczyzn na ciążę i poród, jest dość istotna i może byłoby warto trochę jej przyswoić.

*

Zupełną nowością było znieczulenie zewnątrzoponowe – redukujące ból porodowy. Miałam już wiedzę i doświadczenie, jak prowadzić poród naturalny, a tu kolejne zadanie. Pojawiła się zupełnie nowa grupa kobiet gotowych odbyć poród „na skrót”. Nie mnie to oceniać, tym bardziej że w okna zaglądał nam XXI wiek. Do tej pory ze znieczuleniem spotkałam się jedynie w filmie, który oglądałam na Discovery; nie ukrywam, że to, co zobaczyłam, raczej mnie przeraziło. Pokazany poród trwał prawie dwadzieścia cztery godziny. Rodząca była znieczulona od pasa w dół (taką dawką jak do cięcia cesarskiego), nic nie czuła. Założono jej cewnik do pęcherza moczowego (nie wstawiała do toalety). Włączono oksytocynę (przy tak dużej dawce znieczulenia osłabia się, wręcz ustaje, czynność skurczowa macicy). Gdy jakimś cudem udało się

osiągnąć pełne rozwarcie, poród musiał zakończyć się użyciem kleszczy, gdyż rodząca, nie mając żadnych odczuć z miednicy, nie była w stanie przeć. I to ma być postęp w położnictwie? Niedobrze, pomyślałam (w wielu szpitalach na świecie do dziś tak wygląda poród w znieczuleniu).

W szpitalu na Żelaznej anestezjologdy podeszli do tematu profesjonalnie i nowatorsko jak na tamte czasy: dobrali taką dawkę znieczulenia, by kobieta mogła wstać z łóżka, usiąść na piłce, przeć w kucki przy drabinkach (wykorzystując pozycje wertykalne). Odczuwała skurcze, ale ból był zredukowany. Rozluźnienie mięśni w obrębie miednicy powodowało, że ułożenie dziecka mogło ulec zmianie. Położnej pozostało tak poprowadzić poród, by dotrzeć wraz z rodzącą do szczęśliwego finału. Nazywanie tego, co robi położna przy porodzie, „sztuką położniczą” jest w takim przypadku jak najbardziej na miejscu.

Szpital na Żelaznej jako pierwszy w Warszawie zdecydował się na wprowadzenie indywidualnej opieki okołoporodowej, którą sprawowała wybrana przez rodzącą położna. Kobiety zaczęły coraz częściej z tej opieki korzystać. Często zgłaszały się do mnie ciężarne z traumą po poprzednich porodach; jak tłumaczyły, nie chciały po raz kolejny dostać się w przypadkowe ręce. Inne twierdziły, że prywatna położna to fanaberia, bo przecież na dyżurze też są położne, które znają się na

sprawie, skoro tu pracują. Jeszcze inne wychodziły z założenia, że jeśli można mieć swojego fryzjera, kosmetyczkę czy ginekologa, to dlaczego nie położną?

*

Znowu moje życie nabrało tempa, oprócz etatu miałam coraz więcej prywatnych porodów w szpitalu, w miarę możliwości przyjmowałam też porody w domu.

Przez osiem kolejnych lat pracowałam bardzo intensywnie. Od 2007 roku nie mam już etatu dyżurowego. Po wielu nieprzespanych latach czerpię przyjemność z pracy kontraktowej w szpitalu, przyjmując prywatne porody umówione wcześniej. Cztery lata temu podjęłam trudną dla mnie decyzję – nie przyjmuję już porodów w domu. Pozostaję tylko do dyspozycji kobiet, które rodzą w szpitalu, i par, które pod moim okiem przygotowują się do porodu w mojej Szkole Narodzin.

*

Od kiedy w 1996 roku związałam się z Żelazną, wykonano tu nieskończenie wiele prac budowlanych, które miały podnieść komfort porodu i pobytu pacjentek. Wiązało się to dla wszystkich z mnóstwem utrudnień, ale

było warto. Na przestrzeni siedemnastu lat na moich oczach szpital rozkwitał. W 2012 roku otwarto nową, dobudowaną część szpitala położniczego, a w starym zabytkowym budynku zakończyły się wszystkie remonty. Myślę, że dzisiaj Centrum Medyczne Żelazna jest szpitalem XXI wieku. To jedno z niewielu miejsc w Polsce, gdzie położne od wielu lat pracują w ścisłej współpracy z zespołem lekarskim – na zasadzie partnerstwa, wspierając się i ucząc od siebie nawzajem. W nowym, przestronnym bloku porodowym pokoje zachowały swoje owocowe nazwy.

Pracuję w tym szpitalu do dziś, ale po drodze czekało mnie jeszcze wiele życiowych i zawodowych niespodzianek – niezwykle, czasami trudnych do zrozumienia. Nie wszystko da się wyjaśnić prawami medycyny konwencjonalnej, ta tworzy ograniczenia. Zastanawiałam się, czy wyjątkowe doświadczenia porodowe stawiane na mojej drodze są po to, bym mogła raz po raz spoglądać coraz dalej.

JAK DELFIN

Zgłosili się do mnie Natalia i Eryk – spodziewali się drugiego dziecka, termin porodu był niebawem. Niedawno wrócili z Odessy, gdzie kilka lat wcześniej urodzili swoje pierwsze dziecko w domu, do wody, bez pomocy położnej.

Byłam zafascynowana takimi porodami, ale ich wyczyn wydał mi się ekstremalny.

Słyszałam o szkole rodzenia, do której chodzili Natalia z Erykiem przed pierwszym porodem. Przygotowywała uczestników do porodu w Morzu Czarnym bez asysty położnej czy lekarza. Wydawało mi się to dość egzotyczne. Taka szkoła przetrwania, pomyślałam. Zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu w otwartych grupach. Należało uczęszczać do szkoły przynajmniej przez trzy miesiące przed porodem. Byli też tacy, którzy przyswajali wiedzę przez pół roku.

Część par zamiast w morzu rodziła jednak we własnej łazience, dosypując do wody w wannie sól morską.

Zastanowiło mnie, skąd w takim razie ich decyzja, by tym razem odbyć poród w szpitalu.

– Wolimy, jak natura jest po naszej stronie, to oczywiste, ale niestety różnie bywa – tłumaczył Eryk. Dwa poronienia po pierwszym porodzie zachwiały ich wiarę w to, że ze wszystkim zawsze sobie poradzą sami.

*

Poprosiłam, by opowiedzieli mi o pierwszym porodzie. Natalia mówiła niewiele, prawie wcale. Zrozumiałam, że przeżyli coś pomiędzy wspinaczką na ośmiotysięcznik a pierwszym skokiem ze spadochronem. Eryk zapewniał, że było to dla nich niezwykle przeżycie, ale za nic w świecie nie podjęliby drugi raz takiej samej decyzji. Pamięta takie momenty w trakcie porodu, kiedy zdał sobie sprawę, że życie Natalii i dziecka zależy od niego; wprawdzie był rzetelnie przygotowany, ale medykiem przecież nie jest. „Zaraz stanie się coś złego” – tłukło mu się w głowie. Starał się odpędzać złe myśli. Podobno kobiety mają kryzys podczas porodu, a co z mężczyznami? Czuł, że się załamał, jak baba. Może zaczęły mu się wydzielać żeńskie hormony? Przez dziewięć miesięcy towarzyszył żonie w ciąży, dzień po dniu, z największą empatią; to pewnie dlatego. Natalia nie mogła zobaczyć, że się zwyczajnie boi.

Rodząca klęczała w wannie, jej ciało z coraz większą częstotliwością rozrywał ból. Eryk wolał stać za nią, nie wytrzymałby jej wzroku: oczami błagała o pomoc.

Dotykał czule jej ciała, polewał plecy ciepłą wodą. Gdy ich spojrzenia wreszcie się spotkały, w oczach mieli jedynie lęk i bezradność. Źrenice Natalii były nienaturalnie wielkie.

– Chcesz pojechać do szpitala? – zapytał Eryk.

Pokręciła przecząco głową. W tym momencie jej twarz poczerwieniała, Natalia przestała na chwilę oddychać.

– Wychodzi! – krzyknęła, odzyskując oddech.

Wyrzut adrenaliny sprawił, że niepewność zniknęła w jednej chwili. Oboje byli gotowi, by walczyć dalej. Eryk dolał więcej wody do wanny. Rozejrzał się po łazience, wszystko jest: nożyczki, plastikowe zaciski do pępowiny, pieluszki, ręczniki.

Wanna była mała.

– Wychodzę, tu nie dam rady.

– Przecież chcieliśmy rodzić w wodzie. – Eryk był zdezorientowany.

Gdy skurcz odpuścił, Natalia postawiła jedną nogę na zimnych kafelkach; stała okrakiem, trzymając się oburącz krawędzi wanny. Jeszcze dwa oddechy, jeszcze jeden. Wtem kolejny skurcz zacisnął się na jej ciele. Cofnęła nogę z zimnej posadzki. Uklękła w wannie. Jej twarz spurpurowiała od parcia. Gdy skurcz łagodniał, uderzała z całej siły raz jednym, raz drugim kolaniem o dno wanny, rozchlapując wkoło wodę, jakby chciała pomóc dziecku zejść niżej. Maszerowała, na kolanach,

niczym żołnierz do zwycięstwa. Eryk wycierał podłogę, dolewał świeżej wody. Próbował podkładać ręczniki pod zbolące kolana. Wyciągała je ze złością i rzucała na podłogę. Nie poznawał żony, była jak w transie.

Synek urodził się niebawem, wypłynął do wody jak mały delfin. Nie było żadnej krwi; Eryk wiedział, że to oznacza brak obrażeń tkanek, odetchnął z ulgą. Natalia usiadła w wannie, tuląc do piersi maleństwo. Okryli je pieluszkami. Śmiali się i płakali ze szczęścia. Niestety oboje zapomnieli, że to nie koniec porodu – jeszcze łożysko. Eryk wyjął korek z wanny; nie był pewien, czy postąpił właściwie, ale wydedukował, że ciepła woda nie wpływa dobrze na obkurczanie się macicy. Był zły na siebie, że poniosły go emocje, to on powinien o wszystkim pamiętać, trochę się pogubił. Resztki wody w wannie zabarwiły się na czerwono. Okrył żonę ręcznikiem. Minęła prawie godzina od porodu, krwi było dużo, za dużo. Synek zaczął płakać. Tłumaczono im na zajęciach, że dzieci w ten sposób żegnają się z odklejonym łożyskiem – pępowina nie dostarcza już tlenu, więc biorą głęboki „wdech żalu”.

Rzeczywiście pępowina jakby trochę bardziej się wysunęła. Eryk dotknął jej: była zimna i pusta, bez krwi. Założył zaciski, jeden obok drugiego, i zdecydowanym ruchem przeciął pępowinę między nimi.

– Może poprzyj – powiedział. – Musisz urodzić łożysko.

Wiedział, że nie wolno mu pociągać za pępowinę. Ale Natalia była zajęta karmieniem dziecka, jej uwaga skupiła się tylko na nim.

– Nie czuję potrzeby, jak mam przeć? – powiedziała.

Przypomniał sobie ze szkoły, co należy zrobić w takim wypadku: wywołać kaszel czy wręcz odruch wymiotny. Niewiele myśląc, wziął do ręki mokre włosy Natalii, splecione w niedbały warkocz.

– Pamiętasz? Otwórz usta. – Wepchnął jej pukiel włosów do gardła.

– Zwariowałaś?! Zaraz zwymiotuję! – wykrztusiła Natalia z obrzydzeniem.

Zaczęła kaszleć i w tym momencie, z kolejną falą krwi, wypłynęło łożysko.

Teraz najważniejsze: musiał sprawdzić, czy jest całe. Brakowało niewielkiego kawałka na środku, nawet laik mógł z łatwością to spostrzec. Eryk próbował je składać i przyklepywać, tak jak go uczono. Niestety puste miejsce krwawiło. Mały kawałek zapewne został w macicy przyklejony do jej ścianki. Wiedział, że natychmiast trzeba zrobić zabieg; od razu zadzwonił na pogotowie. Wziął od żony dziecko, zawinął je w nowe pieluszki i okrył ciepłym kocykiem. Natalia siedziała w wannie, szcękając zębami; miała dreszcze, nie wiadomo, czy ze strachu czy z zimna. Struga krwi, płynąca z jej macicy w kierunku odpływu, nie wysychała.

– Może to nie jest konieczne? – Patrzyła błagalnie na męża, który wziął do ręki końcówkę prysznicza.

– Wiesz, że muszę – odpowiedział przeprasząc.

Zaczął polewać jej całe ciało lodowatą wodą. To kolejna „sztuczka” z zajęć w szkole rodzenia: zanim przyjedzie pomoc, trzeba obniżyć temperaturę ciała kobiety, co spowoduje zaciśnięcie naczyń i zapobiegnie krwotokowi.

Patrzyłam na Eryka: oj, kochany, chyba robisz sobie ze mnie żarty, pomyślałam. Był jednak wyjątkowo poważny. Rzeczywiście w tym działaniu może i było sporo racji. Miejsce w macicy, gdzie przylegało łożysko, wygląda po porodzie jak wielka rana. Niektóre naczynia są dość duże. Gdy zostanie kawałek tkanki łożyskowej, macica nie potrafi się obkurczyć. Krwawienie może być bardzo obfite. W takim przypadku interwencja lekarza jest niezbędna. Należy przy pomocy specjalnej łyżki znaleźć w macicy ten kawałek i wydobyć go na zewnątrz. Co prawda po urodzeniu dziecka ilość oksytocyny jest wielokrotnie większa niż w trakcie całego porodu, ale ten zabezpieczający mechanizm (służący obkurczaniu macicy) dobrze działa tylko wtedy, gdy mamy do czynienia z fizjologią. Czy polewanie zimną wodą aż tak zapobiega krwotokowi? No, nie wiem.

Byłam bardzo ciekawa końca tej opowieści. Żał mi było Natalii, która po tak pięknym, niezaburzonym medycyną porodzie musiała pozostać z dzieckiem

w szpitalu. Okazało się jednak, że dyżurujący lekarz był przyjacielem Eryka i w dwie godziny po zabiegu wypuścił rodzinę do domu.

Teraz już rozumiałam, dlaczego po takich przeżyciach Eryk tym razem chciałby w pełni uczestniczyć w powitaniu swego dziecka. Liczył, że zdejmę z niego odpowiedzialność, której doświadczył przy pierwszym porodzie. Chciał przeżyć z Natalią poród tak zwyczajnie, jak mąż i ojciec.

*

Jedno z lifestyle'owych czasopism kobiecych zwróciło się do mnie z prośbą o wywiad, który miałyby być ilustrowany zdjęciami z porodu. W pierwszej chwili odmówiłam, niewiele osób zgadza się na publikację zdjęć z tak intymnej chwili. Przypomniałam sobie jednak o Mikołaju, fotografie, któremu przyjmowałam dwoje dzieci. Co prawda zajmował się głównie fotografią czarno-białą (jak to się ma do ekskluzywnego kolorowego pisma, nie wiedziałam), ale co tam. Postawiłam warunek: tylko z nim mogę współpracować przy takim projekcie. Pomyślałam nieśmiało o mojej „wodnej parze”; nie sądziłam, że się zgodzą. Zaskoczyli mnie: śmiejąc się, przypomnieli mi, że przecież przeżyli już bardziej ekstremalne sytuacje porodowe. Z Mikołajem polubili się od razu, postanowili, że zdjęcia

będą ich małym wkładem w propagowanie nowej idei porodowej w Polsce. Poza tym nie ukrywali, że liczą na piękne pamiątkowe fotografie.

W trakcie porodu, gdy Eryk kilkakrotnie wychodził na papierosa, Natalia prosiła Mikołaja, nie mnie, o drobne przysługi. Odkładał wtedy aparat, podawał jej wodę do picia, gumkę do włosów, otwierał okno; ja zajmowałam się medycznymi sprawami.

Drugi synek, tak jak tego pragnęli, urodził się do wody. Miał okręconą wokół szyi pępowinę, jednak nie na tyle ciasno, żebym musiała ją przecinać zaraz po urodzeniu się główki. Musiałam ją jednak zsunąć, co pod wodą wyglądało dość spektakularnie. Wyjmując chłopczyka z wody i oddając go mamie, poczułam na sobie spojrzenie Eryka. Miał nieruchomą twarz.

– Boże, z tym bym sobie nie poradził – wyszeptał.

Mikołajowi udało się zrobić świetne zdjęcia. Myślę, że również dzięki szczególnej, rodzinnej atmosferze w sali porodowej.

ZNAWCA

Bywało i tak, że rodząca lub jej partner irytowali mnie bardziej lub mniej świadomie. Nie oceniam w trakcie porodu ich sposobu myślenia, poziomu wiedzy czy wyznawanych poglądów. Stwierdzam, że myślą inaczej niż ja, to wszystko, mają do tego prawo. Staram się wtedy odsunąć od siebie jakąkolwiek negatywną emocję.

*

Z Anną i Igorem pierwsze dziecko rodziliśmy w domu. Oboje wiedzieli, czego chcą, starałam się im po prostu nie przeszkadzać. Moja praca polegała na cichej obecności w trakcie bolesnych skurczów i pomocy małemu chłopcu przy wydostaniu się na świat.

Ania, osoba o miłym usposobieniu i pogodnej twarzy, z ogromną życzliwością traktowała innych. Igor, raczej egocentryk, trochę gburowaty, wolał zachowywać dystans. Świetnie mówił po polsku, tylko czasami zdradzał go rosyjski akcent. Interesował się teozofią, miał sporą znajomość medycyny naturalnej, był znawcą

wiedzy ezoterycznej. Dużo wiedział o energiach, telepatii i nadchodzącej Erze Wodnika. W trakcie porodu mówił niewiele, od czasu do czasu zaczynał jakiś ciekawy wątek, potem nagle urywał, jakby gryzł się w język. Odnosiłam wrażenie, że uważa mnie za osobę niegodną tej wiedzy, ale już po chwili wychwalał moją, jak to określał, „rokującą wrażliwość na stany subtelne”. Ciągłe podkreślał, że to szczęście dla jego rodziny, że jego syna jako pierwsza będzie dotykać osoba o tak dobrej i czystej energii. Jakiś dziwny człowiek, pomyślałam. Prowokował mnie, ale ja, jak zwykle w takich przypadkach, nie wdawałam się w dyskusje, postanowiłam skupić się na Annie i porodzie.

*

Po trzech latach spotkaliśmy się znowu. Anna zaprosiła mnie do domu na rozmowę. I chyba tylko Anna. Od pierwszych chwil pobytu w ich mieszkaniu wiedziałam, że coś jest nie tak; pomyślałam, że kwaśna atmosfera może być efektem ich kłótni. Igor chodził z kąta w kąt jak lew zamknięty w klatce, zamiast przywitania usłyszałam tylko krótkie burknięcie. W powietrzu wisiała burza.

Anna powiedziała mi o ciąży bliźniaczej (czekali na dwie dziewczynki), i o tym, że boi się rodzić w domu. No jasne, jest zły na nią, pomyślałam. Musiałam

przyznać jej rację, ciężę bliźniaczą trudno zaliczyć do fizjologii, zwłaszcza jeżeli chodzi o poród domowy. Tłumaczyłam, że nie mogę się go podjąć, to zbyt niebezpieczne. W szpitalu nieraz widziałam sytuacje, gdy po porodzie drogami natury pierwszego bliźniaka drugi rodził się przez cesarskie cięcie, ponieważ w ostatniej chwili przyjmował inne położenie w macicy, na przykład poprzeczne, lub niebezpiecznie zwalniało mu się tętno.

Moja praca nauczyła mnie uważności i słuchania tego, co mówią kobiety, a mówią wszystko. Lęk moim zdaniem jest najgorszy, może zaburzyć wydzielanie hormonów i zatrzymać poród na każdym etapie. Matka przenosi lęk na dziecko, które instynktownie boi się wyjść na zewnątrz. Jeżeli lęk nie jest przez kobietę nazwany, próbuję zrozumieć, czego tak naprawdę dotyczy, wtedy dużo łatwiej mi się pracuje.

W przypadku Anny sprawa była prosta: obie dziewczynki były ułożone główkami do dołu, czyli prawidłowo, więc ich mama nie bała się porodu – bała się rodzić w domu. Wsparłam ją, przekonując, że wybierając szpital, podejmuje dobrą decyzję. Igor po godzinie wyglądał już na oswojonego lwa, widocznie moje argumenty do niego przemówiły. Nawet na chwilę z nami usiadł i dopełniliśmy wszystkich formalności. Po paru tygodniach nastąpiło rozwiązanie w dziwnych i niezręcznych okolicznościach.

Nocny dyżur w sali porodowej, zespół miał jak zwykle sporo pracy. Po północy lekarz izby przyjęć poinformował nas, że do porodu przyjął wieloródkę w ciąży bliźniaczej po odpłynięciu płynu owodniowego. Gdyby nie wystąpiła samoistna czynność skurczowa, należało rano wywołać skurcze oksytocyną. Wychodząc z pokoju rodzącej, którą mi powierzono, dosłownie zderzyłam się z Anną i Igorem, nie skojarzyłam, że to właśnie o nich mówił lekarz. Igor, widząc mnie, nawet się nie zatrzymał, idąc za położną, która wskazała mu pokój. Anna rzuciła mi się na szyję, zaczęła płakać. Byłam zaskoczona i zdziwiona. Po chwili udało mi się wyplątać z jej uścisku.

Igor spojrział na mnie dzikim wzrokiem.

– Nie chcę, żebyś dotykała moich córek! – powiedział.

Te słowa mnie zraniły, było mi przykro, nic z tego nie rozumiałam. Całe szczęście nie miałam czasu, by myśleć o tym zdarzeniu, gdyż musiałam zająć się swoją rodzącą. Gdy sprawiłam się ze wszystkim (przyjęcie dziecka, szycie krocza) i skupiłam się na uzupełnianiu dokumentacji porodowej, do konsoli położnych podeszła Anna.

– Jeannette, czy możesz poświęcić mi pięć minut? Chciałabym porozmawiać. – Była bliska płaczu.

Skinęłam głową. Wskazałam jej krzesło, usiadłam obok.

– Nie zostawiaj mnie samej – prosiła, przytulając moje ręce do swojej twarzy.

Zapytałam, co się stało. Ostatnie tygodnie były dla niej gehenną. Igor, od kiedy ostatnio mnie zobaczył, zamknął się w sobie. Kazał jej zadzwonić do mnie następnego dnia i odwołać wspólny poród. Powiedziała, że tego nie zrobi, ponieważ przy mnie czuje się bezpiecznie. Liczyła na to, że do porodu przejdzie mu zły nastrój. Jednak w nocy, gdy odpłynęły wody płodowe, zabronił jej kontaktować się ze mną, był nieugięty.

– Jeannette, proszę. – Anna ścisnęła moje dłonie.

Nie wiedziałam, jak mam postąpić. Zostałabym dla niej, ale ten nabzdyczony mąż! Bóg jeden wie, co roіło mu się w głowie! Nie mam prawa dotykać jego dzieci?! Ja?! Moja duma była urażona, jednak w głębi duszy chciałam pomóc Annie i małym bąblom przejść przez poród. Powiedziałam, że rano kończę dyżur i wtedy podejmę decyzję. Postawiłam jednak warunek: Igor ma mnie osobiście o to poprosić. Podejrzywałam, że tego nie zrobi, więc uznałam, że mam już za sobą tę przykrą sytuację. Niestety myliłam się. Po zakończonym dyżurze weszłam do ich sali, żeby się pożegnać i życzyć szczęśliwego porodu. Anna siedziała na łóżku, Igor był pogrążony w lekturze. Wstał na mój widok i nie patrząc mi w oczy, wyrzucił z siebie na wydechu prośbę, żebym z nimi została. Spojrzałam na Annę.

– Ten dzień jest dla mnie ważny, więc zagroziłam, że się z nim rozwiode – powiedziała z poważną miną.

Nie byłam zadowolona z takiego obrotu sprawy, ale cóż, słowo się rzekło. Postanowiłam więc nie zwracać na Igora uwagi i skupić się na Annie.

Po włączeniu kroplówki z oksytocyną Anna zareagowała dość szybko regularną czynnością skurczową macicy. Uśmiechała się do mnie z wdzięcznością po każdym skurczu, była radosna i rozluźniona, nic więc dziwnego, że przed południem obie dziewczynki były już na świecie. Jednakże musiałam spełnić jeden warunek ojca: każdą z dziewczynek podawałam najpierw jemu, a on po chwili kładł ją na brzuchu mamy. Dziwak i tyle, pomyślałam, ale niech mu będzie.

*

Gdy następnego dnia przyszedłam odwiedzić szczęśliwą mamę, skorzystałam z okazji, że byłyśmy same, i dopytałam, o co tak naprawdę chodziło z tym podawaniem dzieci. Cóż, Igor, gdy zobaczył mnie po trzech latach, stwierdził, że moja silna energia może zaburzyć pola energetyczne jego córek. Biorąc je na ręce, próbował zrównoważyć to zaburzenie swoją energią, niewątpliwie fantastyczną. Kiwałam tylko głową, próbując zachować poważną minę.

– Bałam się, że będziesz na nas zła, Igor zrobił ci taką przykrość... – powiedziała Anna.

– Aniu, moja praca jest wystarczająco trudna, nie wyobrażam sobie, że miałabym na dodatek pracować w gniewie.

– Chciałam cię za niego przeprosić.

– Ty za niego? Naprawdę nie musisz. Mam nadzieję, że kiedyś zrozumie, ile szkód może wyrządzić zbyt wybujałe ego.

Patrzyłam z podziwem na tę ciepłą, delikatną kobietę, byłam dla niej pełna uznania, że jak lwica walczyła o dobry, spokojny poród dla swoich córek.

*

Każde rodzące się dziecko, niczym radar, odbiera fale emocji, te złe także, i musi sobie jakoś z nimi poradzić. Byłoby idealnie, gdyby docierały do niego tylko radość i miłość – te energie są niezbędne do prawidłowego rozwoju.

Myślę, że niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że dziecko, będąc w macicy, doskonale odbiera nastroje dwóch najważniejszych dla niego osób na świecie, rodziców. To, że jest związane z mamą, jest dla wszystkich oczywiste; z ojcem nawiązuje porozumienie sobie właściwymi sposobami, których w dorosłym życiu

nawet nie próbujemy sobie uświadomić. Zostaje tylko
mgliste, odległe wspomnienie...

DO SZPIKU KOŚCI

Złożoność ludzkiej psychiki powoduje, że nie da się przyłożyć do rodzących kobiet tego samego szablonu. Od dawna się tym kierowałam. Dlatego tak dużo rozmawiałam z moimi pacjentkami, starałam się je poznać, cieszyło mnie, że się przede mną otwierają. Gromadziłam informacje, by móc zapewnić rodzącej jak najbardziej bezpieczny poród. Byłam zadowolona, że szło mi to z coraz większą wprawą. A tu proszę – kolejna niezła lekcja. Powinnam była pójść za podszeptem intuicji i wypytać, jak rodziły kobiety w rodzinie – by zapisy, które niesie ciało przez pokolenia, nie musiały ujawnić się podczas porodu z tak wielką siłą. Ech, byłam na siebie zła.

*

Majka z Rafałem wynajmowali przytulne mieszkanie w starej kamienicy. Rafał pracował na menedżerskim stanowisku w dużej firmie i dość dobrze zarabiał. Chcieli w przyszłości mieć własny dom, byli pewni, że tam urodzi się ich pierwsze dziecko, niestety zabrakło czasu

i pieniędzy. Mały Gustaw na przekór rodzicom zamieszkał ciało Mai, zanim ta skończyła swoje studia podyplomowe i podjęła pracę.

Byli miłą parą, miałam z nimi dobry kontakt, chociaż patrząc na Maję, intuicyjnie czułam w niej jakąś tajemnicę. Rozum podpowiadał: nie szukaj dziury w całym, zdrowa, młoda kobieta, zdeterminowana, żeby rodzić w domu – będzie dobrze. Ostatecznie zgodziłam się przywitać ich synka w mieszkaniu na Mokotowie. Pamiętam, że już podczas mojej pierwszej wizyty u nich Majka podkreślała, że tylko zagrożenie życia dziecka może skłonić ją, żeby pojechać do szpitala. Zapewniała, że wytrzyma każdy ból, ale uprzedzała, że może krzyczeć, dlatego woli rodzić w domu. Żartowałam wtedy z grubych murów starej kamienicy, żałując, że nie mamy takich w salach porodowych. Nawet nie przypuszczałam, że już niedługo bardzo się przydadzą.

*

Poród był trudny dla nas wszystkich. Rozwarcie szyjki macicy postępowało bardzo powoli, a dziecko obniżało się jeszcze wolniej. Na szczęście miało silne serce, które biło jak należy. Już od pierwszych skurczów ciało Majki przypominało pole bitwy. Rzeczywiście źle znosiła ból. Krzyczała i na głos kłóciła się z siłą, która śmie rozrywać jej tkanki. Na próżno przekonywałam, że

traci energię i powinna rozłożyć siły. Poród się przedłużał, musiałam ją zbadać, żeby sprawdzić, jak ułożone jest dziecko. Maja chwyciła mnie za rękę i próbowała przerwać badanie, nie pozwalała mi nawet sprawdzić rozwarcia szyjki. Gdy Rafał chciał mi pomóc, przytrzymując jej dłonie, rzucała się, gryzła i pluła. To był najdłuższy z moich domowych porodów, zmagania trwały całą noc i prawie cały dzień.

W ostatniej godzinie porodu jej oczy uciekały, widać było tylko wywrócone białka. Odnosiłam wrażenie, jakby rodząca znajdowała się w innym stanie świadomości. Jej ciało rozrywał już tylko niemy krzyk. Serce mi pękało. Jednak wraz z zachodzącym jesiennym słońcem, które zajrzało do okien, przysłała nadzieja.

Późnym popołudniem przywitał się z nami Gustaw. Był duży, zdrowy i rumiany. Bałam się zwiększonego krwawienia z macicy po tak długim wysiłku, więc pomimo zmęczenia wyszłam od nich dopiero przed północą. Nie miałam już siły dyskutować o łóżysku, które jak zwykle po porodzie w domu zabieram ze sobą, by przekazać je do utylizacji. Prosimi, żeby je zostawić, przysięgli, że nie wyrzucą go do śmietnika (już widziałam oczami wyobraźni, jak koty ciągną je za pępownię po całym osiedlu). Pomyślałam, że może chcą je zakopać w ogrodzie i posadzić na nim drzewo w intencji dziecka – jak czynią to niekiedy Japończycy zgodnie ze swoimi starymi zwyczajami, ale już o to nie

dopytywałam.

Gdy wróciłam następnego dnia, wydawało mi się, że nasączone krzykiem grube mury cały czas odgrywają scenariusz ostatniej nocy.

Gustaw okazał się wyrozumiałym malcem. Po długiej mlecznej kolacji przez osiem godzin odsypiał poród. Dał tym samym matce szansę na zebranie sił. Majka wyglądała całkiem dobrze, spodziewałam się raczej widoku wyczerpanej do granic kobiety. Tylko cienie pod oczami i kołyska ze śpiącym dzieckiem przypominały o wczorajszym tak trudnym dniu. Wysłałam Rafała do sklepu po kurczaka i warzywa. Położnica potrzebowała „zupy mocy” (rosół gotuje się na małym ogniu przez sześć godzin, najlepszy jest kurczak z naturalnych hodowli; należy pić sam wywar). Już nasze przodkinie wiedziały, że to bezcenny posiłek dla położnicy.

*

Majka unikała mojego wzroku. Ujęłam jej twarz w swoje dłonie i poczekałam, aż spojrzy mi w oczy.

– A teraz powiedz mi prawdę – zażądałam. Z jej wielkich, brązowych oczu płynęły łzy.

Opowiedziała mi o mężczyźnie, który ją zgwałcił, gdy miała piętnaście lat. Jeszcze nie miesiączkowała.

Nikomu o tym nie powiedziała, nawet mamie. Jej mama była w ciąży bliźniaczej, dwujajowej. Serce jej siostry przestało bić w siódmym miesiącu, jeszcze przez sześć tygodni matka żyła z trupem w macicy (z trupem – tak się wyraziła). Poród trwał długo. Maja urodziła się w ciężkiej zamartwicy, oceniono ją na dwa punkty w skali Apgar. Spędziła miesiąc w szpitalu. Mama nie miała żadnego wsparcia, mąż zostawił ją na początku ciąży, nie był przygotowany na dwoje dzieci, stchórzył. Matka nigdy nie przestała obwiniać go o to, że jego odejście przyczyniło się do obumarcia drugiego dziecka. Wiele razy w życiu Majka żałowała, że to siostra umarła, a nie ona. Babci nie znała, zmarła, rodząc jej mamę, lekarze nie zdołali zatamować krwotoku. Dałam znak ręką, że wystarczy, nie mogłam dłużej tego słuchać. Tą historią można by obdzielić kilka kobiet.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej? – zapytałam.

Maja milczała. Chciała jednak coś jeszcze mi wyjaśnić: szamanka poznana przez nią w Nowej Zelandii powiedziała jej o zapisach, które niesie ciało z pokolenia na pokolenie, w rodzinie Mai „zła historia” ciągnęła się od wieków. Mogła ją przerwać, ale musiała się z nią zmierzyć. Zawsze wszystkiego się bała, dziecko też ją przerażało, a poza tym nie chciała kusić losu. Jednak kiedy zaszła w ciążę, postanowiła zawalczyć o to nowe życie. Przeczuwała, że dawne „demony” dadzą o sobie

znać, i tak się stało.

Wrócił Rafał z zakupami i oboje poszli do kuchni. Podeszłam do okna, patrzyłam to na wolno przepływające chmury, to na śpiące w kołysce dziecko. Gdybym to wszystko wiedziała...

Dołączyłam do nich w kuchni, pomyślałam, że obiorę warzywa na rosół. Zastałam Majkę jedzącą smażone mięso, nie ukrywałam swojego zdziwienia. Pochwyciła mój wzrok utkwiony w talerz.

– To łożysko – powiedziała, przełykając kęs.

Zrobiło mi się słodko w ustach. Musiałam mieć głupią minę, pierwszy raz spotkałam się z tym, żeby kobieta zjadła po porodzie swoje łożysko. Zwierzęta tak robią, ale na Boga, nie ludzie!

– Jeannette, wszystko ci już powiedziałam...

– Jak widać nie wszystko – weszłam Majce w słowo.

Opowiedziała o klinice w Wielkiej Brytanii, która prowadzi badania na temat depresji poporodowej. Przechowują tam podpisane i zamrożone łożyska przez kilka miesięcy. Jeżeli kobieta zdradza objawy obniżonego nastroju lub wręcz depresji, zjedzenie łożyska traktowane jest jako terapia. To bomba hormonalna, która ustawia organizm położnicy na właściwych torach.

– Już wiesz, że kobiety w mojej rodzinie nie miały łatwo, bałam się związanego z huśtawką hormonalną rozchwiania psychiki po porodzie. Tyle się ostatnio

o tym słyszy, nie mogłam ryzykować. Stanę na nogi, zobaczysz – przekonywała mnie.

Ona może tak, ale ja ledwie stałam na swoich.

W ciągu kolejnych lat pracy jeszcze kilkakrotnie spotkałam się z różnymi daniami z łożyska, już mnie to tak nie szokowało. Jednak wegetarianka z dwudziestoletnim stażem zjadająca swoje łożysko zrobiła na mnie wrażenie.

*

Z Majką i Rafałem po kilku latach spotkaliśmy się znowu przy okazji kolejnej ciąży. Zobaczyłam zupełnie inną kobietę, otwartą, pogodną. I tym razem mnie zaskoczyła – nie rozważała porodu w domu. Już nie bała się szpitala, obcych ludzi. Chciała właśnie tam, po swojemu, jeszcze raz zmierzyć się ze sobą. Rodziłyśmy tylko cztery godziny. Wraz ze wschodzącym słońcem wszyscy w szpitalu usłyszeli przeszywający do szpiku kości, przeciągły krzyk wydobywający się z kobiecego gardła. Majka wydała na świat córkę. Trudne życiowe doświadczenia linii kobiecego rodu, mam nadzieję, nie będą już jej udziałem.

I... CISZA

To jedna z tych sytuacji, które nie powinny się zdarzyć. Nigdy, nikomu. A jednak.

*

Minęła północ. Przyjęłam właśnie rodzącą, gdy w szpitalnej izbie przyjęć pojawiła się kolejna para: kobieta wsparta na dużo starszym mężczyźnie. Zanim zamknęły się drzwi, pomieszczenie wypełnił przejmujący chłód, a z silnym podmuchem wiatru dostało się do środka sporo śniegu. Że też dzieci chcą się rodzić w taką pogodę, pomyślałam. Postanowiłam chwilę poczekać; zapewne koleżanki pełniące dyżur w izbie przyjęć poproszą mnie o zbadanie tej kobiety. Rzeczywiście: ciąża donoszona, skurcze od czterech godzin. Zaprosiłam rodzącą do gabinetu. Była dziwnie blada. Mając w ręku jej kartę ciąży, rzuciłam okiem na ostatnią morfologię, była bez zarzutu. Zapytałam, czy nie chorowała ostatnio – zaprzeczyła. Opowiedziała mi, że od południa źle się czuje, wymiotowała, miała biegunkę, myślała, że to zatrucie pokarmowe. Gdy

zaczęły się skurcze macicy, zrozumiała, że to mogły być objawy zbliżającego się porodu.

– Trzy centymetry rozwarcia, zostaje pani z nami – powiedziałam zachęcająco.

Za dobre wieści kobieta odwdzięczyła mi się uśmiechem.

– Męża nie będzie przy porodzie. On nie chce, a ja go nie przymuszam – próbowała się usprawiedliwić.

– Oczywiście, to państwa decyzja. Jeszcze tylko posłucham tętna dziecka i koleżanka dopełni formalności przyjęcia.

Przyłożyłam głowicę detektora tętna i... cisza. Chociaż jak zawsze zaczęłam od badania brzucha chwytami Leopolda (ustalenie położenia dziecka przez powłoki brzuszne), zrobiłam to raz jeszcze. Obmacałam dokładnie brzuch rodzącej; bicie serca lepiej słycać po stronie pleców dziecka, ale tam było głucho. Przykładałam głowicę w różnych miejscach brzucha, bez rezultatu. Tylko nie to, pomyślałam. Już parę razy znalazłam się w takiej sytuacji. To jest ten moment, kiedy już wiesz, ale sobie nie dowierzasz. Zmieniłam aparat na inny, co było bez znaczenia. Dziecko nie żyło. Bez stwierdzenia braku pracy serca na monitorze USG nie przekażę kobiecie takiej informacji.

– Nie mogę wysłuchać tętna dziecka, poproszę lekarza.

– Co to znaczy? Ale z dzieckiem jest wszystko

dobrze? – zapytała rodząca.

Pogłaskałam ją po brzuchu.

– Zaraz to sprawdzimy.

Nie chciałam wychodzić z gabinetu i zostawiać jej samej. Podeszłam do biurka, wzięłam do ręki słuchawkę telefonu i zadzwoniłam do Małgosi, lekarki, która pełniła dyżur w izbie przyjęć. Aparat USG był w tym samym pomieszczeniu; ułożyłam pacjentkę na leżance i zawołałam czekającego w korytarzu męża. To sytuacja, która dla całego zespołu jest trudna do przejścia. Lekarka, przykładając głowicę ultrasonografu do raz po raz napęczniałego skurczem brzucha młodej kobiety, skupiała wzrok na ekranie monitora. Opowiedziała mi potem, jak bardzo przykre dla niej są takie chwile i jak bardzo czuje się wtedy bezradna. Obie patrzyłyśmy na nieruchome serce z dziecinną nadzieją, że to nieprawda. Może się poruszy, może znowu zacznie bić, może zepsuł się monitor. Spojrzałyśmy na siebie, bez słów zapadła decyzja: trzeba powiedzieć rodzicom. Na twarzy obojga malował się lęk, ale i nadzieja, że zaraz to całe zamieszanie okaże się pomyłką. Chwile oczekiwania na diagnozę były dla nich niezwykle trudne.

– Nie widzę na USG czynności serca dziecka. Państwa dziecko nie żyje. Bardzo współczuję.

Oboje trwali w bezruchu. Tylko dłonie, za które się trzymali, zacisnęły się bardziej, aż widać było nienaturalnie białe kostki pokryte niedokrwioną skórą.

Twarze, z pozoru nieruchome, powoli ściągał grymas rozpaczy. Mężczyzna opuścił głowę, zrozumiał.

– Co się stało? – Kobieta wydała z siebie głos, nie poruszając prawie ustami. Tylko jej gałki oczne były nie do zatrzymania: przesuwały się, jakby poza kontrolą, raz w lewo, raz w prawo, to w moim kierunku, to na wydającą ostateczny wyrok lekarkę.

– Czy tu jest jakiś starszy lekarz, bardziej doświadczony? Czy ktoś może powiedzieć mi, co tu się dzieje? – Do kobiety nie docierała tragiczna informacja.

Mąż podniósł głowę.

– Elu, spójrz na mnie – mówił cicho. – Nasza córeczka umarła, rozumiesz? Urodzi się i nie będzie płakać, będzie martwa.

– Skąd wiesz?

– Pani doktor przed chwilą to powiedziała.

– Nie kłam, tak nie powiedziała.

– Powiedziała, że nie żyje, to to samo. – Głaskał ją po twarzy.

– Nic się nie da już zrobić? I co teraz? Dlaczego tak? Byłabym dobrą mamą, naprawdę! – Wsparła się na ramieniu męża i uderzyła w głośny szloch bez łez.

Czekałyśmy cierpliwie, aż wyjdzie z pierwszego szoku, by móc zadać kilka niezbędnych pytań i zaprowadzić ich do sali porodowej.

Minęło kilkanaście minut.

– Od kiedy nie czuje pani ruchów dziecka? – padło

pytanie.

– A jakie to ma w tej chwili znaczenie?! Proszę jej zrobić cesarskie cięcie, proszę się nad nią nie znęcać! – niemal krzyknął mąż rodzącej.

Trudno mu było zrozumieć, że cięcie jest w tym wypadku operacją, do której nie ma wskazań.

– Przynajmniej nie będzie bez sensu bolało – przekonywał już nieco łagodniejszym tonem.

– Proponujemy znieczulenie zewnątrzoponowe, to pomoże – powiedziała Małgosia.

*

W szpitalu, w którym odbywa się rocznie najwięcej porodów w Warszawie, nie da się przemyścić rodzącej do sali porodowej i nie spotkać w korytarzu kilku mam z płaczącymi noworodkami. Tym razem też tak było. Doskonale zdawałam sobie sprawę, jak to musi być bolesne dla nich obojga. Dzięki Bogu była noc, w dzień byłoby jeszcze gorzej. W sali porodowej jak zwykle czas przyspieszył, wszystko potoczyło się szybko. Redukcja bólu porodowego dzięki znieczuleniu spowodowała wyciszenie rodzącej na tyle, że mogłam swobodnie porozmawiać z nią o tym, co się będzie działo; już miała na dzisiaj dosyć zaskakujących sytuacji. Poprosiła, żebym zwracała się do niej po imieniu.

Tłumaczyłam, że parcie wygląda tak samo, jak gdyby dziecko żyło. Jest często dla kobiety dużym wysiłkiem fizycznym, teraz też tak będzie. Macica nie rozumie bólu naszych dusz, jest zaprogramowana na konkretną pracę.

– Położę dziewczynkę na twojej piersi, będzie mokra i ciepła. Okryję ją pieluszkami, przetnę pępowinę. Poczekam, aż urodzi się łożysko, będę pracować zachowawczo, mam nadzieję, że nie trzeba będzie zakładać szwów na krocze, choć może się to zdarzyć. Szybko posprzątam i wyjdę, zostawię was samych z dzieckiem. Mąż mnie zawoła, kiedy uznacie, że już mogę je zabrać, to wy decydujecie. Będę wchodzić w międzyczasie, sprawdzać, jak obkurcza się macica i czy krwawienie jest prawidłowe, ale nie będę o nic pytać.

Na początku Ela nawet nie chciała słyszeć, że ma spojrzeć na dziecko. Czuła się przez nie i przez los oszukana. Bała się, że pozostanie z tym obrazem przed oczami i żalem aż do końca życia. Powiedziałam, że rozumiem jej obawy, ale może też żałować, że rozstaną się bez pożegnania. Długo rozmawialiśmy o żałobie, o tym, jaka jest ważna i że pożegnanie to jej niezbędny element. Jest wielu rodziców, którzy stracili dzieci i nigdy nie było im dane należycie wyrazić żalu. Niedokończone sprawy mogą przerodzić się w problemy emocjonalne.

*

Wszystko odbyło się tak, jak o tym wcześniej opowiadałam. Na moment porodu przyszła lekarka, którą Ela i jej mąż znali już z izby przyjęć; postanowiłyśmy nie wprowadzać nowych osób w tak trudnej dla nich chwili. Dziewczynka urodziła się bez widocznych przyczyn swojej decyzji. Ela patrzyła z miłością na męża, który – choć na co dzień zasadniczy (piastował odpowiedzialne stanowisko) – nie był w stanie w takiej chwili ukrywać uczuć ani łez. Jeszcze parę godzin wcześniej nie chciał być przy porodzie, a teraz wspierał ją jak nikt inny w życiu. Widziałam w nim cierpiącego ojca. Gdy wychodziłyśmy bezszelestnie z sali porodowej, oboje płakali pogrążeni w bólu. Przez trzy godziny na zmianę trzymali córeczkę w ramionach, ogrzewając ją ciepłem zbolałych ciał. Ale malutkie ciało stygło, pocałunki nie pomagały. Gdy dostałam informację, że mogę zabrać dziecko, oboje byli spokojni, pogodzeni, lecz zatopieni w bolesnym smutku. Powiedzieli, że zrobili córeczce zdjęcia, nadali jej imię i na zawsze zachowają ją w pamięci.

*

Kończył się dyżur, uściskałam ich oboje, dziękowali.

Prosili mnie o kontakt. Po dwóch latach urodziliśmy razem zdrowego chłopca.

Położnictwo wszystkim kojarzy się z witaniem, rzadko z żegnaniem.

DRUGA SZANSA

Pewnego dnia po przyjściu na dyżur dostałam informację, że pacjentka z oddziału patologii zaczyna rodzić, mam się nią zająć. Sprawa jest trudna: kobieta rodzi po raz pierwszy, jest chora na zapalenie płuc, kaszle, z trudem oddycha i ma czterdzieści stopni gorączki. Cięcie cesarskie pogorszyłoby jej stan, nie mówiąc już o tym, że rana mogłaby źle się goić. Jednym słowem, powinna urodzić drogami natury, przy czym długi poród nie wchodzi w grę. Po czterech godzinach oddałam w ręce neonatologa noworodka z cechami infekcji wewnątrzmacicznej. Byłam z siebie dumna, zebrałam też podziękowania od lekarzy za szybką i sprawną akcję. Kobieta mogła wreszcie dostać inne, silniejsze antybiotyki, które w ciąży były przeciwwskazane. Szybko wracała do zdrowia, po tygodniu karmiła piersią swoje dziecko.

Niestety ten poród miał mieć dla mnie bardzo poważne konsekwencje zdrowotne. Bakteria, którą się zaraziłam od rodzącej, wiele mnie nauczyła. Po dwóch tygodniach zaczęłam źle się czuć, miałam obolałe ciało, kłopoty ze snem. Którejś nocy poczułam ostry, przejmujący ból, umiejscowił się po lewej stronie

brzucha. Nie pomogła ani ciepła kąpiel, ani tabletki no-spy. Wymioty co pół godziny utwierdziły mnie w podejrzeniu, że to może być atak kolki nerkowej (w mojej rodzinie zdarzały się już takie przypadki, to mnie uspokoiło). Byłam sama, domownicy wyjechali na ferie zimowe. Ból wykluczał prowadzenie samochodu. Do dziś zastanawiam się, dlaczego nie wezwałam wtedy karetki pogotowia, ale nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Wyraźnie mój instynkt samozachowawczy nie zadziałał. Zadzwoiłam do koleżanki położnej, która akurat kończyła dyżur w szpitalu. Przyjechała, uratowała mnie kroplówką z lekami przeciwbólowymi i rozkurczowymi.

Ból zelżał, byłam w stanie ruszyć się z domu. Badanie USG wykazało, że w nerce mam kamień, wszystko jasne, to kolka. Wyniki krwi miały być dopiero po kilku dniach. Czułam się jednak coraz gorzej, z trudem oddychałam, rosła mi gorączka. Pojechałam do izby przyjęć do szpitala. Pobrano mi krew, podano kroplówkę i wysłano na konsultację. Urolog, rubaszny starszy pan, zrobił mi USG, popatrzył na badania i oświadczył, że „kamień należy wydłubać”. Umówił się ze mną kilka dni później, jak przejdzie mi kolka, ustalimy termin urografii, bo „bez urografii ciała nie dotyka”. Trochę przerażała mnie perspektywa tych kilku dni, ale ze specjalistą się nie dyskutuje. Stwierdziłam, że jestem hipochondryczną, rozhisteryzowaną, trochę przemęczoną babą, która próbuje skupić uwagę innych

na sobie; muszę wziąć się w garść. Kolejna nieprzespana noc, przestałam spać w ogóle. Babcia zawsze mawiała, że im więcej chory śpi, tym lepiej, sen leczy (ja lubiłam wyobrazać sobie, że we śnie anioły robią przegląd techniczny naszego marnego ciała fizycznego, ale trzeba dać im szansę). Z godziny na godzinę słabłam, nie zwracałam już uwagi na ból. Zdałam sobie sprawę, że od kilku dni nic nie jadłam. Nie czułam głodu, ale jedno wiedziałam: muszę natychmiast postarać się o antybiotyk. Znów podróż do izby przyjęć i znów odmowa przyjęcia do szpitala. Po następnej nieprzespanej nocy podjęłam decyzję: nie dam się kolejny raz odesłać. W izbie przyjęć ta sama procedura: badania, urolog. Tym razem lekarz okazał się mniej przyjemny:

– Mówi pani, że ma bakterie w moczu? W życiu nie widziałem bakterii, a pani widziała? – Po czym stwierdził, że nie może przyjąć mnie do szpitala, bo nie ma miejsca.

*

Na szczęście w kolejnym szpitalu miejsce było, a kompetentny, przemiły lekarz natychmiast postanowił mnie przyjąć, nie musiałam go specjalnie do tego przekonywać. Kiedy przebrałam się w koszulę i szlafrok, odetchnęłam z ulgą: naprawdę byłam pacjentką szpitala.

Nareszcie poczułam się bezpiecznie. Podłączono mi kroplówkę z lekami przeciwbólowymi, podano antybiotyk, udało mi się przespać kilka godzin. Rano ból powrócił. Poproszono mnie na USG. Pamiętam, że na zatrzymanym na ekranie monitora obrazie zobaczyłam niewielki kamyczek w przerośniętej, na moje niefachowe oko, nerce. Jednogłośnie podjęto decyzję o rozbiciu kamienia ultradźwiękami.

– Proszę pani, założymy do nerki cewnik, będziemy ją odbarczać i podawać bezpośrednio do niej antybiotyk. Po dwóch tygodniach rozbijemy kamień – powiedział jeden z lekarzy.

– Cewnik, dwa tygodnie, którędy? Przez cewkę moczową? – Wystraszyłam się nie na żarty.

– Nie, o tutaj. – Lekarz wskazał palcem miejsce na moim lewym boku.

Myślałam, że żartuje, ale jego wyraz twarzy na to nie wskazywał.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Dziura w ciele, dziura w nerce, przez dwa tygodnie? To niemożliwe, nie zgadzam się – powiedziałam bez namysłu.

Pomimo bólu próbowałam trzeźwo myśleć: Dziura w boku! Bez sensu. Co to za metoda? Nie mam czasu, jakie dwa tygodnie! A moje pacjentki, porody, szkoła rodzenia, rodzina? Niech szybko mnie zoperują. Mam dość.

– Jak to się pani nie zgadza? – usłyszałam pytanie

innego lekarza. – Mamy XXI wiek, po co kroić, jak można załatwić to inaczej.

Dziurą na wylot, pomyślałam, świetnie. Szukałam wśród tych medyków choć jednych oczu, które by mnie zrozumiały. Chyba znalazłam – jeden z nich przyglądał mi się od początku ze szczególnym skupieniem. Poczulałam, że mam szansę. Zwróciłam się tylko do niego:

– Tu nie ma żadnego zastoju w miedniczce. – Wskazałam na zatrzymany na ekranie obraz. – Wiem tylko, że nerka wypełnia mi pół brzucha. Pomimo leków czuję się coraz gorzej, słabnę z godziny na godzinę. To nie może być tylko kolka nerkowa. Proszę, niech mi pan pomoże... – Mówiłam i mówiłam, także o tym, że chyba zaraz umrę. Słyszałam własne słowa, ale miałam wrażenie, jakby wypowiadał je kto inny. Zapadła cisza.

– Urografia na *cito*, za godzinę na bloku operacyjnym. – Mój przyszły wybawca okazał się profesorem urologii, ordynatorem tego oddziału. Nie mogłam lepiej trafić.

– Niech rodzina odda krew, najlepiej B plus – powiedział, wychodząc.

Decyzja ordynatora nie wzbudziła sprzeciwu wśród sześciu obecnych tam lekarzy albo przynajmniej nie dali tego po sobie poznać. Zaczęli pospiesznie przygotowywać się do ponadplanowej operacji. Zrobiono mi od razu urografię (kontrast, zdjęcia rentgenowskie), okazało się, że moja lewa nerka nie pracuje. Próbowалам

przypomnieć sobie, kto w rodzinie, oprócz moich dzieci, ma grupę B. Zadzwoiłam do przyjaciół, natychmiast zadeklarowali pomoc.

Ból sprawiał, że zapadałam się w sobie, jakby organizm sam się wyłączał. Zobaczyłam przy swoim łóżku lekarza, miał nienaturalnie jasny kolor włosów i brwi, cały czas się uśmiechał. Majaczę? Przedstawił się, zapamiętałam tylko imię: Jacek. Wziął mnie za rękę.

– Będę panią operował. Jestem trochę przeziębiony, cieknie mi z nosa, ale postaram się nie nakichać pani w narządy. – Pewnie chciał mnie rozbawić. Próbowałam odwzajemnić uśmiech, ale to też sprawiało mi ból.

Przewieziono mnie na blok operacyjny. Pamiętam tylko szybko przesuujące się jarzeniówki na suficie; widziałam takie obrazy na filmach. To była pierwsza w moim życiu operacja.

– Teraz pani zaśnie, około piętnastu minut zajmie nam ułożenie pani na boku. Wszystko musi się zgadzać co do milimetra.

– Ile to potrwa? – zapytałam.

– Maksymalnie półtorej godziny.

Spojrzałam na zegar wiszący na ścianie, była 11.45.

– Zakreści się pani w głowie, proszę głęboko oddychać – słyszałam z oddali głos anestezjologa.

*

– Proszę otworzyć oczy, już po wszystkim. Jak się pani nazywa?

Cudownie, nic mnie nie boli, chyba się budzę, no i żyję.

– Jak się pani nazywa?

Czego oni ode mnie chcą? Przecież odpowiadam. Miałam wrażenie, że ruszam nawet ustami. Podniosłam ciężkie powieki i próbowałam wyostrzyć wzrok, patrząc na zegar, była 16.00. Niedobrze, zapewne coś poszło nie tak. W sali operacyjnej wszyscy krzatali się w milczeniu, słyszałam tylko odgłosy składanych narzędzi. Przełożono mnie na łóżko, wracałam na pięcioosobową salę. Jechałam przez ten sam korytarz, obserwując te same jarzeniówki. Przy łóżku szła moja siostra. Musiała być zdenerwowana, wtedy więźnie jej głos i mówi bardzo cicho.

– Dzień dobry, jestem lekarzem. Doktorze, czy wszystko w porządku?

Spod w półprzymkniętych powiek zobaczyłam doktora Jacka.

– Ropień korowy, sepsa. Niestety nerki nie udało nam się uratować. Zobaczymy, czy druga operacja się uda, a to będziemy wiedzieć rano.

Słyszałam tę rozmowę, ale miałam poczucie, że mnie nie dotyczy. Byłam szczęśliwa, myśląc tylko o tym, że nic mnie nie boli. Co za różnica, operacja czy nie? W nocy nawet nie zmrużyłam oka. Coraz gorzej

oddychałam, pomimo że podawano mi tlen przez plastikowe rurki. Dlaczego żaden z leków, które dostaję, nie działa jak należy? Ból był nie do opisania. Nie dało się go porównać z niczym, co przeżyłam, nawet doświadczenie moich porodów wydawało się w tym momencie przedszkolem. To, że rodzi się dziecko, daje kobiecie siłę. Poza tym przerwy między skurczami są sporymi zastrzykami energii, można odpocząć. Mój ból nie miał przerw.

Świtało. Dzięki Bogu, przeżyłam noc.

– Chciałem zapytać, jak się pani czuje, ale widzę, że średnio, więc rezygnuję z pytania. – Doktor Jacek próbował zachować żartobliwy ton.

Ucieszyłam się, że go widzę, powiedziałam o bólu. Odślonił kołdrę. Jednym ruchem zerwał opatrunek.

– Narzędzie, pean, cokolwiek! – rzucił przez ramię do pielęgniarki. – Przykro mi, ale płyn surowiczy dostał się pod skórę, rozwarstwiając tkanki, to powoduje dodatkowy ból.

Włożył mi narzędzie między szwy w trzech miejscach, rozchylając brzegi rany. Patrzyłam na to z przerażeniem, ale prawie nie bolało. Poczułam spływającą po skórze ciepłą ciecz. Co za ulga.

Usiadł na łóżku, popatrzyłam na niego pytającym wzrokiem.

– No cóż, nie spodziewaliśmy się takiego obrotu sprawy. Wyjąłem kamień, zdziwiło mnie, że miedniczka

nerkowa nie była zmieniona chorobowo, choć pani samopoczucie na to nie wskazywało. Coś mnie podkusiło, żeby obejrzeć nerkę od góry i zobaczyłem ten ropień. Cięcie było typowe do wyjęcia kamienia, musiałem docinać. Było zbyt mało miejsca, żeby wyjąć całą nerkę i nie rozlać ropnia, odginaliśmy żebra. Ale niestety rozerwała się opłucna, stąd te problemy z oddychaniem. Ktoś rzucił pomysł, żeby panią obudzić i zapytać o zgodę na usunięcie nerki, ale profesor kazał odstąpić od procedury. Każda chwila była cenna. Spodziewaliśmy się, że toksyny wydzielane przez bakterie mogą zniszczyć drugą nerkę. Dziś już wiem, podjęła pracę. To wynika z badań, widziałem je. Przeżyje pani. – Poglądził mnie po włosach.

Dopiero teraz naprawdę zdałam sobie sprawę z powagi sytuacji. Na odchodne jeszcze dorzucił:

– Dobrze pani zrobiła, nie godząc się na proponowany zabieg z cewnikiem do nerki. Gratuluję dobrego nosa.

Chciałam mu powiedzieć, że to nie mój nos, tylko mojego Anioła Stróża, ale zabieg z „dziurawieniem” rany przyniósł tak dużą ulgę, że zaczęłam zapadać w sen.

*

Obudziło mnie zamieszanie i głośnie rozmowy – to obchód. Tylko profesor uśmiechał się do mnie

i dopytywał o zdrowie. Pozostali lekarze, którzy wczoraj namawiali mnie na cewnikowanie nerki, szukali czegoś wzrokiem na suficie bądź w podłodze, żaden nawet na mnie nie spojrzał. Przez kilka dni nie mogłam wstać z łóżka, byłam na siebie zła, że jestem taka słaba.

Czwartego dnia rano pierwszy raz obchód przywitałam na siedząco. Okupiłam to bólem, ale byłam z siebie dumna.

– Jak tam nasza położna? – zapytał profesor.

Chciałam się uśmiechnąć, coś powiedzieć, ale tylko się rozpłakałam.

– Panie profesorze, dziękuję... – Nie mogłam nic więcej z siebie wykrztusić, połykałam łzy.

– No, już dobrze. – Podeszedł do mnie i mocno przytulił moją głowę do kieszeni białego kitla, wypchanej pieczętkami. Jedna z nich boleśnie wbijała mi się w oko. Zaraz stracę drugi ważny narząd, przebiegło mi przez głowę. Jakoś wyswobodziłam się z uścisku.

– Nie udało nam się pani zabić, to sukces. – Widziałam, że tym razem słowa skierowane były do jego asystentów, nie do mnie.

W szpitalu spędziłam dwa tygodnie. Pięciosobowy pokój z chmarą odwiedzających nie służył rekonwalescencji. Siedziałam więc godzinami przy oknie w korytarzu i patrzyłam na nagie drzewa w parku, oblegane przez krzyczące gawrony, i na coraz mniejsze wyspy topniejącego, brudnego śniegu. Jaki to wszystko

miało sens? Jeśli dostałam drugą szansę, to najwyraźniej mam jeszcze coś do zrobienia. Ale dlaczego aż tyle bólu, cierpienia... Czułam się tak, jakby zabrano mi nie kawałek chorego ciała, ale część mnie samej. Ogarniał mnie coraz większy smutek. Moją psychoterapeutką była salowa, która pracowała codziennie, rano lub po południu. Dzięki temu przez cały pobyt w szpitalu miałam zapewnioną ciągłość terapii.

– Już po operacji? – zagadnęła. Skinęłam głową. – Co wycięli?

– Nerkę – odpowiedziałam, nie odwracając oczu od ptaków bijących się o kawałek chleba.

– E tam, można żyć z jedną. Będzie dobrze, nie ma się co martwić. Nie po takich operacjach ludzie stąd wychodzili na własnych nogach. I niech się pani tak nie patrzy przez cały czas w to okno, bo jeszcze pani jakiejś depresji od tego dostanie.

Opierała się na kiju od mopa i opowiadała mi o swojej wsi. Po kilku spotkaniach wiedziałam wszystko o jej sąsiadach, córkach (o tej zameężnej i tej, co się nie mogła wydać), jakbym tam mieszkała. Przynosiła mi z domu jajka ugotowane na twardo, z pomarańczowo-uzdrawiającym żółtkiem, od swojej kury rekordzistki. Pewnie nieświadomie, ale ratowała mnie dzień po dniu. Była dla mnie tak samo ważna jak chirurg w dniu operacji. Przemywała codziennie moje rany życzliwością i zakładała opatrunek z pogody ducha.

WYSTARCZY!

Od operacji minęło siedem tygodni. Czułam się dobrze. Wykonałam serię badań i od mojego chirurga uzyskałam pozwolenie na pracę zmianową. Właśnie wyszłam od lekarza zakładowego z zaświadczeniem, na którym widniało najważniejsze stwierdzenie: „zdolna do pracy”, gdy zagadnęła mnie koleżanka:

– Jak się czujesz? – zapytała z zatroskaną miną.

– Za kilka dni wracam do was, nie mogę się już doczekać – odpowiedziałam radośnie.

– Nie idziesz na rentę? Przecież jesteś inwalidką i to się nigdy nie zmieni.

Ośłupiałam, nie postrzegałam siebie w ten sposób, zaskoczyła mnie. I to jest ten moment, kiedy boisz się mrugać, musisz trzymać oczy szeroko otwarte, gdyż każdy ruch powieki odkręca kranik i łyzy leją się bez końca.

– Dam radę – rzuciłam, odchodząc. Nie chciałam się przy niej rozklejać.

Dotknęła najwyraźniej jakiejś głębokiej struny, która drgała w rytmie choroby. Jeszcze tam nie dotarłam, a może zawsze już będę tak reagować?

Koleżanki z sali porodowej przyjęły mnie na ogół ciepło i życzliwie, choć wiedziałam doskonale, o czym szeptają. Obawiały się, że wróciłam zbyt wcześnie i mogę fizycznie nie podołać trudnej pracy przy porodach. Ale ja byłam w świetnej formie (niektóre z nich dziwiły się, że w aż tak dobrej). Miałam jednak cały czas kłopot z odzyskaniem poczucia humoru, którego niegdyś mi nie brakowało. Jedna z położnych, niewątpliwie ciesząc się na mój widok, powiedziała:

– Długo cię nie było, słyszałam, że sprzedałaś nerkę i wyjechałaś do ciepłych krajów.

Cóż, nie było mnie jeszcze stać na zgrabną ripostę. Pierwsza rodząca, którą się zajmowałam po powrocie do pracy, miała usuniętą śledzionę – akurat to potraktowałam jako humorystyczny znak od losu.

*

Pracowałam na pół etatu, ograniczyłam też prywatne porody. Staralam się traktować swoje ciało z większą uważnością i czułością, jak kogoś bliskiego. Postanowiłam zadbać o nie, skoro dusza jest nieśmiertelna. Jak się okazało, trudno jest oddzielić jedno od drugiego. Próbowałam zrozumieć, co się tak naprawdę stało, nadać temu jakiś sens i kierunek.

Dostałam od przyjaciół telefon do znanego zielarza z Mongolii. Badając mnie, próbował coś tłumaczyć

w dziwnym języku (pod koniec wizyty zorientowałam się, że to był jednak polski). Wręczył mi trzy opakowania cuchnących kozich bobków i kazał zażywać na czczo, popijając dużą ilością wody. Rozpoczęcie dnia od bobków skutecznie powstrzymywało mnie od zjedzenia czegokolwiek. Gdy trzeciego dnia zwymiotowałam jeszcze przed zażyciem specyfiku, stwierdziłam, że mój organizm bobków nie toleruje, więc wylądowały w koszu.

Skoro medycyna zachodnia leczy tylko skutki chorób (często, jak w moim przypadku, operacyjnie), próbowałam dotrzeć do przyczyn poprzez medycynę chińską. Co prawda Chiny i Mongolia sąsiadują ze sobą, ale upewniłam się wcześniej, że w Chinach podstawą leczenia nie są kulki ze zwierzęcych odchodów. Zainteresowało mnie prawo, które mówi, że cokolwiek zrobimy dzisiaj, skutek będziemy odczuwać po dziewięćdziesięciu dniach. Odnosi się to do wszystkiego: naszego pożywienia, leków i ziół, ale także do naszych myśli, słów i czynów. Istnieje też prawo miłosierdzia i przebaczenia, w którym tkwi ogromna moc. Zgodnie z nim poprzez współczucie i wybaczenie można uleczyć śmiertelne choroby, nawet raka. Nad zachowaniem równowagi w organizmie czuwa energia chi. Pobierana jest z boskiego źródła przez główne punkty energetyczne, których jest siedem, tak jak siedem dni tygodnia. Następnie rozprowadzana jest po całym ciele głównymi meridianami, których jest dwanaście, jak

miesiący w roku. Najważniejszych punktów akupunkturowych i równocześnie akupresurowych jest 366, podobnie jak dni w roku przestępnym. Przyczyna zawsze wywołuje skutek. Naruszenie równowagi w organizmie wywoła chorobę. Szczerze mówiąc, zaskoczyła mnie łączność liczbowa ludzkiego ciała z naturą, była w tym jakaś niewymuszona logika.

Do tej pory wydawało mi się, że medycyna chińska działa głównie na Chińczyków. Była dla mnie ciekawostką i tyle. Lecz gdy dziewięćdziesiąt dni po operacji dostałam zapalenia pęcherza moczowego, spokorniałam. Wyglądało na to, że chińskie prawa sprawdzają się na mnie doskonale. Lekarz medycyny chińskiej zasugerował, żeby nie brać broń Boże antybiotyku, który osłabi mój nadwyrężony chorobą organizm jeszcze bardziej i po kolejnych dziewięćdziesięciu dniach zakażenie powróci. Zaufałam mu pomimo strachu, że bakterie z pęcherza zaatakują moją jedyną nerkę. Przepisał mi jakieś chińskie specyfiki. Pomogło.

Szukając u Chińczyków odpowiedzi na pytania związane z moim zdrowiem, natrafiłam na wiedzę dotyczącą ciąży, porodu i macierzyństwa. Już od pierwszych dni ciąży kobieta otrzymuje od natury ogromną dawkę energii życia, którą organizm kumuluje na okoliczność porodu i porożenia. Jest to najbardziej widoczne zwłaszcza w przypadku kobiet kruchych,

delikatnych. Czasami położne, towarzysząc rodzącej, zastanawiają się, skąd tyle siły, taka moc w tak drobnym ciele.

Dlaczego mądrości dawnych cywilizacji, oparte na podpatrywaniu natury, zastąpiono „rozumem i dowodami”, gubiąc po drodze pierwotne instynkty? Przemówił do mnie przykład ptaków, które grzeją swoje pisklęta własnym ciałem, nigdzie ich poza gniazdo nie wynosząc. Człowiek niejednokrotnie postępuje inaczej: noworodki, zamiast być blisko swoich matek, od razu dostają wspaniałe, pięknie umeblowane pokoje pełne zabawek (które nie mają dla nich żadnego znaczenia). Gdzieś umknęła wiedza, że noworodek nadal połączony jest z matką energetycznie, dlatego tak ważna jest bliskość, tulenie i karmienie piersią, które poza fizycznym pokarmem dostarcza dziecku energii życiowej. W każdej piersi znajduje się mały czakram, przez który dziecko chłonie tę energię.

Odwiedziłam też Centrum Medycyny Holistycznej, chciałam, żeby ktoś spojrział na mnie całą, a nie jak na kogoś bez nerki. Wyznaczono mi termin za dwa miesiące, ale szczęśliwy traf sprawił, że po kilku dniach zadzwoniła recepcjonistka, zapraszając mnie na wizytę – zwolniło się miejsce u bardzo dobrego lekarza. Dzięki niemu po raz pierwszy spojrzałam na chorobę inaczej: jak na przyjaciela, który podpowiada mi, o jakie emocje w sobie powinnam zadbać, jakich przeciążeń

psychicznych unikać. Objawy nie są chorobą, tłumaczył lekarz, podając przykład samochodu. Gdy na desce rozdzielczej zapali się czerwona lampka, nikt rozsądny nie wykręci żarówki i nie oświadczy z dumą, że naprawił samochód.

Wygląda na to, że podczas naprawiania człowieka taki proces powtarza się stale. Gdy „zaświeci się objaw”, medycyna zachodnia usuwa go (nie żałując skalpela), uznając ten zabieg za sukces terapeutyczny.

*

Ciągle żyłam ze świadomością, że mam w pęcherzyku żółciowym drobne kamienie, o których dowiedziałam się przy okazji diagnostyki nerek. Zepchnięte na dalszy plan zaczęły raz po raz dawać o sobie znać. Próbowałam tym razem uchronić się przed chirurgiczną interwencją. Postanowiłam skorzystać z porad homeopaty. Ten zdecydowanie obiecał je rozpuścić za pomocą małych, białych kulek (całe szczęście bez smaku i zapachu). Zanim homeopatia zdążyła zadziałać, dostałam jeszcze raz tę samą lekcję do odrobienia. Tym razem na własne życzenie. Winowajcą był grillowany oscypek z żurawiną, z którym mój pęcherzyk sobie najzwyczajniej w świecie nie poradził.

Czułam nieznośny opasujący ból w okolicy żołądka i pod łopatką, nie mogłam wziąć oddechu, pojawił się też

lęk przed śmiercią. Sądziłam, że ten objaw dotyczy jedynie hipochondryków, a tu proszę. Przeraziłam się nie na żarty.

Skończyło się na operacji laparoskopowej. Nikt z personelu się nie zdziwił, że po laparoskopii (która polega na zrobieniu zaledwie trzech małych dziurek w brzuchu i napompowaniu ludzkiego ciała gazem, tak że przybiera ono wygląd samca żaby w okresie godowym) zamiast dwóch dni pozostałam w szpitalu aż tydzień. Miałam etykietkę „służba zdrowia”, czyli pechowa pacjentka.

Tym razem postanowiłam podejść do tego, co mnie spotkało, z poczuciem humoru. Już w sali operacyjnej, zaraz po wybudzeniu, zastanawiałam się, których jeszcze narządów mogłabym się ewentualnie pozbyć, biorąc pod uwagę głównie te parzyste.

Rano przyszła na dyżur pielęgniarka, z wyglądu bardzo doświadczona. Okulary o grubych szklach (z piętnaście dioptrii, no, może trochę przesadziłam) zdecydowanie dodawały jej lat. Obejrząwszy z odległości dziesięciu centymetrów zawartość redonu (pojemnika z drenem odprowadzającym płyn surowiczy z brzucha), powiedziała, kręcąc głową:

– Za dużo tego płynu, tu jest żółć. Oj, będzie pocięty brzusek, będą panią otwierać, pewnie uszkodzili przewód żółciowy podczas laparoskopii.

Tylko nie to, pomyślałam.

– Moim zdaniem pani źle widzi – rzuciłam bez namysłu.

– Może za dobrze nie widzę, ale żółć rozpoznam na kilometr.

Całe szczęście nie miała jednak racji, ale musiałam pozostać kilka dni dłużej w szpitalu na obserwacji. Gdy przyszła pobrać mi krew, żałowałam, że w sali nie ma ukrytej kamery. Miałam niezbity dowód na to, jak organizm potrafi zrekompensować niedoskonałość jednego ze zmysłów. Wyczuła palcami żyłę i w ogóle na nią nie patrząc, wbiła w nią igłę. Szczerze mówiąc, zaimponowała mi.

Po powrocie do domu postanowiłam wreszcie przestać o tym wszystkim myśleć. Dwie operacje w jednym roku to przesada. Usiadłam z filiżanką ulubionej jaśminowej herbaty i zaczęłam czytać wypis ze szpitala. Nie, to niemożliwe! HCV dodatni! W jednej sekundzie przed oczami zrobiło mi się zupełnie ciemno. Wirusowe zapalenie wątroby typu C. Przeplakałam całą noc, żegnałam się z pracą, witałam z lekami, które pewnie będę zmuszona przyjmować nie wiadomo jak długo. Najbardziej bolało mnie to, że nikt z personelu o tym wyniku nawet mnie nie poinformował. Rano zadzwoniłam do znajomej, która kiedyś pracowała w tym szpitalu. Obiecała natychmiast skontaktować się z laboratorium. Okazało się, że sekretarka medyczna pomyliła się przy robieniu wypisu. Wynik badania był

jednak ujemny, ale ja już nie miałam siły się cieszyć.

*

Wyraźnie szłam złą drogą. Finał poznawania własnego ciała i łamania schematów był raczej opłakany. Widocznie dopuściłam do głosu swoje ego – to ono wciąż podpowiadało mi, że powinnam zmieniać siebie i świat wokół za wszelką cenę, mieć wszystko pod kontrolą, również to, czego kontrolować się nie da. Wystarczy! To całe zamieszanie ze zdrowiem przestało mi się podobać. Wybrałam się do księgarni. Pierwszą książką, jaką zobaczyłam, była: *Możesz uzdrowić swoje życie* Louise L. Hay. Wzięłam ją do ręki, pomyślałam, że jeżeli jest dla mnie, otworzę ją w miejscu, które będzie wskazówką. Bardzo często tak robię z Biblią i innymi ważnymi dla mnie książkami. „Każda powstała myśl tworzy naszą przyszłość”, „Każdy jest w stu procentach odpowiedzialny za wszystko, co go w życiu spotyka”, „Sami tworzymy choroby naszego ciała”. Ha! Przyjrzałam się też afirmacjom, które autorka podała, nabrałam ochoty, by powtarzać je przed snem. Pomyślałam, że trzydzieści pięć złotych to jednak zdecydowanie mniej od tego, ile już wydałam na poszukiwanie właściwej drogi.

Zrozumiałam dzięki tej książce, że nie ma takiej osoby, miejsca ani rzeczy na tej ziemi, która miałaby nad

nami władzę. Tylko my jesteśmy twórcami naszych myśli. By zmienić stare, skostniałe schematy, które nas ograniczają, potrzeba odwagi.

Fizyczne cierpienie zmieniło mnie i zweryfikowało moje podejście do życia. Dziś odpowiedzi na zadawane sobie na wielu poziomach pytania sprowadziły się po wielu latach poszukiwań do pewnego odkrycia, o którym mówi Eckhart Tolle w swojej książce *Potęga terażniejszości*: nie samo wydarzenie sprawia nam ból, lecz to, co o nim myślimy. Za każdym razem, gdy cierpimy, kryje się za tym jakaś nieuświadomiona myśl. Tymczasem, bez względu na to, czy nam się to podoba czy nie, pogoda się nie zmieni i zawsze znajdą się nieżyczliwi ludzie. Przestałam zamartwiać się rzeczami, na które nie mam wpływu, i powoli dotarłam do tej części siebie, o której istnieniu nawet nie wiedziałam.

MOJA SZKOŁA

Dyrektor szpitala na Żelaznej zapytał mnie kiedyś, dlaczego nie mam swojej szkoły rodzenia. No właśnie, dlaczego nie mam? Dobre pytanie. Twierdził, że to zwyczajnie wstyd, żeby położna, która ma charyzmę (jak miło to ujął) i dużo do przekazania, nie pracowała pod swoim nazwiskiem. Tego samego zdania byli Agata i Robert, para moich przyjaciół. Już od dawna namawiali mnie, żebym coś z tym zrobiła. Rzeczywiście od kilkunastu lat sumiennie wykładałam w szkołach rodzenia, z którymi się dość mocno utożsamiałam. Zapewniałam też organizatorom dobrą frekwencję na kolejnych kursach, kierując do nich pary zapisane do mnie na poród. Jak się okazywało, w ważnych kwestiach organizacyjnych i programowych miałam ostatecznie niewiele do powiedzenia. Tak, to był już najwyższy czas na zmiany.

*

Był rok 2005. Otworzę Szkołę Narodzin, pomyślałam (nie „rodzenia”, ale właśnie „narodzin”, co miało dla

mnie głębszą wymowę). Udało mi się sprawnie wynająć salę na zajęcia, co prawda po roku wynajmowałam już niewielki dom na Żoliborzu, ale wtedy sentyment zaprowadził mnie do kamienicy na Emilii Plater, gdzie kiedyś mieściła się Ewa-2. Obecnie znajdowały się tam gabinety lekarskie, ale największy trzydziestopięciometrowy pokój pozostawał wolny, nadawał się doskonale do mojej nowej działalności. Energia tego miejsca była niezwykła, przyszło w nim na świat mnóstwo dzieci. I oto, po dziewięciu latach, znowu stałam przed drzwiami do pokoju, w którym rozegrała się ważna część mojego zawodowego życia. Z drżeniem serca dotknęłam klamki. Moim oczom ukazał się widok nieprzystający do wspomnień. Ogarnął mnie smutek, chyba liczyłam na to, że czas się tam zatrzymał. Cóż, pokój był od dawna nieużywany, zagracony, wymagający wiele pracy, by go zaadaptować, ale to mnie nie zniechęciło. Będzie pięknie, pomyślałam, i zrobiłam listę zakupów: wykładzina, firanki, worki sako, kolorowe poduszki. Wychodząc, zatrzymałam się w progu i jeszcze raz ogarnęłam wzrokiem pomieszczenie. Nagle powróciły wspomnienia pokoju porodowego z białymi meblami: dużym łóżkiem, toaletką z lustrem, szafą, i obrazami na ścianach (niepasującymi do siebie ani tematycznie, ani wielkością). Eugeniusz kupował dużo ładnych obrazów, pamiętam, że ciągle chodził z młotkiem i wieszał je, gdzie popadło. Miało to swój urok, nasi pacjenci wspominali z rozrzewnieniem, że

doktor pojawiał się w trakcie porodu, wbijał w ścianę gwoździ, wieszał obraz, uśmiechał się i wychodził.

*

Agata i Robert spodziewali się dziecka, koniecznie chcieli być uczestnikami pierwszego kursu, to dopingowało mnie jeszcze bardziej. Pomoc szkoły artystycznej, którą prowadzą do dziś, była nieoceniona. Logo, ulotki, wizytówki, wszystko poszło jak z płatka. Ustaliliśmy, że na ulotkach Szkoły Narodzin będzie zdjęcie Agaty w ciąży i moje (jej położnej). W czasie sesji zdjęciowej zajmowały się mną studentki Agaty z Wydziału Charakteryzacji. Czułam się jak gwiazda filmowa, wyglądałam pięknie i jakoś tak inaczej, odświeżenie. Miałam profesjonalny makijaż i wyprostowane prostownicą włosy (na co dzień mam trochę kręcone). Robert zrobił nam świetne zdjęcia. Nie przewidziałam tylko jednego drobnego szczegółu: nikt mnie w tej fryzurze nie rozpoznał, co było zabawne.

*

Stworzyłam elastyczny program szkoły, według którego pracuję do dziś. Zmieniam go w zależności od potrzeb grupy. Niekiedy więcej czasu poświęcam

zagadnieniom z zakresu fizjologii lub psychologii, omawiając je w formie swobodnego wykładu. Kiedy indziej wiedzę, jaką mam do przekazania, ubieram w opowieści, historyjki, anegdoty. Śmiech zawsze pomaga. Byłoby ideałem, gdyby poczucie humoru nie opuszczało rodzających także w czasie porodu; często staram się je rozśmieszać. Jeżeli poród przerasta ich wyobrażenia i nie dają rady być bohaterkami, może warto czasem zabawnie i z dystansem „stchórzyć”.

Nie stosuję w mojej szkole nowoczesnych technik multimedialnych, nie bombarduję kursantów setkami slajdów. Ten rodzaj przekazu moim zdaniem ma niewiele wspólnego z wiedzą, którą się dzielę. Nasze spotkania mają raczej charakter wieczornych babskich zgromadzeń, podczas których rozmawiamy o swoich sprawach, jak niegdyś robiły to kobiety przy haftowaniu czy darciu pierza. Różnica polega na tym, że do tego kręgu dołączyli mężczyźni.

Rodzące są dziś pozbawione wsparcia starszych doświadczonych kobiet. Rodziny wielopokoleniowe, w jakich żyli nasi przodkowie, należą już do rzadkości. Co budującego na temat naturalnego porodu mają do powiedzenia swoim córkom porodowe kombatantki, które rodziły w czasach PRL-u? (A swoją drogą zawsze uważałam, że opowiadanie ciężarnej horrorów z własnych porodów powinno być surowo zabronione.) Rzecz ma się inaczej w przypadku tak zwanych rytuałów

porodowych; te zna prawie każda kobieta, która rodziła, i o nich warto opowiadać. Oczywiście każdy poród jest inny, każda kobieta rodzi w swoim rytmie, rytuały też są sprawą indywidualną, ale mają wspólną cechę: dają rodzącej poczucie bezpieczeństwa. Kobieta intuicyjnie szuka czynności lub rzeczy, dzięki której skurcz (związany z nim ból i napięcie psychiczne) zdaje się łagodniejszy. Może to być pozycja ciała bądź ulubione miejsce w pokoju, skupianie wzroku na tym samym przedmiocie czy szczególnie, chwytanie partnera za rękę lub wtulanie się w jego ramię, by poczuć znajomy zapach wody toaletowej. Tego rodzaju zachowania, o dużej powtarzalności, są dobrym sygnałem dla położnej: jeżeli w miarę postępu porodu kobieta trwa cały czas przy swoich rytuałach, wiem, że poród przebiega bez zastrzeżeń.

*

Lubię opowiadać swoim kursantom, na czym polega według mnie dobre oddychanie podczas porodu. Pamiętam pierwsze lata mojej pracy. Stałam wytrwale przy rodzącej tak długo, aż nauczyłam ją oddychać torem przeponowym – przy wdechu całe powietrze należało skierować do brzucha, a przy wydechu brzuch miał opadać. Gdy wychodziłam do dyżurki i obserwowałam rodzącą przez małe okienko, widziałam, że nie oddycha

tak, jak ją nauczyłam, robi to po swojemu. Wystarczyło, że pojawiałam się w drzwiach sali porodowej, a znowu próbowała wdechem nadymać brzuch. Już wtedy rozumiałam, że kobiety podczas porodu powinny oddychać, jak chcą. Kilka godzin zajęć w szkole rodzenia też nie spowoduje, że uda się zmienić fizjologiczny tor oddechu. Przeponą oddychają mężczyźni oraz kobiety pracujące głosem czy grające na instrumentach wymagających „dobrych płuc”, większość kobiet oddycha torem piersiowym.

Już pierwsze prowadzone przeze mnie w Ewie-2 wykłady o oddychaniu podczas porodu nie miały nic wspólnego ze scenami z filmów, gdzie ciężarne siedzą oparte o swoich partnerów i sapią. Kierowana bardziej instynktem niż doświadczeniem przekonywałam, że wystarczy po prostu oddychać, co było dość nowatorskim podejściem. Dwadzieścia lat później nikogo już to nie będzie na szczęście dziwić.

Zasada jest prosta: gdy przychodzi bolesny skurcz, nie należy oddychać za szybko ani za głęboko, by nie doprowadzić do hiperwentylacji (przetlenowania organizmu). Objawy są niemiłe – drętwienie rąk, twarzy, może nawet dojść do zawrotów głowy. Nie należy też w trakcie skurczu zatrzymywać powietrza i nie oddychać, choć może nam się wydawać, że czujemy wtedy mniejszy ból. To pułapka. Macica jest mięśniem, który niedotleniony boli bardziej, a zmniejszająca się

ilość tlenu w organizmie matki może spowodować po jakimś czasie zaburzenia w tętnie dziecka. Najlepiej skupić uwagę na wydechu, po kilkakrotnym kontrolowanym długim wydechu wdech jest spontaniczny, jest dokładnie taki, jaki ma być.

Zdarzały się sytuacje, że kobiety podczas porodu koncentrowały się na nienaturalnym dla nich oddychaniu, „podrzucając” przez wiele godzin przeponą (która jest mięśniem rozpiętym na żebrach i oddziela klatkę piersiową od jamy brzusznej). W rezultacie mięsień był tak zmęczony, że efektywne parcie stawało się niemożliwe, poród kończył się wówczas zabiegiem (*vacuum*, kleszcze). Kobiety często skarżyły się po porodzie na niepokojący ból przy oddychaniu, głównie w okolicach żeber i brzucha, a ten był po prostu spowodowany typowymi zakwasami w zmęczonych wysiłkiem partiach mięśni.

*

W przerwach między wykładami, przy herbacie, lubię pogadać ze słuchaczami na nieco inne tematy, nieobjęte programem. Wtedy mam okazję, by uczulić przyszłych rodziców na język skrótów myślowych, jakim w szpitalu często porozumiewamy się my, położne. Całe szczęście nie wszystkie żargonowe powiedzenia mają zabarwienie negatywne, ale większość wtopiła się

w codzienność na tyle, że nie zdajemy sobie sprawy, że nasze słowa mogą być rozumiane opacznie.

Jeżeli świeżo upieczona mama słyszy, że jej dziecko „spadło z wagi”, zastanawia się, jak wysoko stała waga, i jest przerażona. Rzadko kojarzy ten zwrot z fizjologiczną utratą masy ciała u noworodków po porodzie (a to właśnie oznacza). „Dziś rano urodziłam” lub „zaraz będę rodzić” – mówimy, identyfikując się z naszą rodzącą, i to przyszłe mamy odbierają na ogół ciepło, nie mając nam za złe, że sukces ma „wiele matek”. Ale już tekst zasłyszany z rozmowy między położnymi, że „dziecko zeszło”, może rodzicom zmrozić krew w żyłach (chodzi oczywiście o obniżenie się główki w kanale rodnym). „Dziecko jest duże, poród może potrwać dłużej, bo maluch musi mieć czas, żeby się spakować” – jeśli taką informację słyszą rodzice, to chodzi w niej o dopasowywanie się główki dziecka do kanału rodnego i prawidłowe ułożenie w miednicy poprzez odpowiednio zachodzące na siebie kości czaszki. O położnej z dużym doświadczeniem mówimy, że ma „nabitą rękę”, czyli duże zawodowe doświadczenie.

*

Na początku lat dziewięćdziesiątych moje wykłady w szkołach rodzenia głównie polegały na dawaniu porad, jak wśród niezyczliwego personelu kobieta może,

pomimo wszystko, zachować godność przy porodzie. Na przestrzeni lat widoczna jest poprawa warunków, w jakich rodzą kobiety, ale też, co mnie bardzo cieszy, wzrosła liczba osób świadomie uczęszczających do szkół rodzenia. Poród nie jest najlepszym momentem na przekazywanie wiedzy o tym, co się będzie działo w trakcie tych kilku lub kilkunastu ważnych godzin.

Podczas spotkań w mojej szkole uczę kobiety, jak pracować podczas porodu ze skurczami, a nie przeciwko nim. Poród jest zmaganiem się z bólem, ale nie musi być to walka za wszelką cenę. Przedstawiam kobietom różne opcje, ale każda z nich musi samodzielnie dokonać wyboru. Zachęcam je do szczerości wobec siebie. To ich poród.

BEZ KLUCIA

Na zajęciach w szkole mówię o wielu naturalnych metodach redukcji bólu porodowego: kąpeli w ciepłej wodzie, masażu, okładach na bolące miejsca – na przemian ciepłych i zimnych – czy muzykoterapii. Uczymy się oswajać ból, a nie walczyć z nim. Niemniej coraz częściej mam do czynienia z kobietami, które są zdecydowane „ocalić się od porodu”, czyli planują cesarskie cięcie – do szkoły przychodzą głównie po informacje o karmieniu i pielęgnacji dziecka. Jednakże słysząc, że można zredukować ból porodowy dzięki znieczuleniu, część z nich decyduje się na poród drogami natury. Nie zachęcam do składania deklaracji przed porodem: „ja muszę mieć znieczulenie”, „ja na pewno nie chcę”, życie samo napisze scenariusz. Wiele kobiet (mimo że ostatecznie rodzą naturalnie bez znieczulenia) potrzebuje pewności, że zawsze mogą o nie poprosić, daje im to poczucie bezpieczeństwa.

*

Natalka chętnie słuchała mojego wykładu o porodzie,

lecz to, co mówiłam o znieczuleniu zewnątrzoponowym wyraźnie jej się nie podobało. Pomimo że reszta grupy była zainteresowana tematem, zadała mi pytanie:

– Po co o tym w ogóle wspominasz? – I natychmiast zaczęła swój wywód. – Podkopujesz wiarę kobiet w to, że damy radę urodzić bez klucia w plecy. Nasze ciała należą do nas. Ja wiem, jak działa moje. Na pewno żadnego znieczulenia nie wezmę, wszystkie kobiety w mojej rodzinie rodzą bez znieczulenia, to tradycja. Chcę mieć idealny poród.

W pierwszej chwili chciałam sprostować jej wypowiedź, mówiąc, że trochę się zapędziła z tą tradycją; ani mama, ani tym bardziej babcia raczej nie miały szansy na znieczulenie podczas porodu (nie te czasy), ale powstrzymałam się. Wiem, że do dziś w wielu polskich szpitalach kobiety nadal nie mają takiej możliwości. Nawet nie poruszyłam tematu „podkopywania wiary”, z doświadczenia wiem, że kobiety z podobnym nastawieniem często proszą o znieczulenie w trakcie porodu. Po minach koleżanek z grupy widziałam, że nie podzielały jej zdania. A idealny poród – co to znaczy? Nikt nikomu nie może tego zagwarantować. Być może zdarzy się, że będzie niezbędne cięcie cesarskie, dziecko będzie musiało zostać oddzielone od mamy i poddane obserwacji na oddziale noworodków, łóżysko może być niekompletne i niezbędny stanie się zabieg wyłyżeczkowania macicy,

a być może konieczne będzie znieczulenie. I co wtedy? Nastawienie Natalki, szczerze mówiąc, nie napawało mnie optymizmem. Wszystko już zaplanowała, a to jedynie daje fałszywe poczucie bezpieczeństwa i rodzi mylne przekonanie, że wystarczy odpowiednie podejście, by poród był wspaniały.

Lecz Natalka dokładnie wiedziała, czego chce, w jej przypadku znieczulenie nie wchodziło w grę. Poprosiła swojego męża Ryśka, żeby ją przywołał do porządku i wspierał, gdyby, nie daj Boże, chciała zmienić zdanie.

*

Jej poród przedłużał się, tak jak u większości kobiet, które za wszelką cenę chcą ukryć niepokój i nie przyznają się do niego. Pomimo intensywnych skurczów twarda szyjka macicy nie chciała wypuścić na świat niezbyt dużego dziecka. Natalka była zaskoczona intensywnością swoich odczuć. Z godziny na godzinę ból się wzmacniał. Bała się kolejnego skurczu, a to był dopiero początek (dwa centymetry rozwarcia). Rysiek tulił ją do siebie, próbował pocieszać. Odtrącała go, nie pozwalała się dotykać. Widać było, że jest na siebie zła. Czuła, że „utknęła”, została uwięziona w bólu. Intelkt ją na to nie przygotował. W końcu powiedziała ledwie słyszalnym głosem:

– Jeannette, nie daję rady, proszę o znieczulenie.

– Ona nie mówi poważnie. Prawda, Natałko, że żartujesz? – odezwał się Rysiek, który czuł się z nią umówiony na odwołanie jej od tego pomysłu.

– Milcz – skarciła go nieswoim głosem i spojrzała na niego takim wzrokiem, że nie odezwał się już ani słowem. Nigdy nie widział jej tak bezradnej.

– Głupio mi. Przepraszam – powiedziała po chwili.

– Nie musisz przeproszać, nikogo nie zawiodłaś, poród ma swoje prawa – próbowałam ją uspokoić, szukając w telefonie numeru do anestezjologa.

Pojawił się lekarz. Po kilkunastu minutach znieczulenie zaczęło działać, aparat KTG rejestrował równie silne skurcze, ale odczucia były nieporównywalne do wcześniejszych. Natałka zebrała siły, sprawnie urodziła, była zadowolona. Dla niej właśnie taki poród okazał się idealny, na pewno będzie go dobrze wspominać.

NIC

Nie wiem, co jest cenniejsze – czy to, że kobiety dostają w mojej szkole wiedzę budującą w nich wiarę, że będą miały siłę przejść przez poród, czy to, że mogą opowiedzieć tu o swoich przeżyciach, o których nigdy wcześniej nikomu nie mówiły.

*

Krysia przychodziła na zajęcia Szkoły Narodzin sama. Była jedyną kobietą w grupie bez partnera, do nikogo się nie odzywała. Za każdym razem siadała na tym samym worku sako w kącie sali. Na pierwszych zajęciach, oprócz podania imienia, nic o sobie nie powiedziała.

Przyglądałam się jej uważnie. Zauważyłam, że gdy opowiadałam o porodzie naturalnym, patrzyła w skupieniu na mnie, a nie jak zwykle w podłogę.

Na ostatnich zajęciach, gdy żegnałam się z grupą (wszyscy wymieniali się numerami telefonów i e-mailami), Krysia nieśmiało zabrała głos.

– Chciałam wam opowiedzieć coś o sobie. – Oczy

większości osób zwróciły się w jej stronę. – To moje drugie dziecko, pierwsze ma cztery lata. Mieszkałam wtedy w innym mieście. Poród mnie przerażał, panicznie bałam się bólu. Już od początku ciąży strach paraliżował mi mózg.

Gwar ucichł, wszyscy wsłuchali się w jej opowieść.

Znalazła prywatną klinikę, umówiła się z lekarzem na cesarskie cięcie w trzydziestym ósmym tygodniu ciąży. Był sierpień, upały dochodziły do trzydziestu stopni, a to nie najlepsza pogoda dla ciężarnych. Jej organizm zaczął zatrzymywać wodę, puchła z dnia na dzień coraz bardziej. Ciśnienie tętnicze miała w normie, wyniki badań laboratoryjnych również. Lekarz jednak zdecydował się przyspieszyć operację o tydzień, co przyjęła z ulgą – za dwa dni był najbliższy wolny termin. W sali operacyjnej towarzyszył jej mąż. Gdy usłyszeli popłakiwanie dziecka, Czarek mocno ścisnął ją za rękę. Chyba pierwszy raz w życiu zobaczyła w jego oczach łzy wzruszenia. Ona nic nie czuła. Nawet wtedy gdy lekarka neonatolog przekazała informację, że mogą zobaczyć synka tylko na chwilę: był, jak się wyraziła, „głębokim” wcześniakiem, źle oddychał, musiał natychmiast znaleźć się w inkubatorze. Spojrzała obojętnie na pomarszczone maleństwo. Usłyszała ostrą wymianę zdań między panią neonatolog a jej lekarzem. Chodziło o źle ocenioną wagę dziecka i źle obliczony termin porodu. Rzeczywiście chłopczyk był malutki: ważył 2300 gramów i był

przedziwnie chudy. Zakończenie operacji obwieścił szcęk składanych narzędzi. Wychodzący z sali lekarz rzucił przez ramię:

– Gratuluję, synek urośnie, proszę się nie martwić.

Dotykała prawie płaskiego brzucha z opatrunkiem. I to wszystko? Nie miała wcześniej żadnych wyobrażeń, ale przecież „cud narodzin” powinien potrać najczulsze struny w sercu. Nic takiego nie poczuła, żadna struna nie zadrżała.

Następnego dnia zapadła decyzja, żeby przenieść dziecko i matkę do szpitala państwowego. Tłumaczono, że wcześniak musi zostać przynajmniej dwa tygodnie w szpitalu. Pozostawienie go w prywatnej klinice naraził młodych rodziców na spore koszty; to ich przekonało. Gdy wrócili do domu, malec ważył 2500 gramów i jadł sztuczne mleko. Pokarm w piersiach nawet się nie pojawił.

Już pierwszej nocy w domu Krysia czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego. Wcześniej bezsenność mogła zrzucić na trudne warunki szpitalne. Dołączył się też dodatkowy element: gdy przysnęła na kilka minut, budziła się zlna potem, trzymała się za brzuch, z lękiem zauważała, że nie ma w nim dziecka. Dopiero po chwili wzrok dostrzegął stojącą obok łóżka kołyskę ze słodko śpiącym maluchem. Co za szczęście! Kiedy indziej obracała się w nocy z boku na bok tak, jak to zwykle czynią ciężarne – ostrożnie i powoli. Coraz częściej,

budząc się i widząc, że nie jest w ciąży, zamierała z przerażenia. Niemałą chwilę zajmowało jej zorientowanie się w sytuacji. Mąż gładził ją po głowie, przytulał; nic nie pomagało. W końcu umówił Krysię na rozmowę z psychologiem i na wszelki wypadek zarezerwował termin u psychiatry. Poszła chętnie. Czowała się tak, jakby jej mózg nie zarejestrował porodu. Kilka wizyt u psychologa wystarczyło.

*

Krysią poprzysięgła sobie, że kolejne dziecko spróbuje urodzić drogami natury. Musiałam jej przyrzec, że będzie miała znieczulenie zewnątrzoponowe w trakcie porodu, bo nadal bała się bólu. Cóż, przyrzekłam i udało się doskonale.

Po kolejnych dwóch latach spotkałyśmy się znowu. Krysią urodziła swoje trzecie dziecko, tym razem już bez znieczulenia.

TAM NA DOLE

Już na pierwszych zajęciach zwróciło moją uwagę, że Klarę najwyraźniej zaskakuje przekazywana przeze mnie wiedza. Rumieniła się, spuszczała oczy, zwłaszcza gdy padały słowa: pochwa, szyjka macicy czy seks w ciąży. Widziałam jej reakcję na ćwiczenie, które zadaję do domu pod koniec pierwszych zajęć. Proszę, by każda z kursantek spróbowała znaleźć swoją szyjkę macicy, która znajduje się na końcu pochwy i ma „konsystencję” czubka nosa. Dokładnie tłumaczę, jak najłatwiej wykonać to ćwiczenie: najlepiej w pozycji stojącej, opierając jedną nogę na przykład o wannę; należy włożyć dwa palce głęboko do pochwy (wskazujący i środkowy), próbując dotknąć kości ogonowej od wewnątrz. Ciężarne są często zaskoczone moją prośbą, nie udaje im się zapanować nad wyrazem twarzy. Część kobiet jest zaciekawiona, część rozbawiona. Na niektórych twarzach maluje się lęk, wstyd, a nawet obrzydzenie (co przekłada się często na brak kontaktu ze swoim ciałem w trakcie porodu). Jakbym słyszała kłębiące się w niektórych głowach myśli: Już ja sobie nigdzie palców wkładać nie będę. Jeżeli tak pomyślałaś, to tym bardziej to ćwiczenie jest dla ciebie ważne – zwykle mawiam.

*

Ciężarne stoją u progu wielkiego życiowego zadania. Hormonalnie ciąża, a jeszcze bardziej poród, to eksplozja kobiecości. Cudownie, jeżeli dają sobie prawo, by bez lęku podążać za ciałem, które wie, jak wydać dziecko na świat. Od pokoleń kobiety przekazywały sobie tę bezcenną wiedzę. Ma to ścisły związek z seksualnością. Stare, doświadczone położne mawiały: „Jaki seks, taki poród”. Nie miały bynajmniej na myśli czasu trwania tego aktu, lecz jego jakość. W trakcie seksu, poprzez zmienianie się oddechu, wydawanie dźwięków, ciało uzyskuje maksimum rozluźnienia. Odgłosy z sali porodowej są niemal identyczne z tymi z sypialni, ale podczas porodu oddech ratuje życie, a westchnienia czy jęki pomagają zmniejszyć napięcie ciała, które pamięta rozkosz spełnienia, a teraz otworzy się, by wydać na świat nowe życie. Bywa, że istnieją psychiczne blokady, związane z bolesnymi wydarzeniami dotyczącymi obszaru seksualności, gwałtem, przemocą lub restrykcyjnym wychowaniem, w którym sfera seksu pozostawała tematem tabu.

Patrzyłam na Klarę, zawsze milczącą, zawsze wycofaną, i zastanawiałam się, jak poradzi sobie z uruchomieniem tej potężnej maszyny, jaką jest poród.

Klara miała dwadzieścia dwa lata, jej niewiele starszy narzeczony studiował w USA. Ciąża była

owocem ich wakacyjnego spotkania, tęsknoty wystawionej na próbę przez długie miesiące roku akademickiego. Matka dziewczyny nie była zachwycona ani ciążą córki, ani nikomu niepotrzebną edukacją na temat rodzenia. Justyna, ciotka Klary (żona jej wuja), z którą rodziłam troje dzieci, opłaciła Klarze udział w Szkole Narodzin, poród ze mną oraz indywidualny pokój po porodzie. Początkowo myślałam, że to tylko hojny gest ciotki, ale okazało się, że chodzi o coś więcej.

Dziewczyna trafiła na oddział patologii ciąży prawie dwa tygodnie po terminie. Poddawano ją wielokrotnym indukcyjom, otrzymała w kroplówkach hektolitry oksytocyny – bezskutecznie. Ostatecznie zdecydowano się na przekłucie pęcherza płodowego i przeniesiono ją do sali porodowej. Towarzyszyłam jej przez dwanaście godzin. Macica nie wykazała się choćby jednym skurczem. Jej organizm powiedział: nie. Dziecko urodziło się przez cesarskie cięcie. Dwa dni później odwiedziłam moją pacjentkę w szpitalu, w jednoosobowym pokoju z kolorową pościelą. Zastałam ją siedzącą na idealnie zasłanym łóżku. Wyglądało to tak, jakby przed chwilą zajęła pokój. Na szafkach nic nie stało, osobiste rzeczy były pochowane. Dziecko leżało idealnie na środku plastikowego łóżeczka na kółkach, nawet kocyk nie miał żadnej fałdki. Podłoga w pokoju, pomimo topniejącego na zewnątrz śniegu, była idealnie czysta. Weszłam do łazienki umyć ręce, a tam to samo: ręczniki ułożone w kostkę na taborecie, żadnego

kosmetyku na umywalce, jedynie na kaloryferze suszyła się szmatka przeznaczona do przecierania podłogi po gościach.

Klara o nic nie pytała, nie potrzebowała żadnych rad. Gdy maluch obudził się, nakarmiła go sztucznym mlekiem z butelki, twierdząc, że nie ma pokarmu. Sprawdziłam, w piersiach rzeczywiście było pusto (zdarza się to niezwykle rzadko).

Byłam zaniepokojona tą sytuacją. Przed czym Klara ucieka w ten chorobliwy moim zdaniem pedantyzm? Wychodząc ze szpitala, spotkałam Justynę, szła do niej z wizytą. Zaprosiłam ją na kawę, zapytałam o matkę Klary, która nawet nie pojawiła się w szpitalu. Moje przypuszczenia się potwierdziły. Dziewczyna została wychowana w przekonaniu, że wszystko, co dotyczy sfery seksu, jest brudne i grzeszne. Dorastała w poczuciu winy, że jest kobietą. Justyna o tym wiedziała, starała się pomóc Klarze, w jej rodzinie nastawienie było zupełnie inne. To trudne do pojęcia, że w XXI wieku można dziecku wyrządzić taką krzywdę, i że takie rzeczy w ogóle się zdarzają.

*

Około ośmiu tygodni po porodzie Klara zadzwoniła do mnie, opisując dolegliwości „tam na dole”, które wyglądały mi na stan zapalny pochwy. Poleciałam jej

wizytę u ginekologa, która i tak czekała ją po porodzie. Czułam wyraźny opór z jej strony. Przekonywałam, że powinna pójść jak najszybciej, globulki, które przepisze lekarz, złagodzą przykre objawy.

– I co mam z nimi zrobić? – usłyszałam w słuchawce.

– Jak to co? Globulkę należy włożyć do pochwy – tłumaczyłam.

– Do pochwy? Nie dam rady.

– Klara, przecież... – Wyłączyła się.

ROZKOSZ

Wielu kobietom, ku ich radości, dane jest na szczęście mieć dobry kontakt ze swoją kobiecością. Czasami docierają w głąb siebie bardziej, niżby się tego spodziewały. I to właśnie poród je tam prowadzi.

*

Łucja i Marcin pochodzili z Łodzi. Młoda para (oboje mieli po dwadzieścia pięć lat) mieszkała w stolicy od pół roku. Rzadko oglądałam telewizję, więc nie zorientowałam się, że moja podopieczna jest aktorką grającą w jednym z modnych seriali. Obejrzałam jeden z odcinków: Łucja, w pełnym makijażu, grała postać dojrzałej kobiety, niby delikatnej, ale sprytnie manipulującej mężczyznami. Przede mną, kiedy się spotykałyśmy, siedziała młodziutka, wiecznie rumieniąca się dziewczyna. Całą rodzinę zostawiła w Łodzi, tęskniła za rodzeństwem, ukochanym tatą, ale najbardziej za mamą i babcią. W trakcie porodu, gdy skurcz przybierał na sile, zamykała oczy i przywoływała je, tak po dziecięcemu:

– Babuniu, pomóż mi. Mamusiu bądź teraz ze mną, dlaczego cię nie ma?

Rozumiałam ją doskonale, pamiętam, jak bardzo brakowało mi bliskich, gdy rodziłam swoje pierwsze dziecko.

Poród przyspieszył, zaproponowałam Łucji kąpiel. Był wieczór, zapaliłam świece i ustawiłam je na brzegu wanny. Włączyłam radio z miłą muzyką (akurat śpiewała Enya), zrobiło się bardzo nastrojowo. Marcin klęczał na podłodze i nerwowo ścisnął żonę za rękę.

– Nie tak mocno, łamiesz mi kości – napominała go raz po raz.

Biedak miał dolegliwości jelitowe, które nasilały się wraz z postępem porodu. Co chwila trzymał się za brzuch, często znikał w toalecie (wielu mężczyzn podobnie reaguje na stres porodowy). Siadałam wtedy przy Łucji na taborecie, gładziłam ją po mokrych włosach i twarzy, subtelnie kobiecej mimo wysiłku. Dotykałam delikatnie miejsca na czole między brwiami (pamiętam, że tak usypiałam moje dzieci). Widziałam, że to ją odpręża. Zaczęła przec, poprosiłam, by wyszła z wanny. Odmówiła, choć wcześniej nie planowała porodu w wodzie ani nawet, jak później mi wyznała, nie miała pojęcia, że taki poród jest w ogóle możliwy. Dziecko miało prawidłowe tętno, nie było przeciwwskazań, więc zgodziłam się, żeby pozostała tam, gdzie jest jej wygodnie.

Gdy zaczęła odczuwać parcie, nie wiadomo skąd jej ciało wiedziało, że powinna zmienić pozycję. Uklękała na kolanach, zarzuciła rękę Marcinowi na szyję, przyciągnęła go do siebie i zaczęła namiętnie całować. Drugą ręką pod wodą dotykała swojej łechtaczki. Gdy zaczął się skurcz, nie przerywała pocałunku. Marcin spojrział na mnie zdezorientowany. Dałam mu znak, że Łucji to najwidoczniej pomaga. Zamknął oczy, czule ją objął i skupił się na całowaniu. Pozostało mi tylko pilnować, żeby główka dziecka nie urodziła się zbyt szybko (mogłaby rozerwać tkanki krocza).

– Teeraaaz – Łucja wydała przeciągły krzyk, a raczej jęk rokoszy. Po chwili długie włoski Witusia falowały pod wodą. Reszta ciała wypłynęła z łatwością razem z kolejną falą orgazmu rodzącej.

– Urodziłam w wodzie? – zapytała zdziwiona, gdy podawałam jej ociekające wodą dziecko.

*

Po miesiącu postanowili wrócić do Łodzi. Przyszli do mnie z kwiatami. Łucja dziękowała za to, że głaskałam ją po głowie, jak matka, której tak bardzo jej wtedy brakowało. Opowiadała, że czuła w trakcie porodu jakiś dziwny związek ze wszystkimi kobietami, które kiedykolwiek rodziły. Na początku myślała, że to majaki wywołane bólem, ale nie: ta niezwykła kobieca siła

zaczęła nią kierować, podpowiadała konkretne działania. Dzięki niej zanurzała się głęboko w siebie, aż do miejsca, gdzie powstawał ból. Nie walczyła z nim, pozwalała mu przepłynąć i jakimś cudem przetransformowała go w przyjemność, wręcz rozkosz. Czuła się bezpiecznie, dzięki temu przeżyła najcudowniejszy i najbardziej intensywny orgazm w swoim życiu.

Doznania wywołane orgazmem miały jeszcze dwie moje rodzaje. To moim zdaniem niezbyt imponujący wynik jak na dwadzieścia pięć lat pracy przy porodach. Niestety nie da się tego zaplanować. Może kiedyś kobietom będzie dane powrócić do swojej Natury.

RYTM

Pełnia księżycy. Za mną kolejny dyżur. Wróciłam z pracy nad ranem, próbowałam się zdrzemnąć, ale już po dwóch godzinach wybudziłam się ze snu. Trudno po takim czasie czuć się wypoczętą. Zrobię sobie dzisiaj urlop! Przyda mi się odpoczynek, zostanę w łóżku. Ale moje myśli i tak krążyły wokół porodów...

Księżyc w pełni często oznacza dla położnych pracowitą noc, wiele kobiet właśnie wtedy rodzi swoje dzieci. To on kieruje ruchem płynów w organizmie człowieka, to jego potężna siła jest w stanie poruszać oceany w czasie przypływu i odpływu. Ze względu na swoją zmienność kojarzony jest z naturą kobiety (wiele ludów widziało w nim żonę symbolizującego męskość słońca). Jego związek z kobiecością jest odwieczny. Księżyc rodzi się z ciemności, osiąga pełnię, a potem maleje i znika. Taki sam jest rytm kobiecego ciała. Jajeczko dojrzewa, osiąga pełnię, by przeminąć. Następny cykl jest nadzieją na nowy początek. Okres szczytowej płodności u wielu kobiet wypada dzień przed pełnią księżycy lub w jej trakcie, a podczas nowiu (ciemnego księżycy) rozpoczyna się comiesięczne krwawienie.

Rytm ten był dobrze znany naszym przodkiniom, co przepięknie opisuje Anita Diamant w książce *Czerwony namiot*. Dlaczego o tym zapomnieliśmy i spoglądając na srebrną tarczę księżyca, czujemy tylko niepokój? A przecież świeci niezmiennie, tak samo jak w czasach, gdy patrzyły na niego nasze dawne siostry. Miesiączkowanie wyznaczało porządek ich dni. Wycofywały się ze swoich codziennych prac, nie przygotowywały posiłków, spędzały ten czas, doświadczając odnowy. Ucztowały, odpoczywały, modliły się o pomyślność, odprawiały ceremonie. Po kilku dniach z nowymi siłami włączały się w życie społeczności.

Różnica pomiędzy nimi a nami jest zasadnicza – współczesnym kobietom nie przysługują w czasie menstruacji dni „urlopu”. Dzisiejsze kobiety, miesiączkując bez ulg i odpoczynku, wypełniając przy tym sumiennie wszystkie domowe i zawodowe zadania, tylko oszukują swoje ciała. A te przecież nie są w stanie funkcjonować bez ustanku, zwłaszcza przy osłabieniu fizycznym w trakcie miesiączki. Wygląda na to, że utraciliśmy coś ważnego, a nowoczesny rytm wyznacza nam napięcie przedmiesiączkowe. Nie uda się zmienić praw natury.

Kobiety w czasach intelektu już nie ufają „księżycowej wiedzy” – refleksyjnej i intuicyjnej – która przychodzi w snach przed miesiączką lub w trakcie jej

trwania, ujawniając nasze emocje i pragnienia. Wystarczy słuchać i czuć.

*

Podobnie, poprzez przeczucia, przychodzą informacje, kiedy lekarze, położne, ale też na przykład ratownicy znajdują się w ekstremalnie trudnych sytuacjach. Jakby mieli dostęp do jakiejś przestrzeni uniwersalnej wiedzy. Wiele razy było mi dane z tej wiedzy skorzystać. Gdy dla dobra kobiety lub jej dziecka byłam zmuszona robić coś pierwszy raz (na przykład wyłyżeczkowanie macicy), zaskoczona byłam przedziwną pewnością, z jaką działałam. Zdarzało mi się przy obfitym krwawieniu z tkanek krocza zakładać szew zamykający naczynia, o którym czytałam potem w podręczniku, dziwiąc się, że taki w ogóle istnieje. Niejednokrotnie impuls kazał mi natychmiast wstać i iść posłuchać tętna dziecka, pomimo że przed chwilą to robiłam. Okazywało się, że nie było idealne.

Nauczona doświadczeniem nie pozwalam kłócić się mojemu rozumowi z intuicją, kiedy ta daje mi wyraźne znaki. Choć zdarza się, że czasem ze mnie żartuje, a niekiedy wystawia na próbę.

Przypadek

Iza była mała i drobna, miała nienaturalnie bladą twarz, czarne krótkie, postrzępione włosy i przenikliwe oczy w kolorze najciemniejszej nocy. Uśmiechała się rzadko. Pomimo słonecznego lata opatulala się szalem lub nosiła ciepły sweter, ciągle było jej zimno. Gdy z nią rozmawiałam podczas naszych spotkań przed porodem, nie byłam pewna, czy mnie słucha, rzadko patrzyła mi w oczy. Była nerwowa, miała rozbiegany wzrok. Z medycznego punktu widzenia z ciążą było wszystko w porządku, jednak miałam wrażenie, jakby w dziewczynie coś narastało, wyczuwałam to coraz mocniej. I nie myliłam się.

Wcześniej rano Remek, jej mąż, poinformował mnie przez telefon, że Iza ma skurcze co trzydzieści minut, są bardzo silne. Postanowili jednak jeszcze poczekać w domu. Przyjęłam informację do wiadomości, niespecjalnie ekscytuję się dwoma skurczami na godzinę. Za jakiś czas kolejny telefon:

– Iza ma skurcze co piętnaście minut, krzyczy, że ją potwornie boli, zdiera paznokciami farbę ze ściany, ma dreszcze – usłyszałam w słuchawce.

– Jak długo trwa skurcz?

– Dziesięć sekund.

Wy tłumaczyłam Remkowi, że to dopiero początek, skurcze muszą być dłuższe. Poleciałam, by przygotował

jej ciepłą kąpiel i zapalił świecę w intencji dobrego porodu. Rodząca rzuciła w świecę kapciem, a do wody wejść nie chciała. Przy skurczach co dziesięć minut Remek błagał mnie o pomoc. Gdy usłyszałam w tle nieludzkie krzyki i zawodzenie, kazałam mu natychmiast przywieźć Izę do szpitala. Do izby przyjęć wniósł ją na rękach. Między skurczami była w jakimś takim kontakcie, natomiast w skurczu zachowywała się tak, jakby budziło się w niej jakieś dziwne zwierzę: miała nienaturalnie wykrzywioną twarz. Musiałam zebrać myśli: przecież to początek porodu, skurcze co dziesięć minut nie mogły dać oczekiwanego postępu. Między skurczami udało mi się ją w końcu zbadać. Tak jak przypuszczałam, szyjka macicy była zamknięta. Gdy dotykałam jej brzucha, poczułam lęk bezbronnej istoty. Już wiedziałam, w którym kierunku ma iść moja pomoc – mam walczyć o dziecko. To była dla mnie zupełnie nowa sytuacja: z każdą rodzącą mam pełny kontakt, jak widać nie tym razem. Teraz cała moja uwaga była skoncentrowana przede wszystkim na maluchu.

*

Zbliżał się skurcz. Iza zeskoczyła błyskawicznie z fotela, z szybkością wręcz nienaturalną dla rodzącej. Zaczęła się miotać, potrącała sprzęty, przewróciła lampę zabiegową. Przestrzeń gabinetu wydawała się dla niej za

mała. Bałam się, że jeżeli skurcz potrwa dłużej, zdemoluje pokój, to pewne. Ból wyzwalał u niej reakcje, które były poza jej kontrolą. W przerwie między skurczami udało mi się z pomocą Remka zabrać ją do sali porodowej, poprosiłam lekarzy o wcześniejsze znieczulenie zewnątrzoponowe.

Anestezjolog wiedział, że ma około siedmiu minut na znieczulenie pacjentki, tyle trwała przerwa między skurczami; działał niezwykle sprawnie. Po podaniu leku wymagana jest pozycja leżąca. Znieczulenie zacznie działać po około dziesięciu minutach. Boże, jak ją zatrzymać? Staliśmy z Remkiem naprzeciw siebie po obu stronach łóżka. Gdy zaczął się skurcz, jedno porozumiewawcze spojrzenie i oboje rzuciliśmy się całym ciężarem swoich ciał na rodzącą – udało nam się ją unieruchomić.

Iza zaczęła wyrzucać z siebie wulgaryzmy. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek w życiu usłyszała tyle wyzwisk pod swoim adresem. Jej twarz wykrzywiona nieludzkim grymasem wyglądała strasznie.

– Przestań się modlić, idiotko, nic ci to nie da! Nic ci do tego dziecka, jest moje! – wykrzykiwała.

Czułam się jak w horrorze. W filmie pojawia się w tym momencie egzorcysta, ale to niestety nie był film.

W miarę jak znieczulenie zaczynało działać, rodząca uspokajała się. Robiłam wszystko, co umiałam, by poród nie trwał długo. Modliłam się po cichu i prosiłam anioły

o prowadzenie i pomoc. Tak jak przewidywałam, przy parciu reagowała agresywnie, nie zwracałam na to uwagi. Wspierali mnie dyżurni lekarze, niczemu się nie dziwili; na nich zawsze mogę liczyć. Byłam skupiona na dziecku i tylko na nim. Staralam się nie patrzeć na rodzącą, każde spotkanie naszych oczu wciągało mnie jak czarna dziura. Gdy urodziła się Ewunia, na wszelki wypadek, zamiast położyć dziecko matce na brzuchu, podałam je najpierw ojcu.

Przy porodzie łożyska Iza straciła dużo krwi, ale chyba po raz pierwszy nie martwiłam się tym. Nie wiem, czemu właśnie w tej chwili przypomniałam sobie, jak babcia Józefa mawiała, że w trakcie miesiączki złe wychodzi razem z krwią. Może porodu też to dotyczy? Co prawda zaraz potem babcia rozwodziła się nad charakterem mężczyzn, którym Bóg nie dał takiej szansy. Uśmiechnęłam się do tych wspomnień. Co też człowiekowi przychodzi do głowy, żeby zredukować stres, pomyślałam.

Rozmawiałam o tym wszystkim z Remkiem. Był wstrząśnięty tym, co nas spotkało, obiecał, że znajdzie kogoś, kto jej pomoże. Iza po porodzie była spokojna, karmiła i przewijała swoją córeczkę, nawet jej twarz przybrała łagodne rysy. Ale ja patrzyłam na to wszystko z dużą rezerwą. Prosiłam położne, by nie spuszczały z niej oka. Wiem, że lekarze mieli w pogotowiu numer do psychiatry.

*

Po tym porodzie byłam bardzo zmęczona, spałam prawie dwadzieścia godzin. Mąż przyjmował moje telefony i nie pozwalał mnie budzić. Mój organizm musiał najwidoczniej uzupełnić utraconą energię. Wtedy jeszcze nie potrafiłam radzić sobie z podobnymi przypadkami. W trakcie tego porodu miałam gęsią skórę na całym ciele. Dzisiaj już wiem, że tak właśnie reaguję na obecność dziwnych, nieprzyjemnych energii i nie udaję, że ich nie ma. Ale wtedy byłam w takiej sytuacji po raz pierwszy. Zrozumiałam, że przede wszystkim nie wolno się bać. Lęk paraliżuje.

OTWÓRZ OCZY

Trudny czas. Nawarstwiło się sporo kłopotów organizacyjnych w związku ze Szkołą Narodzin. Minęły dwa lata i wyglądało na to, że czeka mnie za półtora miesiąca kolejna zmiana miejsca (właściciele wynajętej przeze mnie posesji na Żoliborzu postanowili, dość nieoczekiwanie, wrócić z zagranicy). Co zrobić? A może by tak zaadaptować mieszkanie na Mokotowie, do którego niebawem miałam przeprowadzić się z rodziną? Jakoś to im wytłumaczę, przecież mamy gdzie mieszkać. Głowa pękała mi od myślenia. Wtedy Agata (terapeutka pracy z ciałem, prowadziła ćwiczenia w mojej szkole) spojrzała na mnie i powiedziała stanowczym tonem:

– Czas pójść do Jolki.

– Kto to jest Jolka? – zapytałam.

– To ktoś bardzo serdeczny, zobaczysz, jest psychotronikiem, zajmuje się bioenergoterapią, ona ci pomoże.

Od razu zadzwoniła i umówiła mnie na spotkanie. Czułam się zmęczona, wręcz rozbita; praca, szukanie docelowego miejsca na szkołę, codzienne życie, za dużo tych spraw. Każda pomoc była dla mnie cenna,

wiedziałam, czego się spodziewać, ale poszłam, nie mając żadnych oczekiwań.

*

Wydawało mi się, że Agata wspominała, że Jola jest ode mnie ponad dziesięć lat starsza. Tymczasem drzwi otworzyła mi kobieta zdecydowanie nie wyglądająca na swój wiek, dość drobna, o twarzy Egipcjanki i niezwykłych rozświetlonych oczach. Jak się potem przekonałam, była żywym przykładem na to, jak pozytywnie działa na organizm utrzymywanie ciała i psychiki w harmonii. Powiedziałam, że proszę ją o pomoc, jestem w marnej kondycji, fizycznej, psychicznej, każdej. Nie chciało mi się gadać, ale wciągnęła mnie w rozmowę, nawet nie wiem kiedy. Zastanowiło mnie, że czuję bezgraniczne zaufanie do osoby, którą widzę pierwszy raz; jakbym ją znała od zawsze. Liczyłam, że robiąc mi zabieg, naprawi „energetyczne przewody”. Położyłam się na leżance i z ulgą zamknęłam oczy.

Myśli natychmiast przeniosły mnie nad morze. Szłam pod słońce po pustej, cichej plaży, czułam pod stopami mokry piasek, a na twarzy lekkie podmuchy ciepłego wiatru. Błękitne niebo okrywało mnie całą, morze przynosiło orzeźwienie. Czas nie istniał.

– Weź trzy głębokie oddechy i otwórz oczy –

usłyszałam ciepły głos Joli. Jak to, już?

Okazało się, że minęła godzina, wizyta dobiegła końca. Sądziłam, że czas płynie inaczej tylko w jednym znanym mi miejscu – w sali porodowej. Wieczorem poczułam się zrelaksowana, wypoczęta i przede wszystkim spokojna. W mojej głowie powoli układały się decyzje. Czułam, że będą dobre.

Zajrzałam do pokoju, gdzie rodzina oglądała sympatyczny serial *Dotyk anioła*. Lubiłam ten serial, bohaterami były trzy anioły przybierające ludzką postać, by tu na ziemi opiekować się innymi i pomagać im w trudnych chwilach. Na końcu każdego odcinka ukazywali się swoim podopiecznym otoczeni światłem, dając im przekaz na dalsze życie. Nie do końca traktowałam scenariusz jedynie jako literacką fikcję. Przez głowę przebiegła mi myśl, że może Jola jest takim aniołem.

Tak zaczęła się nasza znajomość, która niebawem przerodziła się w prawdziwą przyjaźń, a ta nie ocenia i nic nie chce w zamian. Znalazłam bliźniaczą duszę. Od niej uczę się, jak świadomie korzystać z intuicji, słucham wewnętrznych podpowiedzi, próbuję uchwycić ten stan równowagi między ciałem, umysłem i duszą, o którym tyle mówi. Nauczyłam się cieszyć każdym drobiazgiem, dziękuję za wszystkie, choćby niewielkie przejawy radości u siebie i innych. Jestem wdzięczna za każde doświadczenie w moim życiu, bo każde jest

specjalnie dla mnie. Jola pomaga mi dojść z nimi do ładu, umieszczając je w szerszym kontekście, nadając im spójne duchowe znaczenie.

Moja przyjaciółka ciągle powtarza z uśmiechem:

– Jeśli się postaramy, życie może być jak wędrówka w letni dzień. Zadbajmy, by mieć jak najlepsze wspomnienia. Zamiast narzekać na pogodę albo niewygodne buty, cieszymy się przyrodą i poznawaniem nowych ludzi. Jesteśmy tu w krótkiej podróży.

NAPIĘCIE

Czy to doświadczenie też było specjalnie dla mnie?

Wygląda na to, że tak, chociaż często doświadczamy, początkowo nic z tego nie rozumiejąc. W trakcie tego porodu wiele razy pytałam: dlaczego, po co?

*

Magdę poznałam, gdy spodziewała się pierwszego dziecka. Miesiąc przed planowanym rozwiązaniem spotkałyśmy się, by porozmawiać o porodzie, poza tym chciałam obejrzeć wyniki jej badań z przebiegu ciąży i założyć niezbędną dokumentację szpitalną (by uniknąć wypełniania formularzy przy przyjęciu). Okazało się, że pomimo krótkowzroczności (trzy dioptrie) nie miała konsultacji okulistycznej, poleciłam jej, by poszła do specjalisty. Po kilku dniach usłyszałam w słuchawce jej przygnębiony głos: nie może urodzić sama, czeka ją cesarskie cięcie. Okulista stwierdził w obu oczach odklejenie siatkówki na dużym obszarze, za dwa dni ma wyznaczony zabieg laserowy, żaden wysiłek obciążający oczy nie wchodzi w grę.

Zdawałam sobie sprawę, że tego rodzaju nagłe decyzje są dla kobiety w ciąży bardzo trudne. Próbowałam ją pocieszać: oczywiście nie ma reguły, ale po dwóch tygodniach od zabiegu okulista najczęściej nie ma nic przeciwko porodowi drogami natury. Przypomniałam jej o tym, co zwykle powtarzam w Szkole Narodzin: nie planuj, nie pisz scenariusza porodu, bo możesz być rozczarowana i niespełniona, jeżeli coś pójdzie nie po twojej myśli. Otwórz się całą sobą na to, co się wydarza, wtedy pojawia się elastyczność w decyzjach, podejmuj je na bieżąco w trakcie ciąży i porodu. Przy takim podejściu zdarzenia nie zostawiają głębokich skaz w psychice i nie podkopują w kobiecie poczucia własnej wartości. Nie potrafisz nie planować? Zaplanuj sobie niespodziankę, to już dużo.

Magda jednak czuła się jak w potrzasku. W uszach brzmiały jej ciągle słowa okulisty:

– Oczywiście może się pani nie zgodzić na zabieg, ale proszę nie mieć pretensji, jak pani oślepnie i nie zobaczy dziecka.

Po takim stwierdzeniu nawet najsilniejsza kobieta nie miałaby szans. Poszła na laser, potem na cesarskie cięcie.

Osiem tygodni po porodzie miała wyznaczoną kolejną wizytę u okulisty. Zmieniła lekarza na innego, poleconego przez przyjaciół. Badanie trwało długo. Okulista uczciwie przyznał, że nic z tego nie rozumie.

Siatkówka w obu oczach była w doskonałym stanie. Nie widać było śladu działania lasera ani jakiegokolwiek patologii. Magda nie mogła w to uwierzyć, na wszelki wypadek postanowiła potwierdzić diagnozę gdzie indziej, usłyszała to samo. Wyglądało na to, że cięcie cesarskie miała bez powodu. Nie mogła sobie darować, że przed wyznaczoną datą operacji nie zbadala jeszcze raz oczu. Były dwie możliwości: albo lekarz ją oszukał, albo doznała cudownego uzdrowienia. Teraz to już było bez znaczenia, postanowiła do tego nie wracać i cieszyć się zdrowiem.

*

Po dwóch latach spotkałyśmy się przy okazji jej kolejnej ciąży. Była wyciszona i, jak twierdziła, żadnego scenariusza nie napisała.

Wojtek zadzwonił do mnie po północy, informując, że Magda ma krwotok. Właśnie wychodziłam ze szpitala. Poprosiłam o przekazanie słuchawki żonie, z mężczyzną trudno rozmawia się o krwi (kobiety dzięki miesiączkom potrafią być bardziej racjonalne w ocenie sytuacji). Wyglądało na to, że odpłynęły wody płodowe podbarwione bardzo intensywnie krwią. Nic ją nie bolało. Poleciłam, by natychmiast przyjechali do szpitala, czekam na nich. Podejrzywałam brzeżne odklejenie łożyska, ewentualnie rzadki przypadek

rozerwania naczynia błędzącego (naczynia krwionośnego na pęcherzu płodowym) przy okazji pęknięcia pęcherza płodowego, może rozejście się blizny po poprzednim cięciu cesarskim. Zobaczymy, tak czy inaczej wiele wskazywało na to, że czeka ją kolejna operacja.

Magda weszła do izby przyjęć obwiązana w pasie dużym ręcznikiem. Całe spodnie miała we krwi. Nie wyglądało to dobrze. W oczekiwaniu na badanie USG wkłułam do żyły wenflon, pobrałam krew z myślą o nieuchronnej operacji. Lekarz sprawdził ciągłość blizny po poprzednim cięciu. Stwierdził też, że nie ma cech odklejania łożyska. Zlecił oksytocynę i skierował pacjentkę do sali porodowej – według niego nie było wskazań do cięcia. Rzadko zdarza mi się czuć wewnętrzny sprzeciw wobec decyzji lekarza. W tym szpitalu praca zawsze polegała na wzajemnym uzupełnianiu się i zaufaniu do kompetencji drugiej osoby. Tym razem patrzyłam na szefa dyżuru z wielkim znakiem zapytania w oczach – nie rozumiałam jego decyzji.

– Jak mam prowadzić taki krwawy poród? Na razie nawet nie ma czynności skurczowej, to może długo trwać. Ile ta kobieta straci krwi? Nawet trudno to ocenić przy tak dużej ilości odpływających wód – próbowałam przekonywać lekarza.

– Jeżeli będą zaburzenia w tętnie płodu, proszę mnie informować, natychmiast zrobimy cesarskie cięcie –

usłyszałam w odpowiedzi.

Jeżeli coś jest dla mnie nielogiczne, próbuję stanąć z boku i zrozumieć, komu potrzebne jest to trudne doświadczenie: dziecku, rodzicom, a może to moja lekcja? Nie miałam czasu do stracenia, szybko zabrałam Magdę do sali porodowej.

*

Pod wpływem oksytocyny dość szybko udało się uzyskać efektywne skurcze. Po godzinie rodząca błagalnym wzrokiem prosiła o znieczulenie w pierwszym możliwym momencie. Miała już dwa centymetry rozwarcia, nie było na co czekać. Musiałam się spieszyć, po kolejnej godzinie nastąpiło pełne rozwarcie, krwi było nadal sporo. Magda współpracowała wspaniale, wytłumaczyłam jej dokładnie, co ma robić, od tego sporo zależało. Nadszedł czas, by wezwać zespół (dodatkową położną, neonatologa i szefa dyżuru). Tętno dziecka było w granicach normy, choć czułam, że nie mamy dużo czasu. Urodziła się główka, z kanału rodnego zaczęły wypadać wielkie skrzepy krwi. Czyżby rozeszła się blizna po cięciu cesarskim? Ujęłam główkę dziecka w obie dłonie, by je szybko wydobyć, i poczułam, że dziecko w ogóle nie ma napięcia mięśniowego. Jak to możliwe?! Przecież minutę wcześniej tętno było dobre!

Całą sobą nie dawałam zgody na to, co się dzieje. Natychmiast wyjęłam wiotkie ciało zupełnie bez życia. Proszę, tylko nie to, nie zgadzam się – powtarzałam żarliwie w duchu. Położyłam dziecko na brzuchu mamy i w tej chwili czas się zatrzymał. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie.

Lekarka neonatolog włożyła cewnik do żołądka maleństwa, by odessać połkniętą przez nie krew. Jeżeli chcesz tu zostać, musisz oddychać! – krzyczałam w myślach. Położyłam jedną dłoń na jego główce, a drugą na małych pośladkach. W tym momencie wiotkie rączki i nóżki poruszyły się i zaczęły szybko odzyskiwać napięcie. Wszystko trwało nie dłużej niż minutę i ostatecznie maluch dostał dobrą punktację w skali Apgar (osiem punktów).

Gdy urodziło się łożysko, odkryłam, że rzeczywiście rozerwało się jedno z naczyń błędzących. Zszyłam nacięte krocze, utratę krwi oszacowałam na 1500 mililitrów. Martwiłam się, że Magda będzie bardzo słaba; myliłam się. Po dwóch godzinach od porodu wzięła prysznic i ledwo udało mi się ją zmusić, by dała się zawieźć na oddział położniczy, chciała iść na własnych nogach.

Po zakończonej pracy opadłam bez sił na fotel w korytarzu bloku porodowego. Nieprzytomnym wzrokiem patrzyłam na zegar wiszący na przeciwległej ścianie. Jego wskazówki przesuwają się zadziwiająco

szybko. Siedziałam godzinę, a czułam, jakby to była krótka chwila. Coś się stało z czasem albo ze mną.

*

Ledwie dowlokłam się do domu, nie miałam ochoty nawet na śniadanie podsunięte przez męża. Przypłaciłam ten poród olbrzymim zmęczeniem, wciąż analizowałam jego przebieg. Zapewne w momencie dotykania główki gwałtownie straciłam olbrzymią ilość energii, której nie byłam w stanie teraz uzupełnić. Miałam dreszcze i choć wydawało mi się to mało możliwe, czułam, że moje ciało składa się z oddzielnych atomów. Każdy z nich drgał w innym rytmie jak rozstrojony instrument. Pomimo to próbowałam zrozumieć, jak to się stało, że dziecko i matka wyszli z tego porodu bez szwanku. Czułam w tym jakiś swój udział, ale jak udało mi się uruchomić taką energię i jak potrafiłam ją przekazać – nie miałam pojęcia. Wiedza, jaką posiadałam z zakresu położnictwa, była w tym wypadku bezużyteczna.

Przez kilka godzin leżałam bez ruchu. Próbowałam znanych mi ćwiczeń oddechowych, które służyły też uzupełnieniu poziomu energii w organizmie. Nic nie pomagało. Wrażenie rozpadania się na atomy pogłębiało się, towarzyszyło temu dziwne uczucie bólu całego ciała. Patrzyłam na swoją rękę, która wyglądała niby normalnie, ale gdy jej dotykałam, nie czułam swojego

ciała w zwyczajny, ludzki sposób. Jakbym dotykała mgły. Opuszczały mnie siły. Mój racjonalny umysł pracował bardzo wolno, był obserwatorem, próbował rejestrować doznania płynące z ciała.

Chciałam zasnąć, ale mój organizm zapomniał, jak to się robi. Zadzwoiłam do Joli, poprosiłam ją o pomoc, wiedziałam, że sama szybko się nie pozbieram, nie tym razem. Słyszając mój dziwny głos, obiecała, że zaraz będzie u mnie.

Już po jej minie było widać, że nie jest ze mną dobrze. Włączyła muzykę, miałam skupić się na czymś przyjemnym, zamknęłam oczy. Wydawało mi się, że upłynęło ledwie kilka chwil, gdy usłyszałam:

– Weź trzy głębokie oddechy.

Jak to, już? Czułam jednak, że wstępuje we mnie życie. Ciało się wyciszało, odzyskiwałam spokojny, głęboki oddech.

– Jolu, myślałam, że zajmie ci to więcej czasu.

– Rzadko robię zabieg aż pół godziny.

Czekałam, co powie.

– Jeannette, okupiłaś ten poród nie tylko utratą sił fizycznych, musiałam wyregulować poziomy energetyczne i wyciszyć rozedrgany układ nerwowy. Podzieliłaś się swoją energią życia z matką, a zwłaszcza z dzieckiem.

– Chcesz mi powiedzieć, że za każdym razem po trudnym porodzie będę się tak czuła? – zapytałam trochę

wystraszona.

– To zależy od ciebie. Wiesz, że powinnaś więcej czasu poświęcić sobie, więcej odpoczywać, postaraj się codziennie na parę minut usiąść do medytacji. Poza tym jest sporo ćwiczeń, które integrują ciało, umysł i duszę, poznawaj je i bądź w tym konsekwentna. Masz pracę, która wymaga od ciebie dobrej kondycji i świadomości na różnych poziomach, a ten poród był tego przykładem.

Zrozumiałam, że otworzył się przede mną nowy poziom odczuwania i postrzegania. Musiałam to sobie wszystko powoli poukładać w głowie. W głowie? Ona tu miała najmniej do powiedzenia.

IZBA

Tutaj często rodzi się opinia na temat szpitala: miło, niemiło, kompetentnie lub nie. Izba przyjęć to zderzenie dwóch światów, zewnętrznego ze szpitalnym. Na Żelaznej położne tam pracujące są buforem, to one biorą na siebie pierwszy kontakt z nie zawsze łatwą pacjentką i jej rodziną. Tu pracują tylko najwytrwalsze położne i nie są to bynajmniej prawie emerytki (jak za czasów moich porodów). Liczy się silny charakter, umiejętność dobrej organizacji, natychmiastowego radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Potrzebna jest też asertywność i spora tolerancja na biurokrację (procedury i liczba dokumentów z nimi związanych są imponujące).

Nie jestem zdziwiona, że w serialach bijących rekordy oglądalności kluczowe sceny często rozgrywają się właśnie w izbie przyjęć. Choćby kultowy w latach dziewięćdziesiątych *Ostry dyżur*. Oglądali go wówczas wszyscy, niestety ciężarne również. Pamiętam, że straciłam całą godzinę przeznaczoną na wykład, omawiając z uczestnikami szkoły rodzenia emitowany poprzedniego dnia odcinek, który dotyczył porodu wcześniaka. Z położniczego punktu widzenia w scenariuszu nie było żadnej logiki, ale ponieważ moje

ciężarne po obejrzeniu tego odcinka miały bezsenność, byłam zobowiązana rozproszyć ich wątpliwości. Jeden z głównych bohaterów, doktor Greene, został wezwany do rodzącego się dziecka. Kobieta (to była jej druga ciąża) ledwie dojechała do szpitala z porodem przedwczesnym. Gdy urodziła się główka, padło hasło, że zaklinowały się barki (co wydaje się niemożliwe przy wcześniaku). Doktor zgrabnym ruchem włożył główkę z powrotem do ciała matki i zdecydował o cięciu cesarskim. Okazało się, że sala operacyjna jest zajęta i w ułamku sekundy w izbie przyjęć wykonano operację, wyjmując małe, dwukilogramowe dziecko w doskonałym stanie (myślę, że konsultant medyczny tego odcinka był akurat na urlopie). Udało mi się uspokoić zdenerwowane kobiety, mówiąc, że takich praktyk nie stosuje się w położnictwie. Nie wykonuje się też w izbie przyjęć cięć cesarskich.

W szpitalu na Żelaznej panuje zwyczaj, że rodzące zgłaszające się do izby przyjęć są badane przez położne z sali porodowej. Najczęściej bada ta położna, która będzie się później zajmowała rodzącą; zapewniamy tym samym ciągłość opieki. Lekarza wzywamy na konsultację w razie wątpliwości.

Oczywiście zdarza się, że kobiety rodzą w jednym z gabinetów izby przyjęć, jeśli przyjechały w ostatniej chwili z pełnym rozwarciem szyjki macicy. Ze względów bezpieczeństwa nie ma już czasu na

przemieszczanie się windą do oddalonego, w naszym przypadku o dwa piętra, bloku porodowego.

*

Moja pacjentka Inga rodziła swoje drugie dziecko, miała już bolesne skurcze. Umówiliśmy się w szpitalu za godzinę. Była 18.00, w Warszawie nie jest to pora sprzyjająca podróży rodzącej do szpitala ze względu na korki. Byłam jak zwykle punktualnie, a nawet przed czasem, rodząca się spóźniała. Zadzwoiłam, odebrał jej mąż Wiktor.

– Jeszcze nie wyszliśmy z domu, czekamy na nianię. Ona przyjdzie lada chwila i zaraz wyruszamy. Usłyszałam też sapiący oddech Ingi i jej postękiwania.

– Musicie się spieszyć, czekam – powiedziałam zdecydowanym tonem.

Po piętnastu minutach zadzwoniłam znowu.

– Jedziemy, jedziemy – usłyszałam nad wyraz spokojnego Wiktora, a w tle odgłosy parcia.

– Gdzie jesteście? – zapytałam.

– Przy placu Politechniki – odpowiedział, już lekko zdenerwowany.

O cholera, daleko, pomyślałam.

– Włącz długie światła i jedź po torach tramwajowych, jak cię zatrzyma policja, to nawet lepiej,

zrobią ci drogę, włączając syreny.

Wtem usłyszałam krzyk Ingi:

– Zatrzymaj się! Zdejmij mi spodnie! Wody odeszły... – Urwał się kontakt. Spokojnie oceniłam sytuację: wieloródka, słyszałam przez telefon, że parła, zanim odpłynęły jej wody. Możliwe, że urodzi w samochodzie. Zaczęłam się organizować; zimno, topniejący śnieg, będę musiała zaraz wyjść do samochodu po noworodka i czymś go okryć. Po pięciu minutach zadzwonił telefon. To Wiktor. – Wyjdź przed szpital.

Wybiegłam natychmiast. Było niebiesko od migających policyjnych świateł. Szybko oceniłam sytuację, Inga klęczała na tylnym siedzeniu samochodu, jeszcze nie urodziła.

– Bierz ją na ręce, szybko! – krzyknęłam.

Spojrzałam na policjantów i skinęłam głową w podziękowaniu. Wiktor z nadludzką siłą uniósł Inge jak piórko. Było ślisko, bałam się, że się potknie, nie patrzył pod nogi. Otwierałam mu drzwi, torowałam drogę wśród pacjentów, biegiem wniósł ją do gabinetu izby przyjęć. Zdążyłam jej zdjąć mokre od wód płodowych dżinsy i pomogłam wejść na fotel. Została w skórzanej czarnej kurtce ramonesce, co wyglądało dość oryginalnie.

– Jak odeszły mi wody, pomyślałam, że to koniec, zaraz urodzę, ale o dziwo przyniosło mi to ulgę i skurcze

na chwilę ustały. Modliłam się, żeby tylko dojechać, no i udało się. Dobrze, że jesteś, Jeannette, już mogę rodzić.

I rzeczywiście kilka skurczów później urodził się piękny, duży chłopiec, którego okryłam przygotowanymi wcześniej ręcznikami. Wiktor nie uczestniczył w porodzie, nawet nie zajrzał do gabinetu. Siedział w korytarzu izby przyjęć z twarzą ukrytą w dłoniach i odreagowywał całą sytuację, to był ogromny stres dla nich obojga. Zawołałam go, gdy synek leżał już w objęciach mamy.

*

Olbrzymi wyrzut adrenaliny, który następuje na początku porodu, sprawia, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni zachowują się irracjonalnie czy wręcz dziwnie. Ma to niewątpliwie związek ze spłyceniem oddechu, a nawet długimi okresami bezdechu w stresie, co obniża poziom tlenu. Wystarczy kilka razy spokojnie, głęboko odetchnąć, dotlenić mózg i wraca racjonalne myślenie. Częściej się to zdarza u osób mających szcątkową wiedzę o porodzie lub też wierzących w nie do końca sprawdzone informacje z forów internetowych. Swoją ignorancję tłumaczą brakiem czasu, brakiem szkoły rodzenia w ich okolicy; a w ogóle to „kobiety kiedyś nic nie wiedziały, a rodziły”. Postanawiają więc zdać się na wrodzony instynkt, który niewątpliwie

zawiódł jednego z panów, skoro zapakował bagaże do samochodu i zostawił swoją partnerkę na klatce schodowej (musiała się zatrzymać na chwilę, miała właśnie skurcz). Wsiadł do samochodu i przejechał kilka przecznic, zanim się zorientował, że zgubił swoją kobietę. Na szczęście udało mu się dojechać do nas na czas.

Późną jesienią zgłosiła się do izby przyjęć inna rodząca, której wody płodowe płynęły dopiero od piętnastu minut. Weszła do pokoju badań w długim do kostek czarnym płaszczu, który poleciłam jej wcześniej zdjąć i powiesić na wieszaku w korytarzu. W gabinecie zjawiła się jednak w okryciu, a gdy je w końcu zdjęła, zobaczyłam, że jest niekompletnie ubrana: ma na sobie stanik, długie czarne kozaki i olbrzymi pampers dla dorosłych, który skutecznie pochłaniał warko płynące wody. Robiłam wszystko, żeby nie pokazać po sobie rozbawienia, sytuacja była komiczna.

– Wiem, wiem, dziwnie wyglądam – powiedziała zdenerwowała pacjentka. – Zorientowałam się w połowie drogi do szpitala, że zapomniałam włożyć sukienkę. Mąż, którego w nerwach popędzałam, nie chciał zawrócić, powiedział, że skoro tak się spieszyłam, to mam za swoje.

– A dlaczego się pani tak spieszyła? Wody są zielone? – O pampersa nawet nie dopytywałam.

– Nie, czyściutkie, ale widziałam na filmach, że jak

odpłyną wody, zaraz rodzi się dziecko.

Trochę późno na edukację, pomyślałam. Zbadałam panią i cierpliwie, długo tłumaczyłam, co ją czeka przez być może kilkanaście następnych godzin. Na pytanie, o której godzinie zaczęły odpływać wody, usłyszałam, że podczas *M jak miłość*. Kolejna kobieta, która padła ofiarą adrenaliny.

*

Izba przyjęć obfituje w ciekawe przypadki. Pamiętam, że gdy pracowałam jeszcze w systemie dyżurowym, przydarzyło mi się przyjmować do porodu dziewicę. Może nie byłabym aż tak zaskoczona, gdyby nie to, że była mężatką od czterech lat (o czym w pierwszych słowach poinformował mnie mąż rodzącej). Coś mi się tu nie zgadzało.

Położne z reguły nie mają problemu z zadawaniem kłopotliwych pytań. Próbowałam się dowiedzieć od mężczyzny, który nie odstępował swojej kobiety na krok, dlaczego nie zgłosili się do ginekologa – przeciąłby błonę dziewiczą.

– Moja żona miałaby stracić dziewictwo z innym mężczyzną?! Chyba pani żartuje – odburknął niemiło.

– Trzeba było pójść do kobiety – zasugerowałam.

– Jeszcze gorzej – odparł. – Żaden zabieg nie

wchodzi w grę. Zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie, jak się to stanie przy porodzie. Poza tym zawsze możemy powiedzieć, że syn się urodził z matki dziewicy, jak Jezus.

Zaniemówiłam na chwilę. Postanowiłam jednak pomimo wszystko dopytać o to niepokalane poczęcie. Oboje nie bardzo rozumieli, w czym jest problem.

– Wystarczy przecież złożyć nasienie w przedsionku pochwy i proszę, jaki efekt. – Mężczyzna mówił takim tonem, jakby to on próbował mnie uświadamiać w sprawach seksu.

Obejrzałam jeszcze raz dokładnie nietknięte dziewictwo, rzeczywiście błona była na tyle gruba, że naturalna defloracja nie była możliwa. Chcąc nie chcąc, zbadałam rodzącą przez odbyt, ostatni raz robiłam to w szkole położnych (nigdy nie wiadomo, w którym momencie przydadzą się dawne umiejętności). To trudne badanie, mniej precyzyjne niż przez pochwę i zapewne niezbyt przyjemne dla rodzącej. Rozwarcie wynosiło osiem centymetrów. Już niedługo nic nie zostanie z tak troskliwie hodowanego dziewictwa, pomyślałam.

– Rozerwane strzępki błony mogą obficie krwawić, muszę zgłosić szefowi dyżuru, że będziemy mieć taki poród. – Wzięłam do ręki słuchawkę telefonu.

– Mam nadzieję, że lekarz to kobieta – powiedział stanowczo mąż rodzącej, wypinając do przodu wątlą pierś.

TRYB OCHRONNY

Począwszy od izby przyjęć, moi podopieczni wzbudzali niezdrową sensację, zwłaszcza wśród oczekujących tam pacjentek i towarzyszących im osób. Oboje byli bardzo wysocy. Wszyscy na nich patrzyli, wręcz pokazywali ich sobie palcami.

Dwa tygodnie wcześniej zadzwonił do mnie mężczyzna, przedstawiając się jako opiekun niedawno „zakupionego” na Białorusi koszykarza. Poinformował mnie, że żona zawodnika, siatkarka, jest w trzydziestym siódmym tygodniu ciąży. Życzeniem obojga był poród w dobrym szpitalu, pod dobrą opieką. Za kilka dni mieli przyjechać do Polski na kilkuletni kontrakt. Co ja na to? Sytuacja była wyjątkowa, więc zgodziłam się. Umówiono nas na spotkanie.

– Borys – przedstawił się mężczyzna. – Cieszę się, że tu jestem – powiedział, kalecząc nasz język. Podałam mu rękę, która zginęła w jego wielkiej dłoni.

Był potężnie zbudowany, mierzył dwa metry i dwadzieścia pięć centymetrów. Przystojny, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona. Każda część jego ciała wydawała się nienaturalnie wielka (rzeczywiście nigdy nie widziałam takich dużych dłoni ani stóp).

– A to moja żona Olga. – Wskazał na kobietę z blond włosami, wzrostu prawie dwóch metrów. Jej idealnie wyrzeźbione ciało opinały koszulka na ramiączkach i krótkie spodenki. Nie wyglądała na ciężarną, miała prawie płaski brzuch. Odległość od żeber do spojenia łonowego była u niej tak duża, że dziecko mogłoby nawet stać w macicy na baczność. Pomimo że jestem wysoka, musiałam ciągle zadzierać głowę, do czego nie jestem przyzwyczajona. Już po tygodniu Olga poczuła regularne skurcze macicy.

*

Gdy tylko zauważyłam, jakie zainteresowanie wzbudzają od chwili pojawienia się w szpitalu, włączył mi się „tryb ochronny” – zupełnie tak samo jak przy porodach osób znanych z pierwszych stron gazet (którym niejednokrotnie przyjmowałam i przyjmuję dzieci). Zawsze staram się zapewniać im maksimum intymności. Poród nie przebiega inaczej tylko dlatego, że ktoś jest sławny, tu niczego nie da się zagrać ani uprościć śpiewem. Każdy w takiej chwili, gdy ciało trzeba poddać naturze, ma prawo do spokoju i dyskrecji. Z pewnością nie rozumieją tego *paparazzi* szturmujący szpitale, by zrobić pierwsze zdjęcia.

Wiele lat temu media przypięły mi łatkę położnej gwiazd, co mogłoby wskazywać, że gwiazdy przy

porodzie wymagają od położnej jakichś specjalnych umiejętności. W efekcie krępowwały się do mnie dzwonić inne kobiety, myśląc, że nie znajdę dla nich miejsca w swoim kalendarzu, gdyż zapewne nie interesują mnie „zwyczajne porody”. Nie jest to prawdą.

Teraz też wyostrzyły mi się zmysły. Nawet z końca korytarza dobiegały mnie śmiechy i niewybredne uwagi dotyczące moich pacjentów. Wiele osób zachowywało się tak, jakbyśmy w trójkę byli głusi. W końcu dotarliśmy do sali porodowej. Prawie cały czas spędziłam z Olgą i Borysem w pokoju, nie miałam ochoty wychodzić i odpowiadać na dziwne pytania. Ale nawet zza zamkniętych drzwi słyszałam wołanie w korytarzu:

– Widzieliście już King Konga? Chodźcie! Poczekajcie, może zaraz wyjdzie!

Smutne było to, że moi pacjenci też słyszeli, co mówiono na ich temat. Nie zareagowałam, nie wyszłam, połknęłam kosmatą kulę złości i zażenowania.

*

Poród nie trwał długo. Wysportowana, silna mama nie miała problemu z wydaniem na świat potomka o wadze 3200 gramów i długości 63 centymetrów. Trudno było się nie wzruszyć, widząc Borysa pochylającego się nad malutkim synkiem. Z oczu kapąły

mu ogromne łzy, wprost na nowo narodzone dziecko. Po porodzie udało mi się umieścić całą trójkę w oddzielnym pokoju, gdzie mieli sporo prywatności. Łóżko dla ojca, nawet po rozłożeniu, wyglądało jak z dziecięcego pokoiku i posłużyło Borysowi jedynie za fotel do siedzenia. Dwie noce spał na siedząco, ale się nie skarżył.

Bez względu na to, jak wygląda i czy jest sławny – każdy zasługuje na szacunek i wyjątkową opiekę.

POSIEDZISZ

Rok 2008 okazał się dla mnie szczególnie pracowity.

Byłam rozdrażniona brakiem czasu dla siebie. Rodzina z niepokojem patrzyła na mój stan niezdrowej irytacji. Zwykle w takich sytuacjach pomaga mi masaż, wizyta u kosmetyczki, nowa sukienka. Tym razem nie zadziało. Przede wszystkim potrzebowałam snu. Obiecałam sobie, że o 22.00, bez względu na to, ile rzeczy w domu jest do zrobienia, rzucam wszystko i idę do łóżka. Przez trzy dni byłam konsekwentna, dwie kolejne noce pracowałam przy porodach. Odsypianie w ciągu dnia jakoś u mnie nie zdaje egzaminu, dwie–trzy godziny i koniec.

Przyjaciółki namawiały mnie na wyjazd, właśnie wybierały się na *sesshin* (intensywną praktykę medytacji).

– To tylko pięć dni, „posiedzisz”, spotkasz się ze sobą. To pomaga rozjaśnić umysł.

Sesshin prowadził chrześcijański mnich praktykujący zen; to mi odpowiadało. Zaczęłam dopytywać o szczegóły, brzmiały obiecująco, a sama medytacja wydawała się prosta: wystarczy tylko siedzieć, oddychać i nie myśleć. Aha, jeszcze nie można się przez cały dzień odzywać, patrzeć w oczy ani nawet uśmiechać. Jest też

zakaz korzystania z telefonów komórkowych; w miarę możliwości nie należy kontaktować się ze światem zewnętrznym. Do tego akurat byłam najmniej przekonana, ale poczułam ciekawość. Stwierdziłam, że skoro moje przyjaciółki sobie radzą, nie może być aż tak źle. Tyle tylko że zajęcia odbywały się pod Jelenią Górą. Nie rozumiałam, dlaczego nie można posiedzieć gdzieś bliżej. W razie potrzeby mogłabym pojechać do porodu i zaraz wrócić. Miało być około czterdziestu osób; nikt by nawet nie zauważył. Spojrzałam w notes, dobrze się składa: termin następnego porodu miałam dopiero za trzy tygodnie, mogłam jechać.

*

Wyruszyłam w podróż swoim samochodem, zabierając z Warszawy dwie sympatyczne dziewczyny. Obie jechały pierwszy raz, tak jak ja, żadna z nas nie miała tak naprawdę pojęcia, na co się zdecydowała. Dotarłyśmy na miejsce. Spodziewałam się bardziej ascetycznej budowli, a tu dwupiętrowy „Biały Dom” (biały nie tylko z wyglądu, ale ponoć też ze względu na czystą energię). W holu płonący kominek, wygodne, pachnące drewnem pokoje, wielka sala medytacyjna, przestronna jadalnia i przeuroczy właściciel skracający dystans już w pierwszym zdaniu.

Przed kolacją odbyło się spotkanie, na które poszłam

wraz z innymi „pierwszakami”. Tłumaczono nam, na czym będzie polegał nasz nowy rytm życia. Zrozumiałam, że mam się nie troszczyć o sprawy nieistotne. Należy skupić się na punktualności. Wcześniej kłaść się spać i wcześniej wstawać. Nie rozmawiać, nie rozglądać się bez potrzeby i unikać kontaktu wzrokowego. Zachowywać milczenie zewnętrzne i wewnętrzne („Gdy oko duszy patrzy do środka, milczenie przychodzi samo”), dzięki temu medytacja staje się coraz głębsza. Następnie pokazano nam, jak należy siedzieć i jak oddychać. Gdy oddech płynie właściwie i mamy przy tym prosty kręgosłup, organizm harmonizuje się. *Zazen* (siedzenie) ma wpływ na zdrowie fizyczne. Spodobała mi się informacja, że jeżeli będę sumiennie praktykować, dożyję w zdrowiu sędziwego wieku. Ale najważniejsza jest wewnętrzna postawa, która polega na uwolnieniu się od wszelkich myśli. „Myśl, nie myślenie”, jasne, łatwo powiedzieć.

Zaczynamy o 6.00. Klęczę na kolanach, pod pupą mam poduszkę wypełnioną gryką. Po dwudziestu pięciu minutach dźwięk gongu oznajmia koniec rundy. Wstajemy, chodzimy pięć minut w kółko, mamy pozostać w stanie medytacji. Ścierpły mi nogi, w ogóle ich nie czuję, boję się, że zaraz upadnę. Siłą woli wysyłam krew do martwych kończyn. Ukradkiem patrzę na innych: też chodzą jak połamani. Ulżyło mi. Znowu gong, wracamy na miejsca. Ukłon przed leżącą na macie poduszką. Klękam, siadam na poduszce, znowu mam

przed oczami ten sam kawałek parkietu. Dokładnie naprzeciwko mnie jest marnej urody dziura po sęku. Cała deska jest jakaś paskudna, czuję tu zemstę stolarza. Wokół ładne, równe, a ta beznadziejna akurat przede mną, żeby mnie rozpraszać. O cholera! Przecież mam nie myśleć. Wdech, wydech. Boli mnie ciało. Próbuję to zignorować, co nie jest proste. Znowu dźwięk gongu. I tak do 21.00. Oczywiście są przerwy na posiłki i trochę wolnego czasu. Policzyłam, że codziennie będę siedzieć bez ruchu prawie osiem godzin. Ponadto każdy dostaje jakąś pracę w domu lub w ogrodzie. Wtedy też należy trwać w medytacyjnym skupieniu.

Pierwszego dnia kilkanaście osób miało za zadanie w ciszy wyrywać nieopodal domu wystające spośród kamieni źdźbła trawy. Medytacyjną kontemplację przerwała wycieczka szkolna (na oko dziesięciolatków), która pojawiła się nie wiadomo skąd. Dzieciaki przekrzykiwały się jeden przez drugiego:

– Proszę pana, proszę pana! A co ci ludzie robią? Zniecierpliwiony nauczyciel, próbujący zapanować nad zgiełkiem, odpowiedział:

– Jak nie będziecie się uczyć, to też was czeka taka praca.

Zaległa cisza. Widziałam kątem oka, że dzieci przyglądają nam się z przerażeniem pomieszanim z litością. Odchodziły w milczeniu, oglądając się za siebie. Jeden z chłopców wyraźnie pozostawał w tyle.

W pewnym momencie podbiegł kilka kroków w naszą stronę i krzyknął: „Nie-u-ki! Nie-u-ki!”, po czym uciekł. Wszyscy wybuchliśmy śmiechem, ale już po chwili wróciliśmy do kontemplacji.

*

Kuchnia serwowała jedzenie wegetariańskie, muszę przyznać: pyszne (może mięso zmniejsza szansę na oświecenie). Ale i tak nie wypadało się za bardzo objadać, by odgłosy pracujących jelit nie wytrącały ze skupienia wszystkich wokół. Posiłki jedliśmy w milczeniu. Miałam przed sobą przy stole ludzi tępo patrzących gdzieś w dal, przeżuujących chyba ze sto razy każdy włożony do ust kęs. Nikt na nikogo nie patrzył; na próżno próbowałam przechwycić jakieś przelotne spojrzenie lub uśmiech. O matko! A przecież to dopiero początek.

Nie spodziewałam się, że już następnego dnia moja irytacja sięgnie zenitu. Byłam wściekła, zmęczona, chciało mi się bez przerwy spać. Zastanawiałam się, co ja tu robię. Bolało mnie całe ciało, kręgosłup, mięśnie. Nie byłam w stanie pójść na kolejną medytację. Wyszłam z budynku wyżalić się drzewom. Na zmianę łkałam i krzyczałam ze złości, nie przygotowałam się na zderzenie pędzącego pociągu z murem. Czułam, że nie wytrzymam ani chwili dłużej. To nie dla mnie, to nie jest

moje miejsce! Wtem zobaczyłam jednego z uczestników, biznesmena, który wkładał walizkę do najnowszego modelu mercedesa; wyraźnie dezerterował. To jest myś! Może też wyjadę, przecież to nie więzienie. Łzy leciały mi z bezsilności.

Zaprzyjaźnione ze mną organizatorki Agata i Jola znalazły mnie siedzącą na ziemi, spuchniętą od płaczu. Zapytały, co się ze mną dzieje. Powiedziałam, że już dawno by mnie tu nie było, gdyby nie wrodzone poczucie odpowiedzialności. Przywiozłam swoim samochodem przez pół Polski dwie osoby i powinnam odwiedzić je z powrotem do domu. Wyrzucałam z siebie kolejne argumenty za wyjazdem. Słuchały, nie karciły, nie oceniały. Rozmasowały bolące plecy i opuchnięte kostki. Okazało się, że w trakcie medytacji mogę usiąść w innej, wygodnej dla mnie pozycji, na przykład na krześle w „pozycji faraona”. Zrobiło mi się lżej, gdy usłyszałam, że sporo osób tak reaguje na początku, ale niewiele z nich pomimo to się poddaje. To normalne, że spięte ciało uwalnia blokady. Każde bolesne miejsce to jakieś trudne wydarzenie z naszego życia. Całe lata utykamy to tu, to tam nierozwiązane sprawy. Teraz nadszedł czas, żeby je wyłuskać i zmierzyć się z nimi.

– To nie jest łatwe, nikt tu nie przyjechał dla przyjemności. Niewygoda i ból są częścią naszego życia, jeżeli trudno nam to zaakceptować, będzie bolało jeszcze bardziej – zabrzmiał słodko głos mojej przyjaciółki Joli.

Odprowadziły mnie do pokoju, a ja nabrałam mocnego postanowienia, że się jednak nie poddam.

Ledwie siadałam do kolejnej rundy, a natychmiast przez głowę przepływały mi setki myśli, przewijały się obrazy, sceny, ludzie, nawet postaci nieznanymi mi osób, jakby przypominając mi o zadawnionych emocjach. Przyglądałam się, nie idąc za tym. Trzeciego dnia było już spokojniej, nawet sęk mi nie przeszkadzał. Miałam poczucie, że wykipiało z mojej głowy dużo niepotrzebnych, gromadzonych latami przeżyć i informacji. Ból ciała ustępował.

To niezwykle, że można żyć się aż tak bardzo ze wszystkimi uczestnikami, w ogóle się do siebie nie odzywając. Ostatniego dnia po śniadaniu nie było już nakazu milczenia, pomimo to wszyscy mówili szeptem. Padliśmy sobie w objęcia, żegnając się na kolejne pół roku.

*

Do Warszawy wracałyśmy w milczeniu. W samochodzie nie włączałam nawet radia. Żadna z nas nie chciała utracić tego szczególnego stanu ciszy, w jakim się znajdowała. Dobrodziejstwa krótkiego wyjazdu ujawniały się jeszcze długo po powrocie. Łatwiej się koncentrowałam, lepiej sypiałam, miałam więcej cierpliwości, nie denerwowałam się z byle

powodu. A przede wszystkim lubiłam przebywać w swoim towarzystwie. Nie nudziłam się ze sobą. Zaczęłam doceniać ten stan. Zrozumiałam, jak bardzo byłam od siebie oddalona. Przekonałam się, jak trudno mi było zaakceptować ból i napięcie ciała. Czym jest nasze ciało, prócz tego, że naczyniem dla duszy? Wygląda na to, że skrupulatnym komputerem zapisującym wszystkie etapy życia. Medytacje powodują, że bezwarunkowe współodczuwanie przychodzi łatwiej. Widziałam inaczej, wyraźniej – ludzi, swoją pracę, życie toczące się wokół. Mniej analizowałam rozumem, więcej sercem. Przekonałam się, że ego potrafi przebiegle nas zwodzić, serce natomiast daje dobre odpowiedzi.

Od pięciu lat dwa razy w roku jeżdżę na *sesshiny*, traktując je jak reset komputera. Mam tam przyjaciół.

W KRĘGU

Bardzo cenię sobie kobiece przyjaźnie, te prawdziwe – wspierające. Przyjaciółka zawsze życzy tego, czego pragnie moje serce. Cieszy się ze mną, wierzy we mnie, zna moje intencje. Przyjaźń kobieca jest łagodna, współodczuwająca, rozumiejąca, i w tym tkwi jej siła.

*

Inna w połowie lat dziewięćdziesiątych natrafiła w „Wysokich Obcasach” na artykuł o mnie. Już wtedy wiedziała, że będę jej położną. Gazetę zachowała, a po kilku latach, będąc w ciąży, bez trudu mnie odnalazła. Z mężem Andrzejem sumiennie uczęszczali do mojej Szkoły Narodzin, a po paru tygodniach urodziliśmy wspólnie Zuzię w szpitalu na Żelaznej.

Inna tuż po porodzie czuła się dobrze, lecz kilka godzin później, próbując wstać do toalety, zemdląła, straciła dużo krwi, była słaba i blada. Byłam zdumiona, z położniczego punktu widzenia nie spodziewałam się powikłań. Babcia Józefa o takich porodach mawiała: „okupione krwią”. Wspominała coś o ofierze, jaką

kobieta składa, odkupując grzechy pokoleń; byłam za mała, żeby coś z tego rozumieć. Jaką ofiarę przyszło złożyć Innie, wiedziała tylko ona sama.

Już podczas pierwszego naszego spotkania odniosłam wrażenie, że znamy się od lat. Zaprzyjaźniłyśmy się po porodzie, do dziś jest jedną z ważniejszych osób, które dane mi było spotkać w życiu. Opowiedziała mi o swoich zdolnościach: pięknym, niezwykłym darze jasnowidzenia, który odziedziczyła po kobietach z syberyjskiej linii swojego rodu. Już będąc młodą dziewczyną, nie potrzebowała kart, żeby „wiedzieć”, tak samo jak jej mama i babcia. Jej dom rodzinny był zawsze pełen ludzi potrzebujących porady. Chciała od tego uciec, studiować, żyć spokojnie. Zza dalekiego Uralu przyjechała do Polski, skończyła psychologię, wyszła za męża. Ale jak widać, trudno skryć się przed przeznaczeniem – jej życie potoczyło się tak, że nadal pomaga ludziom, zajmuje się tym zawodowo. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak wiele osób korzysta z jej usług. Współpracowała też z policją, odnajdywała zaginione osoby.

Często słyszałam pytanie: „Jak to jest przyjaźnić się z jasnowidzem? Nie boisz się, że zobaczy coś, czego byś nie chciała?”. „Nie mam nic do ukrycia” – odpowiadałam ze śmiechem.

Inna nie chodzi na co dzień z włączonym skanerem, etyka zawodowa dotyczy wszystkich profesji,

jasnowidzów również. Może pracować dopiero na wyraźną prośbę konkretnej osoby i po uzyskaniu jej przyzwolenia. To dar, taki sam jak piękny głos, umiejętność komponowania muzyki czy inne uzdolnienia.

Kiedyś zapytałam Innę wprost, czy wie, jak potoczy się jej dalsze życie, czy widzi przyszłość swojej najbliższej rodziny. – Co do moich bliskich to ważne rzeczy ich dotyczące najczęściej widzę poprzez sny. Z obcymi jest dużo łatwiej, nie muszę zasypiać, żeby coś zobaczyć – odpowiedziała mi ze śmiechem.

*

Termin porodu kolejnego dziecka wypadał w lipcu. Inna już miesiąc wcześniej poinformowała mnie, że urodzi dokładnie dwudziestego piątego. Opowiedziała mi swój sen. Była w ciąży, czekała na autobus wraz z dużą grupą ludzi. Gdy wreszcie, spóźniony, nadjechał i zatrzymał się na przystanku, oczekujący rzucili się do drzwi. Tłum porwał ją ze sobą. Trzymając kurczowo bilet w ręku, próbowała chronić brzuch przed napierającymi z tyłu pasażerami; nie było to łatwe. W końcu przyszła i na nią kolej, wdrapała się na pierwszy schodek. Kierowca z poważną miną wziął do ręki jej bilet. „Co pani tu dzisiaj robi? Przecież ma pani bilet na dwudziestego piątego. Proszę odejść i zrobić

miejsce innym”.

Sen jak sen, pomyślałam. Sporo kobiet nadmiernie skupia się na konkretnej dacie, a potem są rozczarowane. Ciągle zapominałam o niezwykłych zdolnościach Inny, dla mnie była przede wszystkim przyjaciółką.

Poród rzeczywiście zaczął się w wyznaczonym przez nią terminie. Ponieważ mąż Inny tym razem nie mógł jej towarzyszyć, miałyśmy witać Mikołaja we trzy; była z nami Jola (wszystkie przyjaźnimy się ze sobą, rozumiemy bez słów). Cieszyłam się na ten babski poród. Jola, ze swoją łagodną, czystą energią, czuwała nad wszystkim; emanowała jak zwykle spokojem, miłością. Po chwili mnie i Innie też udzielił się ten nastrój. Pokój wypełniło ciepłe światło ostatnich promieni zachodzącego słońca. Zapaliłyśmy świecę. Chwyciłyśmy się za ręce, trwałyśmy tak w ciszy naszego kobiecego kręgu. Gdy na chwilę zamknęłam oczy, świeca stała się ogniskiem, a my byłyśmy częścią siostrzanej wspólnoty kobiet. Poczułam, jaką moc ma ta niezwykła więź. Jeżeli rodzi jedna z nas, wszystkie jesteśmy z nią mentalnie połączone.

Inna bolesne skurcze znosiła z dużą świadomością swego ciała, zdawało się, że bez wysiłku. Miała na sobie koszulkę z nadrukiem zegara, który pokazywał 23.35. Za każdym razem, gdy pytałam, jak jej idzie, z uśmiechem wskazywała na zegar, mówiąc: – Nie mam zamiaru przekroczyć tej godziny.

Kibicowałam jej, zwłaszcza że była już 22.30.

*

Odplynęły wody, poród przyspieszył. Rozwarcie szyjki macicy postępowało dość szybko, pomimo to główka dziecka ciągle była bardzo wysoko. Macica pracowała ze wszystkich sił, żeby zepchnąć malucha niżej, a on robił wszystko, żeby się nie przesunąć do wyjścia nawet o centymetr. Zaproponowałam Innie ciepłą kąpiel. Szyjka była już całkowicie rozwarta, czekałyśmy na skurcze partę, ale te nie następowały. Nie chciałam jej za często badać, ale czułam, że musimy skończyć poród. W powietrzu wisiało cesarskie cięcie. Porządkowałam sytuację w myślach: drugi poród, dobre skurcze i brak postępu, dziecko nie jest duże, dobrze ułożone, ma dobre tętno, coś je trzyma. Pępowina! Przez ułamek sekundy pojawił mi się obraz chłopczyka, który był cały pookręcany, ale miał wielką wolę, by się urodzić. Jola siedziała na brzegu wanny, polewała plecy Inny ciepłą wodą. Nasze spojrzenia się spotkały, odpowiedziała mi na niezadane pytanie skinieniem głowy.

Nie było na co czekać. Inna nie miała odruchu parcia, poprosiłam ją, żeby w kolejnym skurczu poparła pomimo wszystko. Dziecko trochę się obniżyło; posłuchałam tętna – zwolniła się czynność serca, ale na

szczęście utracony rytm szybko powrócił.

– Jeszcze jeden skurcz i wychodzimy z wanny – oznajmiłam.

Położyłam delikatnie rękę Innie na brzuchu i powiedziałam głośno do dziecka:

– Mikołaj, jesteśmy tutaj, mama i dwie ciotki. Czekamy na ciebie, nic się nie bój, skacz.

Jestem przekonana, że dzieci rozróżniają, kiedy dotykam brzucha mamy „medycznie”, sprawdzając ułożenie w macicy, a kiedy chcę z nimi po prostu pogadać.

Zaczął się skurcz, Inna po raz pierwszy poczuła parcie, poszła za tym, pracując z całych sił. Jej ciało działało jak tłok. Rzuciłam na fotel ręcznik przygotowany do wytarcia rodzącej, ledwie zdążyłam włożyć rękawiczki i w kilka sekund ukazała się pod wodą główka dziecka. Po chwili wypłynęło całe ciało okręcone wyjątkowo długą pępowiną (wokół szyi, tułowia i nóg). Wyjęłam Mikołaja z wody, wyglądał jakby był ściśnięty sznurkiem; wyswobodziłam go, a on odwdzieczył się głośnym krzykiem.

– No, kolego, to był ostatni moment na bezpieczne lądowanie – powiedziałam z uczuciem ulgi.

Inka spojrzała na mnie z przerażeniem i wdzięcznością zarazem.

– Lekarz na USG nic nie mówił o pępowinie – powiedziała, jakby mnie przeprasząc.

– Kochana moja, dzieci nie siedzą w macicy bez ruchu, ciągle owijają się pępowiną i z niej odwijają. Nie masz na to wpływu, a skoro tak, nie ma sensu się na tym skupiać. Wolałabyś usłyszeć na USG, że dziecko ma pępowinę wokół szyi, kłaść się spać i wstawać rano z tą informacją aż do kolejnego badania? W pępowinie, oprócz naczyń krwionośnych, jest specjalny rodzaj galarety, dzięki której maluch może sobie bezkarnie urządzić z nią figle. W trakcie porodu figle się kończą, dziecko jest spychane przez macicę coraz niżej i okręcona wokół niego pępowina może się naciągać, zaciskając już tym razem naczynia. Lecz maluch, czując niewygodę, natychmiast o tym informuje, zwalniając swoje tętno. Zespół medyczny reaguje, wykonując cesarskie cięcie lub, gdy dziecko jest tuż-tuż, natychmiast kończąc poród, czasami nawet za pomocą kleszczy lub *vacuum*.

Jola dała mi mocnego kuksańca w bok, tym samym przerywając mój przydługi wywód. Ale widziałam, że Inna go potrzebowała, patrzyła na synka jak na bohatera.

Rzeczywiście maleństwo musiało przeżywać emocje jak podczas skoku na *bungee*.

Mikołaj urodził się o 23.25. Dziesięć minut wcześniej, niż wskazywał zegar na koszulce, z astrologicznym słońcem w Lwie i dużą odwagą zaczął swoje ziemskie życie.

DOTYK

Położna jest tą osobą, która jako pierwsza dotyka noworodka. To niezwykła chwila, gdy trzymam dziecko w rękach, zanim oddam je w objęcia matki. Odnoszę wrażenie, że wtedy cały kosmos zatrzymuje się na ułamek sekundy, by maleństwo mogło dołączyć do oddechu wszechświata. Przez tę małą chwilę panuje idealna cisza. Rodząca właśnie przed sekundą wydała okrzyk pełen ulgi, gdy dziecko wyśliznęło się z jej ciała. Na twarzach rodziców maluje się zaskoczenie: to już? Jeszcze nie zdążyli wziąć oddechu radości. To właśnie ten moment, gdy wszystkie spojrzenia skierowane są na noworodka. Ja również patrzę na niego z czułością, niejednokrotnie oczy mam pełne łez. Witam go na świecie po swojemu, dotykam jego czoła z intencją dobrego życia.

Nie boję się dotyku. Często jest kojący, a nawet uzdrawiający. Kiedyś wiedza ta była przekazywana z pokolenia na pokolenie, przechodziła z matek na córki. Dzisiaj też tak się dzieje, tyle że bardziej nieświadomie. Pamiętamy, że kiedy byliśmy mali i bolały nas głowa czy brzusek, a mama położyła rękę, ból przestawał. Otartemu kolanku też najlepiej pomagał pocałunek

mamy lub taty.

*

Spotkałam się z Wiolą na wizycie przedporodowej. Była zmartwiona, jej córeczka umościła się pośladkami do dołu, a do porodu zostało zaledwie pięć tygodni. Dotknęłam obiema rękami jej brzucha, przywitałam się z dzieckiem.

– Córeczka niedługo obróci się główką do dołu – powiedziałam.

– Skąd wiesz? – Oczy Wioli aż zaiskrzyły z radości.

Uśmiechnęłam się tajemniczo. Po prostu wiem.

Następnego dnia Wiola przyszła do Szkoły Narodzin na zajęcia jogi prenatalnej. Już od progu wołała:

– Jeannette, coś się dzieje, maleńka, od kiedy jej dotykałaś, tańczy mi w brzuchu.

Poprosiłam, by wygodnie się ułożyła, chciałam sprawdzić położenie dziecka. Ledwie dotknęłam brzucha, dostałam w rękę solidnego kopniaka – nóżki znajdowały się wysoko po prawej stronie macicy. Główka była na dole.

– Naprawdę? A tak się bałam, że będę musiała mieć cesarskie cięcie. Mówiłam mężowi, że masz niezwykle ręce i dzieci cię słuchają. – Viola patrzyła na mnie ucieszona.

– Niestety nie wszystkie – powiedziałam, zawieszając głos.

*

Zdarza mi się w trakcie porodu, że maleństwa coś próbują mi przekazać. Moje ręce odbierają wrażenia, które pojawiają się w postaci obrazów. Gdy zwalnia się tętno dziecka, czasem wystarczy położyć rękę na brzuchu rodzącej i zapytać malucha, czego mu potrzeba lub czego się boi. Co chce mi powiedzieć? Może ma okręconą wokół szyi pępowinę, która go uciska i nie pozwala zejść niżej. Czasami wyczuwam jedynie lęk, bez fizycznych przyczyn. Zawsze dotykam dziecka z szacunkiem.

Maleństwo kontaktuje się podświadomie, tylko tak potrafi. Tak samo będzie porozumiewać się z rodzicami po porodzie. Przecież noworodki nie mówią, a jednak rodzice doskonale odbierają wysyłane przez nie sygnały. Przytulając płaczące dziecko z miłością do swojego serca, zadają pytanie, jak mogą mu pomóc, i natychmiast tą samą drogą przychodzi odpowiedź: zimno, mokro, pusty brzusek lub utul mnie. Potrzeba fizycznej bliskości jest tak samo silna jak potrzeba ssania czy uczucie głodu. Już w ciąży obdarowanie dziecka dotykiem pełnym czułości i miłości daje mu poczucie bezpieczeństwa i akceptacji, to rodzaj swoistego posagu,

który procentuje od pierwszych chwil życia.

Jeżeli dotyk zostanie zarejestrowany przez mózg jako przyjemność, wprowadza nas w miły nastrój. Głaskanie, delikatny ucisk czy rozcieranie to naturalna terapia – rozładowuje napięcie, uspokaja, przynosi ulgę, pociesza. A przy tym nic nie kosztuje, zapasy się nie wyczerpują i nie ma skutków ubocznych. Czułe gesty, muśnięcie dłoni, ciepło i bliskość drugiego człowieka sprawiają, że jest nam łatwiej zmagać się z przeciwnościami losu czy bólem. Przypominam o dotyku parom oczekującym dziecka, powinien być na stałe obecny w ich życiu i działać jak czarodziejski kompres.

Z NURTEM

Miałam sen, który nie dawał mi spokoju, wiedziałam, że jest dla mnie ważny.

Stałam nad wodą na wysokim klifie. Nagle poczułam, że lecę w dół w zwolnionym tempie. Nie bałam się. Moje ciało dotknęło tafli spokojnej wody. Z radością zaczęłam się powoli zanurzać, coraz głębiej i głębiej, aż dotknęłam piaszczystego dna. Niespiesznie wypłynęłam na powierzchnię; okazało się, że unoszę się w szerokiej, wartkiej rzece. Nie dałam rady płynąć; silny prąd porwał moje bezwolne ciało, obijałam się o wystające konary. Raz po raz wciągał mnie wir, zapadałam się w grząski muł na dnie. Wypłynąć, wypłynąć za wszelką cenę! Rzeka unosiła mnie w swoim szalonym rytmie. Walczyłam o życie. Zaczęłam tracić siły. W ostatniej chwili udało mi się chwycić gałąź powalonego przy brzegu drzewa. Jak długo wytrzymam? Puściłam gałąź i popłynęłam dalej. Ogarnął mnie spokój, dałam się ponieść nurtowi. Wtedy się obudziłam.

*

W podwarszawskim Piasecznie od lata 2010 roku trwała rozbudowa miejscowego szpitala. Agnieszka, znajoma lekarka ginekolog mieszkająca w tamtych okolicach, parokrotnie wspominała mi o możliwości współpracy z nowo powstającym oddziałem położniczym. Nie chciałam jej urazić, ale niespecjalnie zainteresowała mnie ta oferta; miałam wystarczająco dużo pracy na kontrakcie w szpitalu. A tak naprawdę chyba nie byłam gotowa na zmiany. Z grzeczności obiecałam przyjechać i obejrzeć budowę.

Był październik, żółto-czerwony, słoneczny. Zaskoczyło mnie położenie szpitala: na końcu ulicy domków jednorodzinnych, wśród zalesionych działek. Budowa przypominała mrowisko w stanie alarmu; zdumiała mnie liczba pracujących tam osób. Długo błąkałam się po terenie, zanim trafiłam w umówione miejsce. W starym budynku czterdzieści lat wcześniej mieściło się położnictwo. Od kiedy oddział zamknięto, kobiety z okolic, by urodzić swoje dzieci, były zmuszone jeździć do warszawskich szpitali. Pomysł otwarcia nowoczesnego oddziału położniczo-ginekologicznego wydał mi się bardzo trafiony. Oprócz tego miały powstać jeszcze dwa inne oddziały: chirurgia i pediatria.

Przywitała mnie Agnieszka w towarzystwie dwóch elegancko ubranych mężczyzn, z grubymi teczkami planów. Wzięłam ich za kierowników budowy. Z ożywieniem opowiadali o inwestycji, oprowadzili

mnie po terenie, zapewniając, że w styczniu urodzi się tu pierwsze dziecko. Jakoś nie mogłam w to uwierzyć; pomimo pośpiechu, jaki wokół panował, wydawało mi się to mało prawdopodobne. Obaj byli bardzo sympatyczni, więc tylko skwitowałam te zapewnienia słowami:

– Życzę sukcesów.

Zaproszono mnie na herbatę, do części biurowej.

– Pomożesz nam? – zapytała Agnieszka.

Czułam na sobie spojrzenia nowo poznanych mężczyzn. Porody, szkoła, daleko od centrum Warszawy, jak ja to wszystko pogodzę? Jak mam obiecać coś, z czego trudno będzie mi się wywiązać? Próbowałam się wykręcić.

– Nie chodzi o pracę od 8.00 do 16.00, ale o pomoc przy skompletowaniu zespołu i organizacji oddziału – zachęcał jeden z nich.

Siedziałam naprzeciwko okna. Niebo było bez jednej chmurki. Nagle zdałam sobie sprawę, że niebo, jego koszula i oczy są tego samego koloru. Uśmiechnęłam się.

– Czy to znaczy, że się pani zgadza? – zapytał Błękitny.

Przypomniał mi się mój sen. Chyba czas puścić gałąź i dać się ponieść nurtowi. Nowe zadania, nowe miejsce, czemu nie? – Zastanowię się.

– Kim są ci mężczyźni? – zapytałam Agnieszkę, gdy

odprowadzała mnie do samochodu.

– Ten w niebieskiej koszuli to twój przyszły dyrektor. Ten drugi to dyrektor medyczny i ordynator chirurgii.

Uszło ze mnie powietrze. Próbowałam prześledzić w myślach, ile gaf popełniłam przez ostatnią godzinę. Naliczyłam kilka, ale Agnieszka zapewniała, że obaj mają duże poczucie humoru.

Zaczęłam dostrzegać pozytywne strony przyszłego zajęcia: w końcu nie codziennie powstają oddziały położnicze! Tłumaczyłam sobie, że to przecież tylko dwa miesiące. Może nigdy już nie dostanę takiej szansy? Szala decyzji przechyliła się w kierunku projektu, tym bardziej że z jego szefostwem ustaliłam, że nie będzie on kolidował z porodami moich pacjentek z Żelaznej.

Jesień przyspieszyła, ale nawet plucha, pochmurne, coraz krótsze dni nie były w stanie zepsuć mi dobrego nastroju. Znów poczułam zastrzyk energii! Zakupiłam mnóstwo książek na temat budowania zespołu i kierowania nim. Pochłaniałam je w każdej wolnej od porodów chwili. Czasu miałam niewiele. Z każdym dniem pęczniały teczki z CV położnych starających się o pracę, zaczęłam zapraszać je na spotkania. Nie znajdując w książkach żadnego złotego klucza, postanowiłam zaufać intuicji. Udało się skompletować zespół dwudziestu pięciu ambitnych położnych, otwartych na nowy styl pracy. Te młode przyswajały

zasady bez jakichkolwiek wewnętrznych ograniczeń. Te starsze, doświadczone, obiecały zapomnieć o nie do końca dobrych nawykach z innych szpitali.

*

Otwarcie szpitala z przyczyn technicznych przesunęło się na drugą połowę lutego, więc miałyśmy dodatkowy czas, żeby solidnie przygotować się do współpracy: lepiej się poznać, odbyć kilka ważnych szkoleń.

Tworzenie oddziału okazało się fascynującym zajęciem. Powstały trzy niewielkie, ale przytulne sale porodowe. Bardzo mi zależało, żeby przynajmniej w dwóch znalazły się wanny (kojąca ból kąpiel w trakcie porodu byłaby dla rodzącej nieoceniona). Miejsca było niewiele, wymierzyłam pokoje co do milimetra, wanny udało się zmieścić. Jednak dyrektor Błękitny nie do końca był zadowolony, uważał, że są za małe. W swojej niebieskiej koszuli i eleganckich spodniach wszedł do zainstalowanej już wanny, żeby sprawdzić, czy rodzącej nie będzie zbyt ciasno, i uznał, że będzie (patrzyłam na tę scenę z serdecznym uśmiechem: przecież nie każda rodząca będzie mierzyć 180 centymetrów wzrostu jak on). Może właśnie dlatego udało się go namówić na trzy drogie, najlepsze na rynku łóżka porodowe, bardzo wygodne przede wszystkim dla rodzących, ale też dla

położnych.

Oddział był gotowy na przyjęcie pacjentek. Zaproponowano mi, abym została położną koordynującą pracę nowego zespołu. Zgodziłam się bez wahania. Chciałam dokończyć to, co zaczęłam. Przyszedł czas na wcielenie teorii w życie. Gdy pojawiły się pierwsze pacjentki, nie byłam w stanie wysiedzieć w domu. Pomimo późnej pory pojechałam wspierać swoje położne. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym przegapić płacz naszego pierwszego noworodka. Poczułam, że wspólnie tworzymy kolejny rozdział historii tego miejsca. Zapaliłyśmy świecę w intencji wszystkich matek i ich dzieci, które się tutaj urodzą.

Z radością wstawałam codziennie o 5.15. Dawałam z siebie wszystko, co mogłam: szkoliłam, uczyłam, nie żałując własnej wiedzy, dzieląc się doświadczeniami. Położne zawodowo radziły sobie doskonale. Lubiły się, spotykały poza pracą. Udało się trzynastce z nich zabrać na kilkudniowe warsztaty „Ciało. Umysł. Duch”, które przygotowałam wspólnie z Jolą w pięknym ośrodku w górach. Dziewczyny wróciły odprężone, z nową energią. Jak mówiły, było to dla nich „duchowe SPA”.

Po półtora roku bardzo intensywnej pracy uznałam, że moje zadanie (które przecież miało trwać dwa miesiące) dobiegło końca. Czułam, że muszę złapać oddech, nadszedł czas, by spokojnie popłynąć z nurtem. Nie było mi łatwo zostawiać tego miejsca, ale przede

wszystkim chciałam zająć się swoją Szkołą Narodzin. Wtedy wydawało mi się, że już na zawsze pozostanie w Piasecznie trwały ślad tego, co zrobiłam. Myliłam się.

Życie pokazało mi kolejny raz, że idee, projekty wymagają stałego karmienia własną energią i zaangażowaniem, inaczej powoli obumierają.

ZGADZAMY SIĘ

Niedawno zgłosili się do mnie na zajęcia Karolina i Janek, byli otwarci, uśmiechnięci, oboje mieli duże poczucie humoru. Dobrze się czuli w mojej szkole (sprawia to domowa atmosfera tego miejsca).

Karolina prowadziła swoją firmę, ambitna, nastawiona na cele, które bez trudu osiągała. Janek, uroczy, bujający w obłokach artysta. Cudownie się uzupełniali, a przy tym byli ze sobą bardzo zgrani, do tego stopnia, że gdy jedno wykonywało jakiś ruch, drugie robiło to samo, oboje wstawali, oboje siadali równocześnie, co było nawet zabawne – patrzyłam na nich z przyjemnością. Zdecydowali się na wspólny poród, nie mogło być inaczej. Z radością zgodziłam się im towarzyszyć, choć – jak się później okazało – czekało ich niełatwe doświadczenie. Przeszliśmy przez nie razem.

*

Gdy zaczęły się skurcze, zadaniowa Karolina, zgodnie z moimi instrukcjami, weszła w domu do wanny

z ciepłą wodą; zażyczyła też sobie w łazience muzyki i świec. Wszystko szło według planu, po kilku godzinach byli już w szpitalu. Skurcze stawały się coraz silniejsze, ale rodząca, w dobrym nastroju, chętnie włączała się do rozmów.

Janek z bardzo poważną miną stwierdził:

– Jeannette, zdałem sobie sprawę, że masz niezły zawód, żyjesz z seksu!

Zanim parsknęłam śmiechem, zdążyłam dodać:

– I pracuję na telefon.

Jeszcze przez chwilę licytowaliśmy się o pierwszeństwo. Ja twierdziłam, że położna to najstarszy zawód świata, Janek obstawiał zgoła inną profesję. Karolina chętnie podjęła ten temat i jako kobieta była oczywiście po mojej stronie, jednak porodowa koszulka z Myszką Miki niestety nie dodawała jej wiarygodności.

Kolejna kontrola tętna rodzącego się dziecka zmusiła nas do porzucenia zabawnej rozmowy. Włączyłam stały monitoring KTG, to wymagało od Karoliny pozycji leżącej na boku. Prawie po każdym skurczu macicy dziecko zwalniało tętno; co prawda małe serduszko szybko odzyskiwało utracony rytm, ale tendencja była niepokojąca. Rozwarcie szyjki macicy na trzy centymetry nie zapowiadało rychłego porodu. Poprosiłam natychmiast lekarza na konsultację. Ani podanie tlenu, ani ułożenie Karoliny w pozycji

kolankowo-łokciowej (co często pomaga) nie poprawiło kondycji dziecka. Lekarz skupił uwagę na aparacie wypływającym wydruk z coraz mniej pomyslnymi wieściami.

– Musimy wykonać cesarskie cięcie. Nie będziemy dłużej czekać i niepotrzebnie narażać dziecka – zdecydował. – Czy państwo wyrażają zgodę?

Pamiętali z wykładu w szkole, że jedyna prawidłowa odpowiedź na to pytanie brzmi: „tak, zgadzamy się”, ale ledwie przeszło im to przez gardła. Aż do tej chwili nawet nie przyszło im do głowy, że coś może pójść nie tak. Co prawda opowiadałam o tym, że poród na każdym etapie może zakończyć się cięciem, gdy życie dziecka lub matki jest zagrożone. Co innego jednak słuchanie wykładów, a co innego osobiste doświadczenie.

Minął kolejny skurcz, aparat wskazywał coraz niższą wartość tętna dziecka.

– Słyszeliście? Musimy się przygotować do cięcia, mamy niewiele czasu – powiedziałam stanowczo.

Kiwnęli głowami i spojrzeli na siebie z przerażeniem.

– Ale będę mógł pójść z Karoliną? – upewniał się Janek.

– Oczywiście – odparł lekarz. – Za pięć minut widzimy się na bloku operacyjnym.

– Czy w czymś mogę pomóc? – zapytał rzeczowo Janek.

– Szybko spakuj wasze rzeczy – rzuciłam.

*

Jak zwykle w takich sytuacjach cały zespół sali porodowej włącza się do akcji. Kilka położnych równocześnie pomaga w przygotowaniach do operacji. Koszulka z Myszka Miki została zamieniona na koszulę szpitalną. Ogoliłam Karolinie okolicę spojenia łonowego jednorazową maszynką (by nacięcie skóry można było wykonać nisko nad spojeniem, a zmiana opatrunku nie powodowała bolesnej depilacji). Cewnikowanie pęcherza moczowego to kolejny, niezbędny punkt przedoperacyjnej procedury (wypełniony pęcherz można uszkodzić w trakcie operacji, może być też przeszkodą w wydobyciu dziecka). W międzyczasie jedna z położnych podawała Karolinie prosto do żyły antybiotyk, który miał przeciwdziałać ewentualnemu zakażeniu. Byłyśmy gotowe. Rodząca, trzymając w jednej ręce kroplówkę a w drugiej worek na mocz połączony z cewnikiem, usiadła na wózku. Spojrzałam na zegarek, mieliśmy dobry czas: mijały trzy minuty od decyzji o cięciu, a my byliśmy już w drodze na blok operacyjny. Pośpiech, konieczny w takich przypadkach, zaskoczył moją parę, ale widziałam, że Karolina i Janek czują się bezpiecznie.

Przekazałam rodzącą pod opiekę oczekującego na nas

zespołu. Janek nie odstępował Karoliny na krok, próbował wejść razem z nią na blok operacyjny.

– Najpierw proszę się przebrać. – Anestezjolog zatrzymał go w progu.

Pociągnęłam Janka do męskiej przebieralni, wetknęłam mu do ręki zielone ubranie, sama pobiegłam do przebieralni obok. Gdy weszłam do sali operacyjnej, Karolina była już znieczulona podpajęczynówkowo (od pasa w dół). Jeszcze raz sprawdziłam detektorem tętno dziecka: około 110 uderzeń na minutę. To niezły wynik jak na takie zamieszanie, pomyślałam. Lekarze byli już gotowi, czekali na przygotowanie pola operacyjnego. Poszłam po Janka, pomogłam mu włożyć maskę i czapkę chirurgiczną, po czym posadziłam go na stołku przy głowie Karoliny.

– Kochanie, wyglądasz, jakby cię ukrzyżowali – powiedział zatroskany.

Zaskoczyło mnie to stwierdzenie, nigdy tego nie postrzegałam w ten sposób. Rzeczywiście, gdy patrzyło się na to z boku, wąski stół operacyjny i rozłożone na boki ręce umieszczone na podpórkach mogły sprawiać wrażenie „krzyża”.

Na jednym ramieniu Karolina miała założony aparat do mierzenia ciśnienia tętniczego, Janek ucałował ją w drugą rękę, tę z wenflonem i kroplówką.

– Nacinam macicę – padło hasło w kierunku lekarki neonatolog. Po chwili zielony płyn owodniowy wypełnił

całe pole operacyjne. Lekarz sprawnym ruchem wydobył małego Kubę, który był w całkiem niezłej kondycji. Pomimo koloru zielonego ufoludka oceniono go na osiem punktów w skali Apgar. Gdy maluch zapłakał, Janek nieśmiało podszedł do stanowiska dla noworodków.

– Synu, jakbym miał takie zielone włosy, też bym płakał – próbował go pocieszać.

Wy tłumaczyłam mu, że dzieci na stres związany ze zwalnianiem tętna często reagują rozluźnieniem zwieracza odbytu i oddaniem smółki do płynu owodniowego. Zwierzęta na stres reagują podobnie, opróżniają jelita i wybierają walkę lub ucieczkę, taki ssaczy atawizm.

– Przekładając na ludzki język, pomimo że zrobił kupę do brzucha mamy, nie jest źle wychowany, dobrze rozumiesz? – Jankowi najwyraźniej poprawiał się humor.

Przytaknęłam, owinęłam malca w pieluszkę i wręczyłam go ojcu, który zasiadł na swoim stołku. Przytulił synka Karolinie do policzka, Kubuś natychmiast się uspokoił. Zrobiłam im kilka pierwszych rodzinnych zdjęć, po czym chłopczyk powędrował na oddział noworodków na kilka godzin obserwacji.

*

Po trzydziestu minutach sprawni operatorzy byli już po pracy, Karolinę przewieźliśmy do sali pooperacyjnej. Z Janka powoli opadały emocje.

– Ależ tu macie ładnie, i sala operacyjna taka nowoczesna, i taka duża, i te okrągłe okna w drzwiach, jak na statku... – Buzia mu się nie zamykała. Kiwałam tylko głową, uśmiechałam się. Zaproponowałam, że zostanę z Karoliną, jego natomiast wysłałam, by dotrzymał towarzystwa swojemu synowi. Po paru godzinach spotkaliśmy się wszyscy na oddziale położniczym, głodny Kuba od razu zajął się ssaniem piersi. Karolina była zdziwiona, że maluch tak świetnie sobie radzi.

– To instynkt – powiedziałam. – Musi jeść, żeby przeżyć.

– A co z moim instynktem? Byłam pewna, że urodzę sama. A tu proszę, niespodzianka. Czuję się pokonana przez medycynę.

– Przecież to nie twoja wina, nie było wyjścia, Kuba potrzebował pomocy – przekonywałam.

– Zdaje się, że dostałam od życia prztyczka w nos, i to w tak ważnej sprawie. Coś wreszcie poszło nie po mojej myśli, dziwne uczucie. Chyba będę musiała się przyzwyczaić do tego, że młody będzie miał swoje zdanie – mówiła z uśmiechem, patrząc na małego synka.

– Kochanie, nie będziesz musiała, na pierwszy rzut oka widać, że Kuba ma mój charakter – powiedział

Janek.

Wiedziałaam, że w tej sprawie świetnie się dogadają.
Rzeczywiście byli zgraną parą.

ASYSTENCI

Nie chciałabym, żeby poród z partnerem stał się niebezpieczną modą. Co z tego, że oboje sumiennie będą uczestniczyć w zajęciach szkoły rodzenia, skoro ich emocje związane z obawami: „jak będzie”, „czy dam radę”, pozostaną w sferze nieudomówień. Czasami nie wystarczy powiedzieć „nie chcę, żebyś był przy porodzie” czy „nie pójdę z tobą rodzić”. Gorąco zachęcam pary do szczerych rozmów, może przy cichej muzyce i zapalonych świecach. Po takiej serdecznej rozmowie może okazać się, że kobieta od dawna, wręcz od dnia, kiedy zaczęła myśleć o macierzyństwie, czuła, że chce rodzić sama. Coś jej wewnątrz podpowiadało, że to sprawa wyłącznie kobiety. A tymczasem jej partner, od kiedy zobaczył dwa paski na teście ciążowym, wybiera się z nią do porodu. Ma poczucie, że jego partnerka tego właśnie od niego oczekuje, poza tym ją kocha i nie wyobraża sobie, by mogło być inaczej. Ona, widząc, jak bardzo mu na tym zależy i nie chcąc mu sprawiać zawodu, godzi się.

Bywa też odwrotnie, mężczyzna nawet sobie nie wyobraża, by mógł znieść poród, nie chce uczestniczyć w tej całej „babskiej fizjologii”. Zna siebie dobrze i boi

się, że takie doświadczenie może wpłynąć negatywnie na jego dalsze życie seksualne z partnerką, które jest dla niego (jak dla każdego mężczyzny) istotną sferą. Boi się jednak o tym mówić, by nie urazić kobiety, która już od pierwszych dni ciąży planuje wspólne uczestnictwo w szkole rodzenia i wspólny poród. Mężczyzna słyszy codziennie: „Kochanie, razem poczęliśmy dzidziusia i razem go urodzimy, dasz radę, prawda?”. Kochanie przytakuje, ale gorzej sypia, ma bóle głowy i wiele innych męskich ciężowych dolegliwości.

Zdarza się, że szczerą rozmowa nie wystarczy, niektórzy mierzą siłę uczucia tym, czy można dostatecznie nagiąć drugą osobę do swoich przekonań. Nie dają sobie wolności w życiowych wyborach. Jeżeli mężczyzna przyzna się, że poród go przerasta (to, że się przyznał, powinno być moim zdaniem nagrodzone), jego partnerka nie powinna obrażać się na niego i do końca życia mu tego wypominać.

Może okazać się też, że sam moment urodzenia dziecka będzie na tyle krępujący dla kobiety, że poprosi swojego partnera, by ten wyszedł z sali, co da jej duże poczucie swobody. Pamiętajmy, że jest jeszcze cały pierwszy okres porodu (czas rozwierania szyjki macicy do dziesięciu centymetrów), kiedy pomoc partnera jest nieoceniona, pod warunkiem że oboje chcą tego samego. Widzę niejednokrotnie pary niedogadane w tej kwestii, co może mieć wpływ na zaburzenie wydzielania

hormonów podczas porodu. Widok partnera stale rozmawiającego przez telefon lub czytającego gazetę natychmiast podnosi u rodzącej adrenalinę, co z kolei obniża poziom oksytocyny – poród się wtedy przedłuża, szyjka rozwiera się wolniej.

Najtrudniejszy przypadek dla personelu sali porodowej to przyciągnięty na siłę mężczyzna, który nie ma pojęcia, jakim procesem jest poród i jak kobieta może zachowywać się w czasie skurczów. Zupełnie fizjologiczne odgłosy czy intuicyjne reakcje odbiera jako patologię, co nie tylko negatywnie wpływa na sam poród, ale też mocno nadwyręża relacje z personelem. Tego rodzaju przyszły ojciec nie pojmuje, jak można dopuszczać do takiego cierpienia w dobie lotów kosmicznych i niesamowitych osiągnięć nauki czy medycyny. Obwinia personel medyczny o brak kompetencji, nieludzkie traktowanie jego partnerki i zarzuca mu brak serca.

Takie sytuacje zdarzają się na szczęście coraz rzadziej. Myślę jednak, że także panowie o porywczym charakterze, nie tylko ci mniej wiedzący, powinni dla dobra wszystkich poważnie zastanowić się nad uczestnictwem w porodzie.

*

Tę historię sprzed dziesięciu lat zapamiętałam sobie

na zawsze. Irenka była trzydziestoletnią kobietą o łagodnej twarzy, na spotkanie przedporodowe przyszła sama, jej o dwadzieścia lat starszy mąż się nie pojawił. Nie wiedziała, czy będzie z nią przy porodzie, nigdy o tym nie rozmawiali. Mało się odzywała, z trudem wyciągałam z niej informacje dotyczące przebiegu ciąży. Wpisując do historii porodowej miejsce zamieszkania, uśmiechnęłam się, ulica wydała mi się znajoma. Był to adres pubu na Starym Mieście, do którego kiedyś nie udało mi się dotrzeć na urodziny kolegi (byłam zajęta przy porodzie). Powiedziałam o tym Irence.

– Mieszkamy nad tym pubem. Mąż codziennie o 22.05 chodzi tam z awanturą. Wstydzę się za niego, bo tak naprawdę ta muzyka aż tak bardzo nam nie przeszkadza. Ale mąż taki już jest – próbowała go tłumaczyć.

Po cichu liczyłam, że może nie będzie mi dane go poznać. Minęło kilka tygodni od naszego spotkania, Irence odpłynęły wody płodowe, zadzwoniła do mnie z tą informacją. Omówiłyśmy wszystko dokładnie; gdyby skurcze się nie pojawiły, miałyśmy się spotkać za parę godzin w szpitalu. W trakcie naszej rozmowy słyszałam w tle krzyczącego mężczyznę, na którego kobieta zdawała się nie zwracać uwagi: – Nie słuchaj jej! Natychmiast cię wiozę na Żelazną! Kończ tę głupią rozmowę!

Oho, lekko nie będzie, pomyślałam. Zrobiło mi się

żał tej kobiety, czułam, że przyjdzie mi ją chronić przed jej własnym mężem, raczej niewiele miała do powiedzenia w tym związku. Od razu wsiadłam w samochód i pojechałam do szpitala.

Gdy weszłam do izby przyjęć, zobaczyłam moją pacjentkę siedzącą na krześle przy recepcji, szukała w torbie dokumentów. Podniosła załęczniony wzrok i obdarzyła mnie smutnym, przepraszającym uśmiechem. Dwie położne z izby przyjęć, z zaciśniętymi szczękami, blade jak ściana, wskazały mi wzrokiem przyczynę swojej irytacji. Nie mogłam uwierzyć, że to, co widzę, dzieje się naprawdę. Miałam wrażenie, że jestem na planie filmowym *Powrotu Batmana*. Zobaczyłam mężczyznę w długim do kostek czarnym, rozpiętym płaszczu, z kapeluszem w ręku. Przypominał Pingwina, czarny charakter, w którego postać w *Batmanie* wcielił się Danny DeVito. Chodził nerwowo po korytarzu izby przyjęć, tam i z powrotem, mrużąc coś pod nosem. Był wyjątkowo antypatyczny. Niskiego wzrostu, z łysiną na czubku głowy i resztkami ciemnych, rzadkich włosów opadających na ramiona. Twarz miał brzydką, zdawało się, że nie ma szyi. W poczekalni izby przyjęć było sporo osób, nikt z nikim nie rozmawiał, wszyscy obserwowali krążącą postać.

– To pani jest tą położną od mojej żony?! – zapytał, krzycząc.

– Tak – odpowiedziałam grzecznie.

- Pani jest za młoda.
- Nie rozumiem. Na co jestem za młoda?
- Na zajmowanie się moją żoną. Ile lat pani pracuje?
- Piętnaście.
- Mam nadzieję, że chociaż coś pani umie.
- A ja mam nadzieję, że pana nie będzie przy porodzie.

– Jestem prawnikiem!

– To fantastycznie, wspaniały zawód.

Pewnie dalej prowadzilibyśmy tę zajmującą dyskusję, ale koleżanki położne zakończyły formalności i mogłyśmy już pójść do sali porodowej. Pan Pingwin zrobił krok w kierunku torby z rzeczami rodzącej.

– Jeżeli przez sześć godzin nie będzie czynności skurczowej macicy, dopiero wtedy włączymy oksytocynę – poinformowałam uprzejmie męża Irenki.

– A co się będzie działo przez te sześć godzin?

– Nic – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Będę się nudził – powiedział z wyrzutem.

– Właśnie. Żegnam pana, żona zadzwoni, jak będzie po porodzie.

Gdy zamknęły się za nami drzwi izby przyjęć, Irenka szepnęła: – Dziękuję.

W tym przypadku poród tylko z położną był najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich.

*

Przyjmowałam kolejny poród Grażyny i Adama, oboje mieli, nazwijmy to, „trudne charaktery”. Już przy dwóch ostatnich porodach widziałam w relacjach między nimi spore problemy. Co chwila powtarzały się ostre wymiany zdań między małżonkami; takie sceny w trakcie porodu należą do rzadkości. Gdy po kilku latach spotkaliśmy się po raz trzeci, miałam poczucie, że jest jeszcze gorzej. Już od wejścia do sali porodowej byli skłóceni, atmosfera stawała się gęsta i nieprzyjemna. Zastanawiałam się, czy mam reagować czy zostawić wszystko swojemu biegowi. Dla położnej jest to niezręczna sytuacja. Uzupełniając dokumentację przy konsoli położnych w korytarzu bloku porodowego, usłyszałam za drzwiami sali głośną kłótnię. Postanowiłam wkroczyć do akcji. Zobaczyłam scenę, która odebrała mi mowę: Grażyna, biorąc duży zamach, uderzyła Adama w twarz, a on bez zastanowienia jej oddał. Kobieta z trudem utrzymała się na nogach. Stałam w otwartych drzwiach jak słup soli; nie wyglądali na takich, którzy robią to pierwszy raz. Po chwili oboje zorientowali się, że byłam świadkiem całego zajścia, uśmiechnęli się do mnie, a potem do siebie. Adam odezwał się pierwszy, spoglądając na Grażynę: – Kochanie, jak cię boli, to weź znieczulenie.

Wzięła, chociaż zastanawiałam się, co ją bardziej

bolało: skurcze macicy czy spuchnięty policzek.

*

Z mojego doświadczenia wynika, że dla przebiegu porodu najlepiej jest, gdy rodzącej asystuje jedna osoba. Nie musi to być partner, czasami kobieta wybiera swoją matkę lub przyjaciółkę. Kiedyś zdarzyło mi się, że przy porodzie asystowała teściowa. Byłam zaskoczona tym, jak dobrze się rozumieją; później dowiedziałam się, że moja pacjentka ma z teściową dużo lepsze relacje niż z własną matką.

Przyjaciółki, które same już doświadczyły porodu, bardzo dobrze sprawdzają się w roli asystentek – rozumieją potrzeby rodzącej. Te bezdzietne są często sparaliżowane lękiem, choć zdarza się sytuacja odwrotna. Bliska znajoma mojej rodzącej była studentką medycyny (dowiedziałam się o tym po fakcie, gdy już ją wyprosiłam z sali porodowej). Od początku ciąży oferowała jej swoje usługi jako osoba towarzysząca. Moja pacjentka zgodziła się, lecz nie miała z niej żadnego pożytku, gdyż ta była wścibska, zainteresowana głównie medycznym aspektem tego wydarzenia. Nie trzymała jej za rękę, nie podawała wody ani nie służyła ramieniem, gdy rodząca wstawała z łóżka. Moja decyzja okazała się trafna, widziałam wdzięczność w oczach pacjentki.

Czasami sala porodowa sprawia wrażenie, jakby odbywał się tu piknik. Rodzącej asystują równocześnie trzy osoby. Zgodziła się na tę sytuację zapewne z braku asertywności, nie chcąc bliskim odmawiać. Teraz „asystenci” z ożywieniem prowadzą między sobą dyskusje na różne tematy, mało interesując się wydarzeniami w sali porodowej, bądź z przejęciem, jedno przez drugie, udzielają rodzącej rad. Kobieta jest wtedy zdezorientowana i nie może w pełni skupić się na sobie. Raz po raz wobec każdej z obecnych osób odgrywa rolę a to partnerki, a to córeczki, a to dobrej przyjaciółki. Trzy zupełnie różne, nie do pogodzenia relacje muszą mieć negatywny wpływ na wydzielanie hormonów podczas porodu.

Bywa i tak, że rodząca zaprasza na swój poród kogoś jeszcze innego. Przydarzyła mi się osiemnaście lat temu w szpitalu zabawna historia. Rano przyjechałam dyżur od koleżanki. Miałam się zająć pacjentką, u której płyn owodniowy odpływał od wielu godzin. Na brak skurczów macicy miała pomóc kroplówka z oksytocyną, ale niestety nie dawała pożądanego efektu.

– Uważaj, to poród rodzinny – powiedziała koleżanka, niewinnie się uśmiechając. – Powodzenia – dodała.

Szpital na Żelaznej jako pierwszy z państwowych szpitali w Warszawie otworzył swe podwoje dla osób towarzyszących w porodzie, miałam też duże

doświadczenie z Ewy-2, więc nie było to dla mnie utrudnieniem. Zapukałam do drzwi sali porodowej, chciałam się przedstawić i posłuchać tętna dziecka, ewentualnie zbadać pacjentkę. To, co zobaczyłam, trochę mnie jednak przerosło, nie wzięłam pod uwagę elementu zaskoczenia.

Na łóżku porodowym siedziała rodząca, trzymając się jedną ręką stojaka od kroplówki, na fotelu siedział jej mąż, a na brzegu wanny jezuita w sutannie, który śpiewał i grał na gitarze. Przedstawiono mi go jako przyjaciela rodziny. Duchowny martwił się, że niestety jest zmuszony wyjść przed dwunastą, ponieważ będzie odprawiał mszę. Cóż, w tej sytuacji nie spodziewałam się czynności skurczowej macicy przed południem, i miałam rację. Wychodząc, obiecał modlić się za dobry poród, i widocznie słowa dotrzymał, gdyż po jego wyjściu wszystko sprawnie się potoczyło.

*

Kiedyś w trakcie innego porodu szpitalnego musiałam najwidoczniej niezbyt dokładnie sformułować prośbę lub użyć skrótów myślowego, nie bardzo pamiętam, ale zarówno ja, jak i rodząca i towarzyszący jej partner znaleźliśmy się w niezręcznej sytuacji. Widząc, że kobieta przez dłuższy czas pozostaje w łóżku, co według mnie powoduje dodatkowe dolegliwości

bólów, zaproponowałam, by zmieniła pozycję. Sugerowałam spacer bądź kąpiel. Gdy zajrzałam, żeby sprawdzić, jak sobie radzą, byłam zaskoczona, że aż tak świetnie. Oboje zastałam w wannie. Naga kobieta podczas porodu to dla mnie naturalna sytuacja, często rodząca zdejmuje koszulę w trakcie parcia, gdy jest jej gorąco; nie robi to na mnie wrażenia. Lecz nagi mężczyzna – owszem.

PANOWIE

Mamy do czynienia z pierwszym pokoleniem mężczyzn, którym jest dane uczestniczyć w porodzie. Nie mają żadnych wzorców, ich ojcowie nie przeżyli takiego doświadczenia, często im wręcz odradzają, mówiąc, że to sprawa kobiet i nie warto się w to mieszać. Mężczyzna, który decyduje się na towarzyszenie kobiecie podczas porodu, powinien mieć pełną świadomość fizjologii, z jaką przyjdzie mu się zmierzyć. Ale jeżeli pragnie być ze swoją partnerką całym sercem, poród może okazać się dla niego jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu.

*

Rodziłam w szpitalu z Halinką i Sebastianem, mijało pięć godzin. W krótkiej przerwie po kolejnym silnym skurczu Sebastian podszedł do mnie i powiedział:

– Jeannette, tak bardzo się boję o Halinkę, ona jest taka drobna. – W jego słowach była troska, ale też oddanie i miłość.

Halinka pięknie urodziła pomimo wąskich bioder

i filigranowej budowy. Gdy tuliła do piersi swojego synka, przyciągnęła do ust rękę Sebastiana i ucałowała ją.

– Kocham cię za to, że tu jesteś – powiedziała.

To nie początek telenoweli, lecz jedna z wielu scen rozgrywających się na moich oczach w sali porodowej, napisana przez życie.

Inną emocją, zabawną i zupełnie nieszkodliwą, jest miłość świeżo upieczonego ojca do położnej. To uczucie z innej półki, właściwie nie miłość, ale bardziej uwielbienie. Położna dotyka tajemnicy życia, jako pierwsza trzyma na rękach jego dziecko, za to ją podziwia i „kocha bezgranicznie”. Ten stan trwa przeważnie kilka dni. I o to kobiety nie powinny być zazdrosne.

*

Wielu panów przekracza próg sali porodowej wyposażonych w kamery i aparaty fotograficzne, pragnąc uwiecznić to niezwykle wydarzenie, a tak naprawdę jest to świetny argument, by mieć zajęte czymś ręce. Kobieta, która wstępnie zgodziła się na filmowanie lub robienie zdjęć podczas porodu, może w każdej chwili zmienić zdanie i partner powinien to uszanować.

Często się zdarza, że mężczyźni mają gotowy plan na poród. Najlepiej, by odbył się w weekend, wtedy nie ma korków i łatwo dojechać do szpitala. Wiedzą, jakie zdjęcia chcą zrobić swojej kobiecie: ujęcie na piłce, przy drabinkach, w wannie. Jeden z panów prosił partnerkę w trakcie porodu, by zmieniła koszulę, bo ta, którą miała na sobie, źle komponowała mu się z kolorem sali. Inny z panów każde zrobione podczas porodu zdjęcie natychmiast umieszczał na Facebooku wbrew woli swojej partnerki. Dziecko rodziło się w trakcie karczemnej awantury pomiędzy rodzicami. Moja babcia Józefa mawiała: „Jak idziesz na zabawę, masz tańczyć, jak idziesz do kościoła, masz się modlić”. Może powinnam uzupełnić jej słowa o jeszcze jedno zdanie przeznaczone dla panów: Jak idziesz z kobietą do porodu, zajmij się tylko nią i niech nic cię nie rozprasza.

Pamiętam taki poród, na który jeden z panów zabrał do sali porodowej laptopa i pięć filmów, na wypadek gdyby mu się nudziło. Trudno mi było zaakceptować to, że mężczyzna zajęty oglądaniem filmów akcji nawet nie patrzył na rodzącą, gdy ta zachowywała się coraz głośniej z powodu bólu. Kiedy kobieta poprosiła o znieczulenie zewnątrzoponowe, oboje byli zadowoleni: mężczyzna, gdyż jego partnerka wreszcie była cicho i mu nie przeszkadzała, mógł w spokoju śledzić fabułę filmu, a rodząca, ponieważ ją nie bolało. Gdy znieczulenie zaczęło działać, kobieta wyszła z sali do holu, by kupić mężowi kawę w automacie. Zespół bloku

porodowego był skonsternowany.

Mężczyźni, którzy mają we krwi działanie, mogą czuć się podczas porodu bezsilni. Zdają sobie sprawę, że nie mają żadnego wpływu na toczący się proces. Zauważyłam, że często próbują skupić uwagę na sobie, mówią dużo i głośno, wynika to z konieczności zredukowania napięcia emocjonalnego. Zapominają jednak, że ich miejsce jest w cieniu, krok za rodzącą. To ona jest bohaterką tego wydarzenia. Panowie, wyznawcy współczesnych technologii, są zafascynowani urządzeniami w sali porodowej. Bywa, że aparatowi KTG poświęcają więcej uwagi i czasu niż swojej partnerce. Nie odrywając wzroku od rosnącej wartości cyferek pojawiających się na wyświetlaczu, nawet nie patrząc na rodzącą, wydają dyspozycje: „Kochanie, oddychaj głębiej, teraz masz skurcz”.

Mężczyźni zwykle są zadaniowi, chcieliby być zaangażowani do konkretnej czynności: masażu pleców, pomocy przy kąpielach. Trudno im uwierzyć, że czasem pozostawanie jedynie w zasięgu wzroku zapewnia kobiecie poczucie bezpieczeństwa.

Czas przerwy między skurczami (przy rozwarciu na trzy do siedmiu centymetrów) jest dla rodzącej chwilą relaksu, natomiast skurcz to moment, kiedy kobieta skupia się na oddechu, czekając, aż ból przejdzie, i nie jest wtedy najlepszym partnerem do konwersacji. Zagadywanie rodzącej bywa dla niej irytujące.

Mężczyzna powinien liczyć się z tym, że kobieta go ofuknie, nawet na niego wrzaśnie i odepchnie jego rękę, gdy ten będzie chciał ją przytulić. Czasem obserwuję w ostatniej fazie porodu (rozwarcie na siedem do dziesięciu centymetrów), że kobieta, która wcześniej tuliła się do partnera i wchłaniała jego dotyk jak gąbka, teraz nie pozwala się tknąć. To nie wina partnera, trudno czasami zrozumieć, że ciało nie jest w stanie przyjąć dodatkowego bodźca, nawet muśnięcie zdaje się sprawiać fizyczny ból.

*

Gdy zaczął się poród u moich przyjaciół artystów Agaty i Roberta, celebrowałam z nimi to wydarzenie od samego początku. Pojechałam do nich w środku nocy. Drzwi na klatkę schodową były otwarte, nie zdziwiło mnie to specjalnie – widocznie Robert zajęty rodzącą żoną przezornie otworzył je wcześniej, wiedząc, że przyjdę. Agata miała coraz silniejsze skurcze, weszła do wanny. Jeszcze kilkakrotnie tej nocy zamykałam otwarte na oścież drzwi do mieszkania, wydało mi się to dziwne, ale nie chciałam poruszać sprawy zepsutego zamka w tak podniosłej chwili. Gdy zdecydowałam, że należałoby już pojechać do szpitala, najmniej zorganizowany wydawał się Robert, który chodził po domu w rozwiązanych butach, ciągle przydeptyjąc sobie sznurówki. Włożył

kurtkę na rozpiętą koszulę, spodnie ledwie się na nim trzymały, pasek obijał się o nogawkę. Gdy zobaczyłam, że odpina guzik w spodniach, zwróciłam mu uwagę, że wygląda już wystarczająco niechlujnie. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem i zapytał:

– Nic nie rozumiesz? Chcę pomóc Agacie w rozwiązaniu. Czuję, że pomagam w rozwieraniu szyjki macicy, odpinając i otwierając wszystko co możliwe. – Popatrzył na mnie z wyrzutem. – Ciągle zamykałaś drzwi na klatkę schodową.

– Przepraszam, nie miałam pojęcia, że to element twojego rytuału otwarcia.

Byłam zaskoczona, myślałam, że znam Roberta, nigdy nie widziałam go w sytuacji, z którą by sobie nie poradził. Najwidoczniej teraz nie czuł się zbyt pewnie, więc wytwarzając swój mechanizm obronny, znalazł nawet sposób na fizjologię porodu i wyraźnie pomagało mu przekonanie, że ma na nią wpływ. Bardzo mnie tym rozculił.

GAJA

Ola mawiała, że wyjdzie za mąż za mężczyznę, który zawsze będzie ją kochał, nawet jak będzie już stara, gruba i pomarszczona. Ten wyśniony królewicz musiał spełniać tyle warunków, że wszyscy znajomi i rodzina żartowali z niej, że zostanie starą panną. Ona też się z tego śmiała, ale w głębi duszy wierzyła, że jednak kogoś takiego spotka. I spotkała. Na wakacyjnym kursie tai-chi poznała Marka. Zakochała się, nie przeszkadzało jej nawet to, że jest od niej trochę niższy, choć wcześniej na takich mężczyzn w ogóle nie zwracała uwagi. Marek zostawił pracę w swoim mieście, dla Oli przeniósł się do Warszawy i przysiągł, że się z nią nie rozstanie do końca życia. Od kiedy się poznali, jej życie było takie, o jakim zawsze marzyła, miała przy sobie dobrego, ciepłego, opiekuńczego mężczyznę. Któregoś wieczoru zapytała:

– Mam wrażenie, jakbyśmy się znali od zawsze, myślisz, że to przeznaczenie?

– A jak sądzisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie, uśmiechając się. – Nie czekałabyś na mnie trzydzieści pięć lat i nie przyjęłabyś moich oświadczeń w trzy dni po tym, jak się poznaliśmy. Musiałem być ostrożny, nie chciałem wyznawać miłości pierwszego dnia, żeby cię

nie przestraszyć. Ola zobaczyła w jego oczach wesołe iskierki. Patrzył na nią z taką miłością, że powiedziała:

– Chcę zostać matką twojego dziecka.

Uklęknął przed nią i ucałował jej dłonie.

– Olu moja – powiedział cicho. – Dziękuję.

Minął rok, a ona już nie pamiętała, jak wyglądało jej życie, zanim pojawił się Marek.

*

Siedziałam w sali porodowej zasłuchana w tę ich niezwykłą opowieść. Za wielką taflą okien szalała czerwcową burzą, już trzecia tego dnia. Być może zmiany ciśnienia atmosferycznego spowodowały, że Oli odpłynęły wody płodowe, ale od dziesięciu godzin samoistne skurcze się nie pojawiły. Opierała się coraz częściej o stojak z pompą infuzyjną, wtłaczającą w jej ciało przez cienką rurkę oksytocynę, komputer bezdusznie dozował zadaną mu dawkę.

Marek nie spuszczał z Oli wzroku, był gotowy na każde skinienie, reagował na każde polecenie lub wydawany przez rodzącą dźwięk. Gdy skurcze nasiliły się, Ola przyjęła najwygodniejszą dla siebie pozycję, uklękła na kolanach i całym ciężarem ciała oparła się o Marka; przez ponad godzinę nawet nie mógł się poruszyć. Zbliżał się finał, za oknem kolejna burza

przybierała na sile. Nie grało radio, nie paliły się świece, tylko w ciężko opadających na parapet kroplach deszczu można było usłyszeć muzykę.

Gdy szyjka była już całkowicie rozwarta, Ola postanowiła zmienić pozycję, bolały ją kolana. Weszła na łóżko i położyła się na boku.

– Jeannette, muszę przygotować się na powitanie córki, zanim się urodzi – zagadnął Marek. – Powiesz mi kiedy?

Skinęłam głową. Tymczasem poprosiłam, żeby w ramach przygotowań wyjął tetrowe pieluszki do przykrycia maleństwa. zaproponowałam, by włożył je pod T-shirt, aby je ogrzać i skolonizować swoimi bakteriami. Przyjrzał mi się uważnie niepewny, czy nie żartuję, po czym grzecznie włożył pięć pieluch pod zieloną koszulkę. Okazały brzuch bardzo mu się spodobał. Kiedy o to proszę, zawsze mnie zastanawia, dlaczego żaden mężczyzna nie robi sobie z pieluch biustu, wszyscy umieszczają je na brzuchu. To ciekawe, pomyślałam.

Gdy główka małej Gai była już blisko, dałam znak Markowi, a ten sięgnął do torby i wyjął czarną muszkę, po czym zapiął ją na szyi. Już dawno przestałam klasyfikować i oceniać ludzkie zachowania, ale czuję, kiedy są prawdziwe. Patrzyłam z rozrzewnieniem na Marka w zielonym T-shircie, z pieluchowym brzuchem i w czarnej muszce, która poruszała się przy każdym

nerwowym przełykaniu śliny. Najwyraźniej pochwycił mój ciepły wzrok.

– Dzieci wybierają sobie rodziców, Gaja wybrała nas, jesteśmy oboje zaszczyceni. – Jego oczy rozbłysły. – Damy jej dużo miłości i wolności, ona to wie. Cieszymy się i z niecierpliwością czekamy, żeby ją powitać – mówił, trzymając Olę za rękę. – To dziewczynka, więc chcę wyglądać elegancko, myślałem o marynarce, ale ten symbol wystarczy – powiedział, wskazując na muszkę.

*

Po chwili Gaja była z nami. Jej mama trzymała ją w ramionach, a ojciec całował każdy centymetr jej małego ciała. Ja witałam ją jak zawsze, po swojemu, dotykając palcem wskazującym miejsca pomiędzy brwiami, to błogosławieństwo na szczęśliwe życie. Malutka ssała pierś, odłączyłam pompę infuzyjną, medycyna bezszelestnie usuwała się w cień. Marek wyjął małe, czerwone pudełeczko, ujął lewą dłoń Oli i wsunął jej na palec pierścionek.

– Dziękuję ci, kochana, że pomogłaś naszej córce przyjść do nas.

Nie chciałam przeszkadzać, wychodząc, zerknęłam na prezent, pierścionek miał piękne szmaragdowe oczko. W kolorze oczu Oli.

MAMA

Kiedy byłam już położną, mama zdecydowała się opowiedzieć mi tę historię. Początek 1964 roku był dla niej bardzo trudny, niedomagała. Wiedziała, że może to mieć związek z jej delikatnym żołądkiem. Od lat straszono ją chorobą wrzodową, ale teraz było gorzej niż zazwyczaj. Zawroty głowy, wymioty, zupełny brak apetytu; bolały ją jelita, miała napięty brzuch, była słaba. Zdecydowała się pójść do lekarza. Pomyślała, że teraz to już jest rak. Lekarz zlecił komplet badań. Była kobietą o dość obfitych kształtach. Nie wyglądała na trawioną nowotworem, ale miała podkrążone oczy i była blada. Wysłał ją także na konsultację do ginekologa.

– To nie jest potrzebne, mnie boli żołądek – powiedziała stanowczym tonem.

– To konieczne, musimy wykluczyć sprawy kobiece – tłumaczył lekarz.

Wyszła z gabinetu ze skierowaniem w rękę. Wizytę u ginekologa postanowiła załatwić szybko. Opowiedziała o swoich dolegliwościach, po czym dodała:

– Przyszłam, ponieważ mój doktor mi kazał. Proszę napisać, że wszystko jest w porządku i nie będę panu

zajmować czasu.

Lekarz okazał się sumienny.

– Przykro mi, muszę panią zbadać, to potrwa tylko chwilę. Proszę się rozebrać – powiedział zdecydowanie.

Jednak mama rozsiadła się wygodnie na krześle:

– Panie doktorze, proszę posłuchać. Mam dwie córki, urodziłam je, kiedy byłam młoda. Zaraz po drugim porodzie zaczęłam nieregularnie miesiączkować. Byłam u wielu różnych lekarzy, ale żaden nie potrafił mi pomóc. Leczyłam się przez kilka lat, pochłonęło to dużo czasu i pieniędzy. Jeździłam do kolejnych specjalistów, coraz dalej od domu. Już miałam jechać na konsultacje do Warszawy, gdy poszłam po rozum do głowy. Przecież moja mama urodziła tylko mnie, potem miała podobne kłopoty. Może tak już jest w naszej rodzinie. Zrezygnowałam z dalszych wizyt, przestałam brać leki i w wieku trzydziestu lat miałam ostatnią miesiączkę. Jak pan widzi, ten temat mamy za sobą. Już dawno przekwitłam. Nie mam żadnych dolegliwości ginekologicznych, to żołądek i jelita.

Lekarz wysłuchał opowieści, uważnie przyglądając się pacjentce. Zmarszczył brwi.

– Tym bardziej muszę panią zbadać, zapraszam na fotel.

W skupieniu zaglądał, ugniatał. Mama usiłowała coś wyczytać z jego twarzy, ale z każdą chwilą denerwowała się coraz bardziej. Dotykał brzucha, naciskał. Jego twarz

zaczęła się rozpogadzać. Można było nawet dostrzec pod sumiastymi wąsami cień uśmiechu.

– No cóż, pani Jadwigo, na moje oko pani zakwitła.

– Co to znaczy? – Mama zdenerwowała się nie na żarty.

– Jest pani w ciąży.

Nie wiadomo, ile minęło czasu, zanim doszła do siebie.

– To niemożliwe. Nie rozumiem, jak można być w ciąży, nie mając od lat miesiączki.

– Pani Jadwigo, niepokalane poczęcie przerabialiśmy prawie dwa tysiące lat temu, przecież nie jest pani dzieckiem – próbował żartować lekarz.

Ale do mamy żart nie dotarł. Była przerażona.

– Proszę pana! Ja mam dwie dorosłe córki, już powoli czekam na wnuki, czy pan tego nie rozumie?!

Kręciło jej się w głowie.

– O nie, ja z tym dzieckiem z tego gabinetu nie wyjdę – powiedziała zdeterminowana.

– Chyba się nie zrozumieliśmy, nie ma o tym mowy. Nie usłyszała pani wszystkiego, co mówiłem. Cięża ma przynajmniej sześć miesięcy! Proszę pani, to już duże dziecko, nie można go się tak po prostu pozbyć.

Mama uderzyła w szloch, dopiero teraz dotarło do niej, co powiedziała.

– To, co pani czuła, to ruchy płodu, a nie dolegliwości jelitowe. Takie dodatkowe jajczkowanie

czasami się zdarza. Złoty strzał! – tłumaczył, gładząc jej rękę.

– Niech się pani uspokoi, proszę wrócić do domu, porozmawiać z rodziną i przyjść za tydzień. – Poklepał ją po ramieniu.

*

Moi dziadkowie od kilku godzin wypatrywali córki. Babcia Józefa nerwowo chodziła od okna do okna, zerkając raz po raz na pustą drogę. Wiedziała, że coś się wydarzyło. Jadzia zbyt długo nie wracała. Może zostawili ją w szpitalu? Zapadł zmierzch, babcia wyszła przed dom, zauważyła, jak z mroku wyłania się, wlokąc się noga za nogą, skulona postać. Wyszła jej na spotkanie, przywitała spłakaną, łkającą córkę.

– Boże! Coś się stało? Umarł ktoś? – zapytała.

– Gorzej – odpowiedziała mama, uderzając w jeszcze głośniejszy szloch. – Jestem w ciąży, to już sześć miesięcy!

– No i po co płaczesz! Powinnaś się cieszyć – powiedziała babcia z uczuciem ulgi.

– Ale jak? Małe dziecko, a ja jestem taka stara.

– Ja jestem stara, a ty jesteś głupia. Przestań płakać, myślisz, że dziecko tego nie czuje? Jak mu to kiedyś wytłumaczysz? Pan Bóg miał chwilę i pomyślał, żebyś

nie dowiedziała się wcześniej. Przynajmniej przez te pół roku dziecko rosło jak należy, więc teraz też mu nie utrudniaj.

Ojciec wrócił do domu, zastając kobiety w objęciach, obie płakały. Ale już z radości. Usłyszawszy, co się stało, skwitował to jednym zdaniem:

– Może będzie syn?

*

Syn się nie urodził, urodziła się położna.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej rodzinie za wyrozumiałość (pisanie przeniosło mnie na cztery miesiące w zupełnie inny wymiar). Nawet nie chcę się domyślać, jak to musiało z boku wyglądać. Mój starszy, sześćioletni wnuczek Michał w międzyczasie stał się cudnie przemądrzałym zerówkowiczem, a małemu rocznemu Jasiowi, zupełnie nie wiem kiedy, wyrosło osiem zębów.

Z całego serca dziękuję mojej przyjaciółce Joli Kulińskiej, dzięki której odważyłam się napisać pierwsze zdanie tej książki. Jestem jej wdzięczna również za to, że wspierała mnie, gdy pisałam ostatnie. Dziękuję za bezwarunkową przyjaźń i nieocenione wsparcie w trudnych momentach mojego życia.

Bardzo dziękuję mojej cudownej redaktorce Lusi Olszewskiej za to, że bezbłędnie odgadywała, co mam na myśli, i powoli, cierpliwie nakierowywała mnie na właściwy trop. Za to, że dzięki niej nie boję się pisać. Pomogła mi świadomość, że jestem w dobrych rękach, wiele się od Lusi nauczyłam.

Chciałam przy okazji podziękować sobie, że udało mi się wreszcie zmobilizować (choć pomysł spisania moich doświadczeń i przemyśleń był przy mnie od

dawna).

Trudno w jednym zdaniu wyrazić wdzięczność położnym i lekarzom – tym, którzy zawsze we mnie wierzyli i wierzą, na co dzień wspierając moje niekonwencjonalne pomysły.

Gorąco dziękuję wszystkim wspomniałym kobietom i ich partnerom, którzy stanęli na mojej drodze zawodowej. Zaprosili mnie do swojego życia w tak niezwykłym momencie i powierzyli mi przywitanie swego dziecka. Wydarzenia porodowe, choć nie zawsze łatwe, sprawiły, że dzisiaj mogę dzielić się swoim doświadczeniem. To dzięki Wam powstała ta książka.

Spis treści

Karta tytułowa

Wprowadzenie

Noe

Będiesz akuszerką?

Pani Patologiczna

Nowa

Siostra

Odpeñnij

Oj, kochaniutka

Ewa z numerem 2

Działamy

Dorota i róże

Miejsce

Tajna misja

Poślądkowo

Marysia

Mamy gościa

Sztuczne ognie

Po ludzku

Czwórka z trzynastki

Przed kominkiem

A ty dokąd?

Specjalistka

Żelazna

Jak delfin

Znawca
Do szpiku kości
I... cisza
Druga szansa
Wystarczy!
Moja szkoła
Bez klucia
Nic
Tam na dole
Rozkosz
Rytm
Otwórz oczy
Napięcie
Izba
Tryb ochronny
Posiedzisz
W kręgu
Dotyk
Z nurtem
Zgadzamy się
Asystenci
Panowie
Gaja
Mama
Podziękowania
Karta redakcyjna

Copyright © by Jeannette Kalyta

Opieka redakcyjna: Magdalena Oczachowska

Opracowanie redakcyjne: Lucyna Olszewska / Akcja:
Redakcja

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekty i łamanie: Zespół – Wydawnictwo
PLUS

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: © Michał Dembiński

Promocja książki: Karolina Ołownia

ISBN 978-83-7515-845-8

WYDAWNICTWO
otwarte
www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105
Kraków, tel. [\(12\) 61 99 569](tel:126199569)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa
Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa
Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

